

Grey Scale #13



DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



UNIWERSYTET KOŁNIMSKI

607/26

NA SCHYŁKU DNI

RZECZYPOSPOLITEJ

Kartki z pamiętnika Michała Starzeńskiego

(1757-1795)

Wydął

Henryk Mościcki

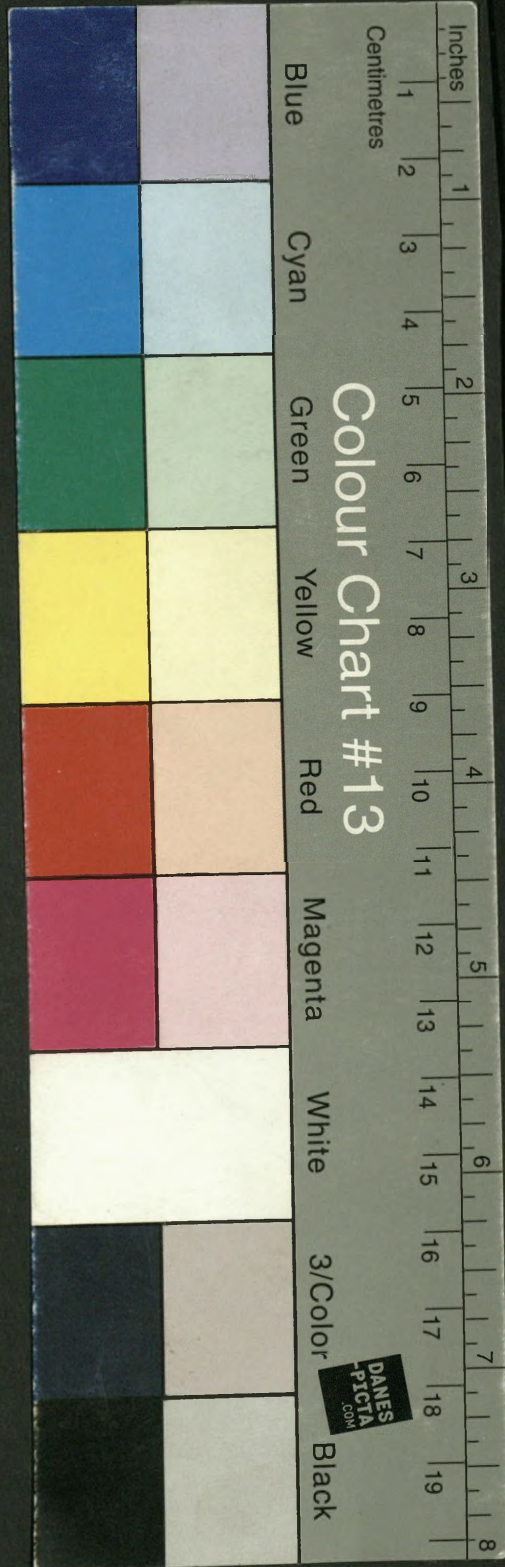


WARSZAWA

NADZIADEM KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW, G. GEBETHNER I S-KA

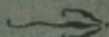
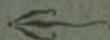
1914



UNIWERSYTET ŁÓDZKI

607/26

NA SCHYŁKU DNI



RZECZYPOSPOLITEJ

Kartki z pamiętnika Michała Starzeńskiego

(1757—1795)

Wydął

Henryk Mościcki



WARSZAWA

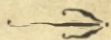
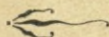
NAKŁADEM KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW, G. GEBETHNER I S-KA

1914



Michał Starzeński
(według portretu olejnego z roku 1794).

NA SCHYŁKU DNI



RZECZYPOSPOLITEJ

Kartki z pamiętnika Michała Starzeńskiego

(1757—1795)

Wydał

Henryk Mościcki



BIBLIOTEKA ŻOŁNIERSKA
74 G. P. P.

WARSZAWA

NAKŁADEM KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW, G. GEBETHNER I S-KA

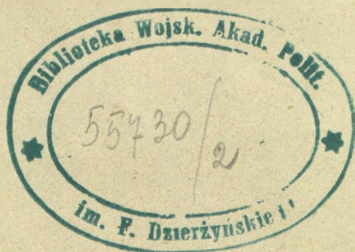
1914

92 : 93(438)

~~9284~~



Odbitka z „Biblioteki Warszawskiej.“



OD WYDAWCY.

Pamiętniki Michała Starzeńskiego, starosty brańskiego i wpływowego obywatela na Podlasiu, zawierają w pięciu obszernych tomach dzieje życia autora (ur. 29 września 1757 r. w Warszawie, zm. 16 października 1823 r. w Hnilicach) i jego rodziny na szerokiem tle stosunków krajowych. W poniższych fragmentach, podanych w przekładzie z oryginału francuskiego, napisanego w latach 1813—1816, zamknięta została czterdziestoletnia działalność Michała Starzeńskiego na schyłku dni Rzeczypospolitej. Barwnie i interesująco opowiada w nich autor o swych latach dziecięcych i młodzieńczych, spędzonych na dworze Jana Klemensa Branickiego, hetmana wielkiego koronnego, w Białymstoku, oraz w kolegium ks. Teatynów w Warszawie; kreśli dalej zajmujące sceny i sylwetki z towarzyskiego życia Warszawy Stanisławowskiej, wplatając w swoją opowieść liczne dygresje na temat ówczesnych stosunków politycznych. Podróże zagranicę i dłuższy pobyt w Lipsku dostarczają autorowi nowych wrażeń, z których się zwierza z umiejętnością zdolnego naratora. Do najciekawszych wszakże i niepozbawionych głębszej wartości historycznej należą rozdziały poświęcone opisowi wypadków politycznych, z którymi autor się stykał lub bezpośredni brał w nich udział. Charakterystyka gospodarki austriackiej na ziemiach polskich po pierwszym rozbiornie, czasy Sejmu Wielkiego, prace Starzeńskiego w komisji cywilno-wojskowej, udział w wojnie r. 1792-go, przedewszystkiem zaś obszerne wspomnienia z insu-

rekcyi Kościuszkowskiej—stanowią najcenniejsze karty pamiętników Michała Starzeńskiego.

Wiadomości biograficzne o autorze wspomnień poniższych zawiera szkic Klemensa Kanteckiego p. t. „Pan starościc brański“ (Ateneum 1885 r., t. II, str. 385 i nast.), oraz artykuł Wł. Kozłowskiego w „Złotej księdze szlachty polskiej“ Żychlińskiego (t. VII, str. 211 i nast.); szczegóły o działalności Michała Starzeńskiego w Obwodzie Tarnopolskim (w 1809—1815 r.) podaje Jan Leszczyński w pracy p. t. „Rządy rosyjskie w Obwodzie Tarnopolskim“ (Kraków, 1903), tamże (str. XVII i nast.) krótka charakterystyka Starzeńskiego pióra prof. Szymona Askenazego.

Pozwalamy sobie wyrazić na tem miejscu gorącą wdzięczność prawnukowi autora pamiętników, Adamowi hr. Starzeńskiemu, za łaskawe udzielenie rękopisu, oraz cenne wskazówki i życzliwą pomoc w pracy wydawniczej.

HENRYK MOŚCICKI



I.

Dziadek mój, Krzysztof Starzeński, szlachcic wielkopolski, był posiadaczem dwóch wiosek, o cztery mile od Poznania leżących, zwanych: Hówek Wielki i Mały. Główny dochód jego stanowiła wełna, o czem świadczą własnoręczne listy, pisane do starszego syna; np. w jednym z nich donosi mu, iż, nie zrobiwszy jeszcze strzyży owiec i nie sprzedawszy wełny, czuje się w przykrem położeniu, nie mogąc zaraz wysłać młodszych swych synów do szkół o. o. Jezuitów w Poznaniu. Przewrotny i rozsądny pan Krzysztof nie kwapił się z zaciąganiem pożyczek na rachunek przyszłej wełny, wolał nieco opóźnić wychowanie chłopców, aniżeli narazić się na niewypłacalność, w razie gdyby wełna owa chybiła, lub jaki wypadek stał się z jego owcami. System ten okazał się w rezultacie praktycznym, widzimy bowiem, iż dał licznej gromadce swych dzieci jak najstaranniejsze wykształcenie, co w owych czasach do wyjątków jeszcze należało.

Podanie rodzinne głosi, iż jeden z naszych przodków, służąc wojskowo jako kawalerzysta, brał udział w krwawych walkach, które Polacy nieraz staczali z Niemcami. Razu pewnego dwa wrogie obozy rozłożyły się nad Bzurą, przedzielone tylko błotami tej rzeki, która, z powodu wylewów jesiennych, stała się niemożliwą do przebycia. Młody Starzeński, w towarzystwie ulubionych swoich chartów, trzymał jednej nocy straż w obozie, kiedy o brzaszku psy jego wytropiły lisa. Spłoszony zwierz, salwując życie, co tchu począł umykać i przez wąską grobelkę, o której istnieniu oba wojska nie wiedziały, dostał się na drugi brzeg rzeki. Charty goniły w ślad za nim, a nasz kawalerzysta za chartami. Tym sposobem, zupełnie niespodziewanie, odkrył nieznanne przejście,

które go zawiodło pod sam obóz nieprzyjacielski. Unosząc schwytanego lisa, powrócił niebawem do swoich, zbudził dowódcę, a następnie króla (bo królowie w owych czasach sami chadzali na wojnę) i opowiedział im, co mu się przytrafiło. Zarządzono natychmiast wyprawę, którą Starzeński poprowadził. Nieprzyjaciel, zaskoczony znienacka, został pobity, a młody rycerz, na pamiątkę owego szczęśliwego zwycięstwa, miał wówczas otrzymać od króla herb *Lis*. Opowieść powyższa, jakkolwiek mało prawdopodobna i tylko w ustnej tradycji rodzinnej przechowywana, sprawiła jakoby to, iż wszyscy Starzeńscy nadzwyczaj zawsze lubili charty, a Niemców nie cierpieli, albo co najmniej mieli do nich uprzedzenie.

Powracając do mego dziadka Krzysztofa i jego rodziny, muszę nadmienić, iż miał on trzy córki i siedmiu synów, którzy wszyscy byli olbrzymiego wzrostu i herkulesowej siły, czego liczne dowody składali w rozmaitych ćwiczeniach fizycznych: na koniu, na łowach, przy pracy rolniczej w polu i t. p. Młodzież ta, kształcona przeważnie na klasykach łacińskich, zaczerpnęła z dzieł nieśmiertelnych mistrzów cenne wskazówki higieny ducha, zarówno jak i ciała. Dziewczęta nie ustępowały braciom w urodzie, wroście i sile, do czego niemało przyczyniał się skromny i prosty tryb wiejskiego ich życia. Przytem nieznano jeszcze wtedy powszechnie w Polsce wakcyny i szczepienia ospy, co uważam za środek wielce zdrowiu szkodliwy.

Najstarszy syn pana Krzysztofa, Józef, był kasztelanem gnieźnieńskim. Drugi, Jan, wysłany przez ojca do Drezna, ciągnął się do korpusu konnej straży Augusta II, a przeszedłszy stopnie drabanta i wielkiego muszkietera, został wkrótce porucznikiem. Trzeci, Piotr, służył w chorągwi polskich dragonów i tu pozyskał pierwsze odznaczenie wojskowe. Dwóch synów następnych rodzice przeznaczili do stanu duchownego: Melchior wstąpił do zgromadzenia o. o. Jezuitów i był później archidyakonem kamienieckim, Franciszek zaś, przyoblekłszy habit św. Benedykta, został z czasem opatem Benedyktynów w Lubiniu. Najmłodszy synowie: Maciej (ojciec mój) oraz Antoni, późniejszy podstoli sarnocki, w pacholęcych prawie latach wysłani byli przez rodzica na świetny dwór Jana Klemensa Branickiego, do Białegostoku, aby tam, w służbie obywatelskiej, szukali dla siebie losu. Antoni osiadł następnie na Rusi i ożenił się z siostrą biskupa warmińskiego, Brygittą Krasicką, a o znacnym charakterze jego świadczy to, że Krasicki, pisząc swą niezrównaną powieść „Pan Podstoli,” jego miał na myśli.

Młodzieńców, jadących na dwór białostocki, wyprawił pan Krzysztof pod opieką starego masztalerza, Podhoreckiego, porząd-
ną bryczką, zaprzężoną w trzy konie, za którą postępowaly dwa
wierzchowce. Skromna odzież podróżna, mały pakunek z rzecz-
ami, nieco książek łacińskich, oraz trzysta złp., którymi opatrzył
ich ojciec na drogę, stanowiły całą wyprawę młodziutkich Sta-
rzeńskich.

Piętnastoletni podówczas mój ojciec znalazł na dworze bia-
łostockim doskonałą szkołę życia i rycerskiego rzemiosła. Pora,
w której tu zawitał, nie była wcale pokojową. Po śmierci Augu-
sta II wybuchła, jak wiadomo, zacięta walka pomiędzy zwolenni-
kami Stanisława Leszczyńskiego, obwołanego powtórnie królem
przez część narodu, a Augustem III, narzuconym Rzeczypospolitej
przez postronne mocarstwa. Branickiemu, jako chorążemu koron-
nemu, należało trzymać się zbrojnie i być gotowym na usługi
ojczyzny. W początkach akcji wojennej występuje on jako stron-
nik króla Stanisława; jednakże w obozie tym nie dowierzano mu
zupełnie, a gdy podejrzenia zostały stwierdzone faktami, nie po-
zostawiającymi już wątpliwości, że Branicki przeszedł na stronę
Sasów, dotknięci tem Stanisławczycy postanowili ukarać go za
taką zmienność politycznych przekonań. W drugiej połowie mar-
ca 1734 r. wziął go do niewoli Adam Tarło, marszałek konfede-
racji dzikowskiej i wydał w ręce regimentarza. Przez osiem mie-
sięcy więziony był najpierw w Jarosławiu, a następnie w Kamień-
cu. Przez ten czas wszyscy jego dawni podwładni i przyjaciele
przeszli do obozu zwycięzcy, pozostawiając Branickiego na pastwę
zmiennych losów kapryśnej fortuny. Jeden tylko szesnastoletni
Maciej Starzeński nie opuścił swego pana w tak ciężkiej niedoli,
a zacny ten postępek stał się początkiem przyszłego znaczenia
i fortuny mego ojca.

Kiedy sprawa elektora saskiego odniosła stanowcze zwycię-
stwo, Branicki nie tylko odzyskał wolność, ale nadto z rąk wdzięcz-
nego monarchy, dla którego cierpiał, otrzymał liczne dowody łaski
pańskiej, a w ich liczbie hetmaństwo polne koronne. Gdy przeto,
do wielkiego osobistego majątku, odziedziczonego po przodkach,
przybyły Branickiemu nadane królewsczyzny: Bielsk i Brańsk
na Podlasiu, można było właściciela Białegostoku postawić w pierw-
szym rzędzie magnatów polskich.

Jan Klemens Branicki był to pan rozumny, wspaniałomyśl-
ny, odważny, obowiązkowy i dla każdego grzeczny. Te zalety
jednały mu szacunek ludzki, więc zawiść, zemsta i oszczerstwo
musiały zamilknąć nawet wtedy, kiedy znalazł się w najkrytycz-

niejszem położeniu, ożeniwszy się po raz trzeci z Izabellą Ponia-towską, córką kasztelana krakowskiego, a siostrą późniejszego króla.

II.

August III drogo przypłacił zbyt blizkie sąsiedztwo z Fry-derykiem Wielkim. Poprzednik jego, August II, uczynił krok wielce nierozważny, wiążąc się z Piotrem Wielkim przymierzem przeciw Szwecyi. Saksonia zaledwo odetchnęła nieco po śmierci Karola XII, kiedy wybuchła wojna siedmioletnia. Król pruski zagarnął tę prowincyę, wojsko saskie rozbroił, a kraj niemal cały spustoszył. Oddziały rosyjskie, przechodząc Litwą i Podlasiem, ciągnęły na pomoc Austryakom i zajmowały Prusy Wschodnie z Królewcem.

Właśnie w epoce powyżej opisanych niepokojów wojennych w Europie przyszedłem na świat, d. 29 września 1757 r., w pałacu Branickich w Warszawie.

Astrologowie twierdzą, iż planety wywierają zły lub dobry wpływ na losy ludzkie. Czytałem z zajęciem wiele dzieł, traktujących o tym przedmiocie. Pod jaką gwiazdą się urodziłem, tego nie wiem, to tylko pewna, iż Warszawa i pałac Branickich, w którym światło dzienne ujrzałem, odegrały niemałą rolę w późniejszych kolejach mojego życia.¹⁾

Pan hetman tyle względów okazał wówczas mojej matce, iż o kilka dni opóźnił wyjazd swój ze stolicy, chcąc się doczekać jej wyzdrowienia. Dozór nademną powierzył zasłużonemu starymu majorowi Szuczkowskiemu, który wycofany już z czynnej służby, był rezydentem a zarazem korespondentem Branickich w Warszawie.

Po pewnym czasie przewieziono mnie do Białegostoku. W pałacu jednak hetmańskim nie było już miejsca dla nowego przyby-sza, oddano mnie zatem na wychowanie do p. Sobolewskiego, drugiego pisarza biura wojennego, który wraz z matką i starą babką zajmował mały domek nad stawem niedaleko młyna. Z domu tego, gdzie spędziłem błogie trzy lata, wyniosłem jak najmil-

¹⁾ Pałac ten, zwany później domem Dyzmańskich, leży przy ulicy Miodowej i Podwalu (obecnie № 4 przy ul. Miodowej). Dzieje tego pałacu opisał Al. Kraushar w „Tygodniku Ilustrowanym“ z 1898 r. № 43 i 44.

sze wspomnienia o wysokiej moralności tych zacnych ludzi, oraz o czystości i wzorowym porządku, jaki u nich panował. Olbrzymi hajduk czy kozak nosił mnie tylko od czasu do czasu przed oblicze rodziców. Gdy skończyłem trzy lata, wyznaczono mi w pałacu mały pokój, który zamieszkiwałem wraz z dodanym sobie mentorem, cudzoziemcem i awanturnikiem, imieniem Drake.

Ktoby sądził, iż dziecko dwu albo trzyletnie słabo tylko od-czuwa, i nie jest jeszcze zdolne przejąć nic od swego otoczenia, myliłby się grubo. Pierwsze wrażenia najsilniej zarysowują się w umyśle i sercu dziecka i one to przeważny wpływ wywierają na późniejsze jego poglądy i czyny, a zatem nieraz są powodem szczęścia lub niedoli całego życia.

III.

Pod koniec panowania Augusta III, Jan Klemens Branicki, podówczas już hetman wielki koronny i kasztelan krakowski (1762 r.), jako pierwszy dostojnik cywilny i wojskowy Rzeczypospolitej, oraz pan olbrzymiej fortuny, posiadał w Białymstoku dwór świetniejszy i wspanialej urządzonej od niejednej rezydencji udzielnego księcia rzeszy niemieckiej. Pułk piechoty i dragonów, oraz dwie kompanie piechoty: węgierska i janczarska, jako nieodłączne od osoby w. hetmana, stanowiły stałą pałacową załogę. Nadto utrzymywał jeszcze hetman z własnych funduszków dwa szwadrony: jeden tak zwanych forpocztów a drugi ułanów, złożone wyłącznie ze szlachty podlaskiej. Oddziały te, nie ustępujące w niczem pułkom liniowym, były szkołą doskonałych żołnierzy. Grono oficerów składało się z Sasów, Prusaków i Polaków, którzy, po powrocie z wojny siedmioletniej, tutaj zostali umieszczeni. Był również komendant placu, była szkoła budowli wojskowych i cywilnych, miernictwa, inżynierii i jazdy, sala mustry i fechtunku, oraz pensja żeńska. Służba wojskowa odbywała się tu niemal z surowością pruskiej dyscypliny, łagodzonej tylko saską grzecznością i ogładą. Każdego z czynnych adjutantów hetmańskich, bez względu czy był Polakiem czy cudzoziemcem, pobudka ranna wyciągała bez litości z łóżka. Hetman, jakkolwiek już sześćdziesiąt kilka lat podówczas liczący,¹⁾ dawał sam dobry przykład

¹⁾ Urodzony 21 września 1689 r.

i o szóstej rano bywał zawsze na nogach. Od szóstej do siódmej załatwiał sprawy gospodarcze. Od siódmej do ósmej przychodzili sekretarze cywilni czytać mu listy i odbierać rozkazy do odpowiedzi na nie, poczem do dziewiątej przebywał w gronie zaufanych przyjaciół, którzy go nieraz zabawiali opowiadaniem drobnych wypadków kroniki skandalicznej dworskiej. O dziewiątej zjawiali się oficerowie załogi z oddziałem służbowym i muzyką wojskową, hetman bowiem nie uchylał się nigdy od popisów swojej armii. Następnie składał obowiązkową wizytę żonie, o jedenaście słuchoł mszy św. w kaplicy pałacowej, poczem podpisywał wszystkie akta i papiery wojskowe. O dwunastej zajeżdżał powóz, którym sędziwy dostojnik odbywał codzienną przejażdżkę, zwiedzał budujące się gmachy i inne urzędnienia, a po powrocie, o pierwszej, udawał się na pokoje, gdzie zastawał już panią hetmanową w towarzystwie dam dworskich, komendanta placu, cudzoziemców, których zaproszono na obiad, oraz zwykły personel pałacowy. Czarną kawę podawano w ogrodzie i rozchodzono się o trzeciej. Stary hetman odbywał wtedy poobiednią drzemkę, pani cofała się do swoich apartamentów i dopiero o piątej schodzono się znowu dla wspólnej obowiązkowej przechadzki. Przez ogród szło zwykle całe towarzystwo do parku albo do teatru, gdzie popisowała się wyborowa trupa śpiewaków włoskich, doskonala orkiestra i balet. O ósmej podawano wieczerzę, do której zasiadało tylko zwykłe grono domowników. Służba pałacowa była liczna a strojnie odziana, dobrze płatna i dobrze żywiona, spełniała gorliwie swe obowiązki.

W dobrach, należących do hetmana, panował dobrobyt i wzorowy porządek. Branicki kazał wszędzie stawiać piękne i trwałe budowle, oraz fundował wiele zakładów użyteczności publicznej, jako to: kościoły, szpitale, domy dla sióstr miłosierdzia, klasztor dla księży, utrzymujących szkoły i t. p. Nadto utrzymywał stałego lekarza, kilku biegłych chirurgów dla niesienia pomocy wszystkim chorym, w majątnościach jego będącym. W porównaniu do ogólnego stanu rolnictwa w kraju, gospodarstwo na mnogich folwarkach hetmańskich było bardzo starannie prowadzone. Olbrzymie stada koni wszelkich ras i sławne ogiery, z różnych obcych krajów sprowadzane, pasły się na obszernych łąkach. Ogrody białostockie szeroko słynęły, kierowane umiejętną ręką głównego ogrodnika, rodem z Holandyi, a oranżerya współzawodniczyła z drezdeńską. Wyprawy myśliwskie, podczas których hetman lustrował także swoje wioski, trwały zazwyczaj sześć tygodni, a nie licząc innego zwierzca, nie rzadko po sto dwadzieścia

wilków padało ofiarą tych łowów. Wyświadczano tem niemają usługę okolicy, uwalniając ją od tak szkodliwych drapieżników.¹⁾

Wśród takich to warunków i otoczenia rostem na dworze hetmańskim, spędzając dni całe w towarzystwie Jasia, syna staro pułkownika Andrzeja Węgierskiego, szlachcica wielkopolskiego, który, usunąwszy się od czynnej służby, miał sobie powierzony nadzór nad stajniami i piwnicą pałacową. Pocziwy ten człowiek był ciałem i duszą oddany Branickiemu. W czasie wielkich uroczystości wkładał odświętny mundur i czynił honory domu, pilnując aby gościom niczego nie brakło, oraz zapraszając ich do picia. Żonę miał prześliczną, ale jakby za karę grzechów posłubił ją na swoje utrapienie i nawzajem nie potrafił jej uszczęśliwić. Mieli jedynaka syna, Jasia, a że dom ich był tylko o dwadzieścia kroków od mieszkania moich rodziców, więc pan Drake był wspólnym naszym mentorem. Pani Branicka, lubująca się w okazałości i przepychu, miała sześciu paziów, przybranych po sasku, a pochodzących z najpierwszych rodzin szlacheckich. Paziowie ci pobierali nauki zarówno cywilne, jak wojskowe, a główny ich nauczyciel stary Sas, Egwałt, dawał i mnie też lekcye języka niemieckiego, pan Drake bowiem, nie wiadomo czy Szwajcar czy Francuz, dowodził, iż przedmiot ten do niego nie należy. Jakkolwiek kochaliśmy się bardzo z Jasiem, charaktery nasze przedstawiały kontrast zupełny: o ile bowiem mały Węgierski był cichy, powolny i spokojny, o tyle mój temperament wymagał ciągłego ruchu. Byłem żywy i pojętny, miałem zmysł spostrzegawczy i dowcip; gdy postępowano ze mną łagodnie, służyłem chętnie i ulegałem starszym bez przymusu, ale okazywałem upór i zawziętość, ile razy zdawało mi się, że mam racyę, albo doznaję krzywdy. Zaledwo nauczyłem się biegać, zaraz przybrano mnie po luzarsku: w wojskową czapczkę z pióropuszem, szablę i bućki z ostrogami. Przy końcu obiadu przywoływano mnie do stołu, a hetman, udając, iż potrzebuje mojej pomocy, kazał sobie podawać czapkę, laskę, wreszcie rękę, opierał się lekko na mojem

¹⁾ Opisy dworu białostockiego za czasów Branickiego zawierają m. inn. pamiętniki Marcina Matuszewicza (Warszawa, 1876); szlachcica podlaskiego (Fr. Biłgorajskiego), „Czas,” 1877; Anny Potockiej (wyd. Kaz. Stryjeński w Paryżu, 1902); Broglie: „Le secret du roi” (Paris, 1879). Na tle ówczesnych stosunków białostockich osnuł J. I. Kraszewski powieść historyczną p. t. „Grzechy hetmańskie,” zaś Kajetan Kraszewski opowiadanie dziejowe p. t.: „Bartochowski,” oraz niektóre szkice powieściowe w zbiorze p. t. „Z podań i szpargałów” (Kraków, 1892).

ramieniu i opuszczał salę, udając się do swoich prywatnych komnat. Tu zwykle zasypiał, a ja miałem obowiązek pilnować, aby muchy nie przerywały błogiej drzemki pańskiej.

Młoda, bo zaledwo dwudziestoletnia moja matka, uważając, iż nadszedł już czas nauki, zaczęła sama zajmować się moją edukacją. Nastąpiły dla mnie ciężkie czasy. Dyrektor baletu, Patini, zadawał mi prawdziwe męki, układając nogi do tańca; na plecy założono mi pręt żelazny, zdawało się bowiem wychowawcom, iż nie jestem dość prosty; dwie stare wiedźmy, brzydkie jak grzech śmiertelny, z których jedna zwała się Barbara a druga Jabłonowska, pełniły urząd policyi poprawczej, bywałem więc nieraz przez nie karany; dręczono mnie przytem papilotami, a nadto kupowano u fryzyera Francuza plastry smołowe, które przyklejano mi do skroni, moda bowiem ówczesna wymagała, ażeby czoło było wysoko niezarośnięte i miało formę kwadratu. Stanowiło to istną torturę, przy odejmowaniu bowiem takiego smołowego plastra, wrywały się wszystkie włosy pod nim będące, ale moda była nieubłagana. Burzliwy mój mentor, Drake, nietylko że wcale nie troszczył się o mnie, ale nadto dawał mi przykład najniemoralniejszej konduity. Razu pewnego, gdy obecność moja, bardziej niż kiedykolwiek, była mu nie na rękę, obszedł się ze mną tak brutalnie, iż, padając na wznak w płonące zarzewie kominka, opaliłem sobie włosy i zraniłem się boleśnie w głowę. Awantura ta ściągnęła straż, stojącą u drzwi mieszkania mojego ojca, Drake dostał się pod areszt i naturalnie utracił zajmowaną posadę, a ja do końca życia zachowałem wstręt do cudzoziemskich awanturników.

Oswobodzony z tej pierwszej w życiu niewoli, towarzyszyłem wkrótce potem matce w podróży do Lwowa, a stamtąd do Psar, rezydencyi owdowiałej wówczas już babki mojej po kądzieli, pani Trembińskiej. Była to niepospolita umysłem i nad wyraz zacna matrona polska. Nie potrafię opisać jej pobożności, dobroci, słodyczy, uprzejmości dla wszystkich, oraz przywiązania i poświęcenia dla dzieci. Ład, porządek wzorowy, oszczędność i dobrobyt panowały w jej domu. Dwóch synów wysłała była niedawno do Theresianum w Wiedniu, czuła się szczęśliwą z dobrego losu zameężnych córek, a ojciec mój był wielkim jej ulubieńcem. Mnie uważała za ósmy cud świata, albowiem, mając zaledwie lat cztery, szczebiotałem już po francusku i po niemiecku, rysowałem niezłe, znałem różne wojenne ćwiczenia i sposób bicia w bęben. Ponieważ matka moja zostawiła mnie na czas dłuższy u babki, a sama musiała wyjechać do Lwowa, przeto rozpocząłem tu na nowo przerwane nauki. Jakże odmiennie traktowano je tutaj!

Przyjęto system całkiem dla mnie nowy, a nader miły: uczyłem się prawie zabawą. Nigdy nie zapomnę zacnego ks. Popławskiego, który mi dawał lekcye języka polskiego i religii. Szanowny staruszek, imieniem Laskaris, Francuz, kawaler orderu św. Ludwika, i drugi rodak jego, Pirris, nauczyciel książąt Sanguszków, obaj ludzie światli i poważni, wpłynęli też niemało na rozwój mój umysłowy i nauczyli wczesnie odróżniać złe od dobrego. Ojciec mój przyjechał sam po nas do Lwowa i razem wróciliśmy do Warszawy. Tu, nie wiem dlaczego i z jakich powodów, oddano mnie na pensyę żeńską, utrzymywaną przez starych państwa Souchet, Francuzów. Codziennie, w porze obiadu i wieczerzy, znajdowałem się w towarzystwie sześciu czy ośmiu panienek z dobrych domów polskich, które później widywałem, jako sławne piękności, na eleganckim dworze króla Stanisława Augusta. Zakład ten, o ile mi się zdaje, był pod protektoratem Czartoryskich. Nabrałem tu ładnego francuskiego akcentu, nauczyłem się w towarzystwie owych dziewczynek wszystkich gier i piosenek dziecińczych i nabrałem tej szczerej wesołości, która mnie nie opuszczała odtąd nigdy, nawet w najkrytyczniejszych chwilach mojego życia.

IV.

Niestety, nie długo cieszyłem się miłą swobodą na pensyi państwa Souchet, gdyż rodzice umieścili mnie niebawem w kolegium Teatynów, przy ulicy Długiej będącem, a działo się to w chwili zgonu Augusta III.

Już na pewien czas przed śmiercią tego monarchy rozpoczęły się tajne knowania panów ambasadorów i różnych emisaryszów politycznych. Potworzyły się partye, — nie oszczędzono pieniędzy dla swoich celów. Francya była obojętną, Austria nie miała jeszcze czasu dźwignąć się po wojnie siedmioletniej, jedna Rosya czuwała, a panowie dyplomaci układali plany na przyszłość. Familia Czartoryskich stanęła już była wówczas na świeczniku przez swą magnacką fortunę, jako też przez pierwszorządne koligacye i stosunki. Książę wojewoda ruski, August i kanclerz litewski, Michał, obaj ludzie wybitnych zdolności, byli głównymi przedstawicielami tej rodziny. Książę wojewoda ruski podwoił jeszcze znaczenie swego domu przez małżeństwo syna, Adama, z hr. Flemming, za którą wziął olbrzymie ziemskie posiadłości.

Ojciec panny, jako nieporównany administrator dóbr i lasów skarbowych, zrobił na tem stanowisku milionową fortunę; zakupił następnie, prawie za bezcen, wielkie dobra na Litwie i tu zasłynął jako znakomity gospodarz i ekonomista. Jedną z Czartoryskich była za Poniatowskim, przyjacielem i wiernym druhem Karola XII a ojcem późniejszego króla. Poniatowski ten, zarówno odważny wojownik, jak zręczny polityk, już po zwycięstwie nad Szwedami, mianowany kasztelanem krakowskim, pierwszym senatorem Rzeczypospolitej, otrzymał różne nadania i starostwa. Miał czterech synów: najstarszy Kazimierz, którego zwano księciem podkomorzym, drugi syn był prymasem, trzeci generałem w służbie austriackiej, najmłodszym był Stanisław. Z dwóch córek jedną wydał za Zamoyskiego, wojewodę podolskiego, drugą, znaną pod mianem „pani Krakowskiej,” za Jana Klemensa Branickiego.

Ponieważ Czartoryscy byli, rzec można, wszechwładnymi panami w Rzeczypospolitej, przeto nie ukrywali się z zamiarem pozyskania korony polskiej dla jednego ze swoich, a że księżę wojewoda ruski i księżę kanclerz litewski, z powodu lat podeszłych, nie ubiegali się już o nią dla siebie, wybór zatem „familii“ jednogłośnie wskazywał na księcia Adama. Kandydat ten, obok prawdziwej nauki i świetnej ogłady, jaką otrzymał, posiadał też niezaprzeczoną wartość osobistą. Ale losy zrzuciły inaczej i wszystkie zabiegi „familii“ rozbiły się o zręczną politykę Poniatowskich.

Stanisław, najmłodszy syn kasztelana krakowskiego, wychowany na sposób cudzoziemski, wykwintny, wykształcony i niepospolitej urody młodzieniec, był ulubieńcem i ozdobą salonów ówczesnego eleganckiego świata. Siostra jego, „pani Krakowska,” nie szczędziła mu też uwag i wskazówek w tym względzie, otrzymując nadto dla niego zasiłki pieniężne od męża, lubo stary hetman nie lubił tego modnego, zniewieściałego i zalotnego szwagra wykwintnisia, cwałującego nieraz przy drzwiach jego karety, w czasie spacerów starego magnata. Wybór na posła od ziemi bielskiej, na sejmiku w Brańsku, zawdzięczał młody Poniatowski głównie staraniom i wpływowi mojego ojca.

Jeszcze za życia Augusta III uradzili Czartoryscy, aby go wysłać w interesach „familii“ na dwór rosyjski do Petersburga, dodając mu za towarzysza młodego Branickiego. Tu, zaszczycony względami wielkiej księżnej Piotrowej, późniejszej Katarzyny II, ten wysłannik rodziny Czartoryskich ujrzał niebawem przed sobą otwartą drogę do tronu, o którym osobiście nigdy przedtem nie marzył. Elekcyja jego odbyła się w wiadomych wszystkim warunkach: oddział wojska rosyjskiego blokował Warszawę, a poseł

Kaysersling i zięć Panina, Repnin, grozili oponentom konfiskatą dóbr, Sybirem, aresztem i t. p.

Gdyby nie wiek podeszły Branickiego, oraz wpływ zdrowych i pokojowych rad mojego ojca, byłby hetman mógł w owym czasie rozniecić ogień wojny domowej. Nie uczynił jednak tego: owszem, powstrzymał zapędy młodego wojewody wileńskiego, Radziwiłła, rozporządzającego siłą zbrojną 6,000 ludzi i wojewody Potockiego, który miał za sobą niemal całe Podole, a sam, dla uniknięcia bratniej krwi rozlewu, zebrawszy nieliczne oddziały, pozostające w Warszawie, cofnął się z nimi na Węgry, do pogranicznego Bardyowa (swojej majątności), czekając dalszych wypadków. Siostra nowego króla towarzyszyła mężowi w tej sprawie. Wszędzie po drodze przyłączały się do nich pojedyncze polskie chorągwie, tu i owdzie stojące, a tak wielki zapał był w sercach tej małej garstki żołnierzy, iż jednogłośnie domagano się, aby ich hetman wiódł na nieprzyjaciela. Branicki jednak stary i w krytycznych chwilach zwykle chwiejny, nie mógł się zdobyć na krok tak stanowczy, tembardziej, iż większość jego oficerów, zjednana świetnymi obietnicami przez popleczników nowego monarchy, nie dawała mu dostatecznej rękojmi zaufania. Mokronowski, który był dowódcą kawaleryi i udawał zucha na elekcyi, następnie tak rzeczy pokierował, iż cała jego armia stopniała nakszałt wiosennego śniegu. Branicki uznał za stosowne udać, iż nie widzi tej zdrady i pośpiesznie rozpuścił resztę swoich oddziałów, wysyłając je na dawne leże, w obawie, aby go nie opuściły samowolnie.

V.

Jak już wyżej wspomniałem, z pensyi państwa Souchet odano mnie do kolegium Teatynów,¹⁾ powierzając znowu opiece zacnego emeryta, majora Szczukowskiego. W konwicie tym umieszczono mnie wraz z czterdziestoma towarzyszami w olbrzymiej sali, podzielonej na wzór stajni na dwadzieścia przegród. Mała tylko liczba dzieci, wyjątkowo uprzywilejowanych, miała pokoje oddzielne.

¹⁾ O kolegium Teatynów w Warszawie pisał Julian Bartoszewicz w swych „Studyach hist. i lit.,” II, 392 sq. Dzieła IX. Kraków, 1881.

Ojciec Antoni Marya Portaluppi, przełożony zgromadzenia Teatynów, Włoch duszą i ciałem, był w swoim czasie głównym kierownikiem wychowania Stanisława Augusta. Okoliczność ta wpłynęła na szybkie urządzenie odpowiedniego lokalu i sprowadzenie do Warszawy kilkunastu zakonników Włochów tejże reguły. Przeszło pięćdziesięcioletni już wówczas Portaluppi mieszkał we wspólnie urządzonych apartamentach, niedostępnych dla profanów, ale dobrze znanych wszystkim Włoszkom śpiewaczkom i tancerkom warszawskiego teatru, które tu, niemal w każde święto, suto podejmował różnymi przysmakami, przysyłanymi mu obficie przez Poniatowskich, Czartoryskich i całą „familie“.

Pomiędzy uczniami znajdował się bratanek króla, młody Stanisław Poniatowski, dla którego właściwie cała ta szkoła została założona. Ten używał całkiem wyjątkowych tu praw i przywilejów, nas zaś czterdziestu, zamkniętych w wielkiej sali, zaliczano do motłochu, na który nie zwracano żadnej uwagi, a pomimo, iż rodzice nasi drogo za naukę i utrzymanie płacili, formalnie przymieraliśmy z głodu. Były pomiędzy nami tak nieszczęśliwe dzieci, o które nawet rodzina własna się nie troszczyła, te więc już tylko na opiece Boskiej pozostawały.

Z liczby kilkunastu Teatynów, znajdujących się wówczas w tym zakładzie, przypominam sobie starego o. Rotingo, który, ustawiwszy w dwóch celach szafy wybornych cukrów i konfitur własnej roboty, z wielkiem powodzeniem zamieniał je na dukaty. Uchodził za najbieglejszego fizyka i chemika swojego czasu i jako taki wyrabiał sławne likiery, perfumy, lak, czekoladę i t. p. rzeczy, które następnie spieniężał. Młodzi o. o. Labini i Maniani, nie posiadając talentów swego towarzysza, nie zajmowali się właściwie niczem, ale nie mogli narzekać na nudy, płynące z próżniaczego życia, albowiem co dzień o czwartej po południu zbierało się u jednego z nich wesołe grono włoskich aktorów, kupców i pięknych kobiet. Z całego grona płochych zakonników, myślących tylko o sobie, zacny o. Pirelli, krewny kardynała, był prawie jedynym, który gorliwie zajmował się wychowaniem kilku chłopców, powierzonych wyłącznie jego opiece. Oprócz niego muszę jeszcze wymienić drugiego poczciwego i godnego człowieka, Ormianina, Mikołajewicza. Był on prawdziwym filarem konwiktu, a mając sobie oddany nadzór nad naszą salą, sumiennie się z tego wywiązywał, jakkolwiek nie był w stanie złemu wszechstronnie zaradzić. Nauczyciele Niemcy i Francuzi, którzy w pewnych oznaczonych godzinach przychodzili udzielać nam lekcyj, byli istnemi karykaturami pedagogów. Za nic też ich sobie mieliśmy

004/26

i płataliśmy im przeróżne figle. U drzwi sali urzędzała się zwykle pułapka na wchodzących i nauczyciel padał jak długi. Dopieroż zaczynała się uciecha i takie dokazywanie, że nieraz peruka którego z pedagogów wyleciała za okno. Wieczorem zaś, gdy poczciwy Mikołajewicz, uznojony trudami całodziennej pracy, twardo zasypiał, nie rzadko bywałem świadkiem najniemoralniejszych wybryków gorszącej swawoli. Do stołu z uczniami nie zasiadał nigdy żaden Teatyn, i nie dziw, albowiem spleśniały chleb, stęchła mąka, słone sery, pomieszana z piaskiem kasza i resztki najgorszego mięsa składały się na nasze pożywienie. Na szczęście anioł mój opiekuńczy, poczciwy stary major, przybył mi na ratunek: kazał mnie przenieść do oddzielnego pokoju, oddając pod dozór o. Pirellego, przeznaczył mi do usług wierne go szlachcica, kaprała Pawlusia, a nadto zostawił pewną sumę pieniędzy na herbatę oraz inne nieodzowne wydatki. Było mi więc teraz o wiele lepiej, tem bardziej, iż wymyśliłem sobie sposób zarobkowania, robiąc rachunki i pisząc ćwiczenia za niezdolnych lub leniwych kolegów, którzy mi ten trud opłacali świeżym chlebem, obwarzankami i t. p. przysmakami. Złe jednak poprzednie pożywienie sprawiło, iż mając zaledwo lat siedem, rozchorowałem się na niebezpieczne cierpienie kamienia pęcherzowego, który wprawdzie wyszedł szczęśliwie bez operacyi, ale już na zawsze wpłynął niepomyślnie na ogólny stan mojego zdrowia.

Wychowanie publiczne spoczywało w ręku dwóch zgromadzeń zakonnych, a mianowicie: Teatynów i Pijarów. Szkoły tych ostatnich, po reformie Konarskiego, zażywały w kraju coraz większej wziętości, stąd wywiązała się niebawem silna rywalizacja pomiędzy tymi zakładami naukowymi. Ponieważ w szkole Pijarów uczniowie przygotowywali się do odegrania polskiego dramatu zaraz po koronacyi, więc i Teatyni postanowili wystąpić z przedstawieniem włoskiem. Z tego powodu kazano nam porzucić na pewien czas łacinę i francuszczyznę, a oddać się mozolnemu wyuczeniu się odpowiednich ról dramatycznych po włosku. Zaszedł jednak w gmachu klasztornym wypadek, który o mało nie sparaliżował wszystkich tych przygotowań i projektów. Antagonizm, jaki w tym czasie rozdzielał Rzeczpospolitą na dwa wielkie stronnictwa: za i przeciw królowi, udzielał się nawet pacholętom, które przejmując od rodziców i krewnych ich sympatyje i antypatyje, zapłonęły niebywałą w tym wieku namiętnością. W przeddzień więc koronacyi (1764 r.) wybuchła wśród chłopców naszego konwiktów zawzięta walka polityczna, zakończona bójką w ogrodzie, pomiędzy partyzantami nowego króla a zaciętymi jego prze-

ciwnikami. Ja należałem do tych ostatnich i wraz ze wszystkimi towarzyszami politycznych moich przekonań zostałem za karę pozbawiony uczestnictwa i widoku uroczystości koronacyjnych. Tak mnie to oburzyło, iż stanowczo odmówiłem udziału w mającym odbyć się przedstawieniu włoskiem. Ojca mego nie było podówczas w Warszawie, znajdował się w Białymstoku, przy boku hetmana, który pozbawiony na sejmie w 1764 r. praw i przywilejów dawnego urzędu, miał już teraz zaledwo dwie chorągwie pod swoją komendą. To też dumny, choć przygnębiony klęską swą Branicki, za poradą mojego ojca, odmówił przybycia do stolicy na koronację młodego szwagra. Ojciec mój skorzystał z tej chwili, a że czuł się spracowany i niezdrów, matka również, a i moje zdrowie wymagało koniecznie rychłego poratowania, uzyskał paromiesięczny urlop, odebrał mnie z konwiktu i wszyscy troje razem wyruszyliśmy w podróż do wód, do Pirmontu.

VI.

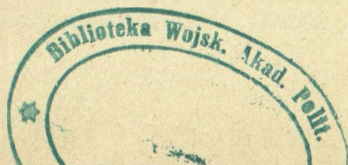
Hetman Branicki wkrótce powrócił do względów królewskich, już to z powodu wielkiej swej potęgi, której się obawiano, już to dla swego małżeństwa z Poniatowską, siostrą króla. Poprzednia jednak niełaska odbiła się na losach mojego ojca, na którym sprawdziło się dawne przysłowie: „nie po koniu, to po hołoblach.“ Jego to radom przypisywano postępowanie hetmana. Wprawdzie wyjazd tegoż z Warszawy nie przeszkodził w niczem ambitnym planom Stanisława Augusta, ale pragnieniem jego było, aby dumny hetman pierwszy ugiął kolan przed ukoronowanym bratem żony, co by przyczyniło się znacznie do usświetnienia uroczystości koronacyjnych. Istotnie ojciec mój odradzał Branickiemu i hetman wyjechał. Jako dziecko tego doradcy, ukarany za to zostałem w konwikcie, a ojciec postanowił wyjechać za granicę, aby uniknąć intryg i zemsty kreatur nowego króla.

Ojciec mój, przejeżdżając przez Warszawę, zabrał mnie i wyruszyliśmy w drogę. Gdyby nie obecność mojej matki i moja, ojciec prawdopodobnie byłby odbył tę podróż konno; dla tych jednak dwóch członków swej rodziny oraz panny służącej wyjechaliśmy trzema pojazdami, z których jedna sześciokonna karetą, dalej szedł czterokonny powóz i bryczka. Wierny Pudkowski towarzyszył nam konno. Droga szła na Poznań. Z Poznania udaliśmy się do Iłowca, majątku kasztelana gnieźnieńskiego, naj-

starszego brata mego ojca, podówczas 70-cioletniego starca. Wysocki, barczysty, pomimo podeszłego wieku, był jeszcze w pełni wszystkich władz umysłowych. Ożeniony po raz trzeci, był ojcem licznej bardzo rodziny, zamieszkującej przyległe do pałacu oficyny. Wychowanie i wyposażenie tyłu dzieci nie dozwoliły mu powiększyć majątku, ale długów nie miał; bo jako człowiek umiarkowany i skromny, w karty nie grywał, na miłostki nigdy pieniędzy i czasu nie tracił; przytem ani zbyteczne upiększanie siedziby, ani polityczne ambicje budżetu jego nie naruszały. Przybycie mego ojca sprawiło mu wielką przyjemność. Urządzo-
no nam wygodny nocleg, a nazajutrz nastąpiła prezentacya czterdziestu osób obu płci, nie licząc sporej gromadki uroczych i wdzięcznie ubranych panienek. Wszystko to byli synowie, synowe, córki, zięciowie, wnuki mojego stryja; co się tyczy owych panienek, były to córki sąsiednich obywateli, od 8 do 10 lat mające, powierzone przez rodziców moim stryjostwu, aby korzystały z edukacyi, udzielanej jego dzieciom i wnukom. Sprowadzono dla nich nauczycieli do niemieckiego i francuskiego języka i do muzyki. Koszt był wspólny, a mój stryj dawał gościnnie całe utrzymanie. Co do mnie, to pamiętam, że zwracałem na wszystko ogromną uwagę; niedawne wspomnienia pana Drake, Souchetów i Teatynów w porównaniu z wychowaniem, jak je pojmowano u mego stryja, przechylały w umyśle moim wagę na stronę wychowania domowego w przeciwstawieniu do zakładów publicznych. Zaszła jednak mała okoliczność, która zmartwiła mego stryja.

Po obiedzie panienki rozłożyły swoje kajety, popisywały się swymi talentami, grały na klawikordzie, miał być nawet balik z nieodzownym podówczas menuetem. Tymczasem metr tańca zniknął tak, że go odnaleźć nie było można. Pokazało się potem, że poprzednio służył za laufra w Białymstoku u hetmana, lecz skutkiem jakiejś sprawy uciekł do Wielkopolski, przebrał się i przedstawił tutaj w charakterze nauczyciela tańca; poznawszy w pośród naszej służby dawniejszych swoich kolegów i towarzyszy, bojąc się wyjaśnienia i kompromitacyi umknął skrycie.

Najwięcej na tem ucierpiał niedouczony menuet; panienki myliły się, błąkały, czerwieniąc się po śliczne uszki i spuszczały piękne oczki. Cała ta katastrofa nie wpłynęła jednakże ujemnie na ich los, wszystkie dobrze powyrastały, doskonale za mąż wyszły, były dobrimi żonami, matkami, gospodyniami domu. Spotykałem je potem równie często, jak i moje małe koleżanki z pensyi Souchet, tamte jednakże były przeważnie zalotne kokietki i gorzej nawet.



Moi rodzice zabawili kilka dni w Iłowcu, odwiedzili znajomych w sąsiedztwie; wszędzie byli witani z radością i wszędzie zasięgali rad co do prowadzenia dalszej podróży. Ojciec chciał podróżować swymi końmi, matka była za pocztą. Ojciec, który z zasady nigdy nie oponował kobietom, ustąpił matce, która zapewniała, że sądząc z tego wszystkiego, co czytała i słyszała, to jest najdogodniejszy sposób podróżowania, że oberże są szczytem wygody, a drogi jaknajlepsze. Zdecydowano się na odesłanie powozu, bryczki, koni i ludzi, pozostawiono tylko poczworną karete.

Siostrzeniec mego ojca, znający język niemiecki, dodany nam został za towarzysza. Obaj z ojcem moim ubrani byli w polskie stroje. Ze służby mieliśmy dwóch ludzi, starszego Jabłonowskiego i lokaja Niemca, Krystyana. Dojechaliśmy doskonale do granicy, po której przejechaniu rozpoczęły się mniej szczęśliwe, niżej opisane wydarzenia.

Pocztylion zszedł z konia, zapalił fajkę i rozpoczął z Krystyanem rozmowę, z której ani słówka nie straciłem. Według niego byliśmy pewno Turcy lub Tatarzy; dla swobodniejszej rozmowy siadał sobie na wierzchu karety, pożywiał się, karmił, poił konie i zatrzymywał przed każdą spotkaną na drodze karczną. Przybywszy do miasta, przeznaczonego przez nas na nocleg, zajęczał przed oberżę, wyprzęgał konie i zostawiał nas bez żadnej opieki ani wskazówki. Ojciec, cierpiący na oczy, poczynął się niecierpliwić, matce mej nogi obrzękły, i mnie również, wyglądałiśmy więc z utęsknieniem Berlina. Berlin miał wszystko naprawić. Ojciec obawiał się trudności na komorze. Obawy jego były uzasadnione. Przed wyjazdem sam wszystkie rzeczy pakował. Przyjechawszy do rogatki dowiadujemy się, że mamy się udać do packhausu w Oberzollamcie—stamtąd dopiero do oberży. W czasie rewizyi rzucono się i odebrano nam pudełko tabaki, butelkę wina, butelkę herbaty i talię starych kart, które wzięto dla mojej zabawy. Nie dosyć na tem—gdyśmy już byli w oberży, przybyło znów czterech celników, Francuzów, którzy zrobili rewizyę, dostali każdy po talarze i poszli sobie, następnie znów dwóch, później grenadyer, który nas eskortował, potem kapral, którego wysłali, potem urzędnik z Oberzollamtu, który dowodził rodzicom, jak dalece przekroczyli przeciw prawom celnym i rozkazom królewskim i że li tylko kosztem 60 dukatów będzie to można złagodzić i ułatwić. Mój kuzyn, Jan, zapłacił to, co chcieli, sprawę zakończono, oddano nam puste butelki i jakieś papiery.

Ojciec mój poszedł obejrzeć z Janem miasto, ja zostałem z matką. Nowe sceny w oberży. Co chwila wchodziły do nas jakieś nieznane, podejrzone figury. Czterech czy pięciu roznosicieli różnych towarów, jacyś dymisyonowani żołnierze Polacy, żebracy, panie z damskimi strojami, a w końcu ukazał się jakiś elegant *incroyable*, mówiący dobrze po francusku, oświadczył nam, że dużo ma współczucia dla osób, przybyłych po raz pierwszy do Berlina, gdzie można być oszukany na każdym kroku, a zatem ofiaruje nam swoje usługi—w końcu długiej swojej przemowy zaproponował kupno brylantów (naturalnie fałszywych), które miał przy sobie. W tej chwili wszedł ojciec z pułkownikiem saskim Renard'em, przybyłym do Berlina na rewię. Elegant znikł, jak kamfora, a ów pułkownik, zacny i uczciwy człowiek, zaopiekował się nami ostatecznie.

Rewia miała się wkrótce zacząć; wyszliśmy na spotkanie pułków, które napływały ze wszystkich stron. Nastawiałem uszu, żeby ani słóweczka nie uronić z tego, co mówił dzielny pułkownik. O godzinie 2½ z rana pułki poczęły gromadzić się na piaszczystej równinie. Składały się z 24,000 piechoty i 6,000 kawaleryi. W ciągu trzech poprzednich dni zamienili zdarte i przez długą drogę zniszczone ubrania na galowe mundury, a noc całą spędzili na ostatecznych wykończeniach stroju. Oddział strzelców konnych płazem szabel rozpędzał ludność Berlina, licznie zgromadzoną. Pułkownik Renard umieścił nas z powozem na wzgórkcu piaszczystym poza obrębem planu manewrów, skąd doskonale wszystkie ćwiczenia widzieć było można.

Kawalerya na prześlicznych koniach zwróciła się na prawo i stanęła w linii. Ściśnięte szeregi piechoty, znajdujące się poza nią, uczyniły to samo. Dał się słyszeć huk strzałów armatnich; piechota w mgnieniu oka podzieliła się na dwie linie, z których pierwsza wysunęła się o 600 kroków przed drugą. Król Fryderyk na wspaniałym rumaku przejechał wzdłuż pierwszej linii, wszczął się ogień piekielny. Uznano pierwszą linię za zwyciężoną, poczęła też odwrót, pozostawiając pole drugiej, która po chwili rozpoczęła atak. Wszystkie poruszenia wykonywane były z niesłychaną dokładnością.

Nastąpiła pauza, w ciągu której zauważyłem, iż żaden z żołnierzy piechoty, stojących o 20 kroków od naszego powozu, nie wydawał się być zmęczonym i żaden nie drgnął ze swojego miejsca. Myśleliśmy, że rewia była skończona, tymczasem po półgodzinnym odpoczynku rozpoczęła się na nowo. W mgnieniu oka na dany znak druga linia sformowała trzy czworoboki. Jeden

z pułków, frontem ku nam zwrócony, a nie więcej jak o dwieście kroków oddalony, dał w naszą stronę ognia; wszyscy widzowie zaczęli uciekać, jedynie karetą naszą została na placu. Wspomnienie tych ćwiczeń pozostawiło niezatarte w pamięci mej ślady; o ile dziwiłem się Fryderykowi Wielkiemu, że choć tak znakomity monarcha, przecież dozwalał na liczne oszukaństwa i zdzierstwa swych celników Francuzów, o tyle jego wojsko wzbudzało we mnie podziw.

Po skończonej rewii wyjechaliśmy trochę naprzód, ażeby widzieć defiladę wojsk. Król wracał sam ze swym adjutantem. Przejeżdżając koło nas, zauważył widocznie strój mego ojca, gdyż pierwszy złożył nam uprzejmy ukłon. Za nim postępowały wojska, gwardye, żandarmi i piękne pułki kirasyerów z muzyką.

Przewodnik nasz nie przestał na przedstawieniu nam armii pruskiej: pokazał nam również zakłady publiczne, rezydencje królewskie, Poczdam, Sanssouci, wnętrza apartamentów króla, jego dwa łóżka, stoły, pełne papierów urzędowych, przykryte kołdrami, bibliotekę królewską i ubieralnię. W ciągu tych oględzin pozostałem się trochę w tyle, w sypialni królewskiej; rodzice udali się do ogrodu, a sale zamknięto na klucz, o mojej obecności zapomniano zupełnie. Przebiegłem dwanaście sal apartamentów wzdłuż i wszerz, napróżno szukając wyjścia, w końcu zacząłem wołać przez okno, usłyszał żołnierz, stojący na straży, i wypuszczono mnie po półgodzinnem uwięzieniu.

Z Berlina udaliśmy się do Magdeburga, gdzie trafiliśmy na pogrzeb jakiegoś księcia. Ponieważ zmarły był generałem, oddawano mu honory należne i przy tej sposobności widzieliśmy znów paradę wojskową. Matka moja pragnęła koniecznie dostać się do wnętrza kościoła, którego wejścia strzegła straż miejscowa. Ojciec przystał na to, ale kiedy stanęliśmy przy drzwiach, skrzyżowano broń przed nami i w końcu puszczono tylko matkę moją i mnie. Ojca i krewnego naszego, Jana, z powodu ich strojów wzięto prawdopodobnie za Turków, gdyż zaczęto wołać: „Die Türken dürfen nicht herein!“ Na szczęście zwróciłem się po niemiecku do jednego z oficerów i zapewniłem, iż są to równie dobrzy chrześcijanie, jak on sam, co sprawiło, że im wejść dozwolono.

W dalszym ciągu podróży innych już nie mieliśmy przygód, oprócz ciągle tych samych trudności z pocztylionami i oberżystami, co skłoniło mego ojca do odbycia podróży szybszem tempem; odtąd jechaliśmy dniem i nocą. Drogi zniszczone wojną siedmioletnią, przedstawiały opłakany i ponury widok. Zamiast krzyżów przy gościńcach widzieliśmy szubienice i słupy z kołami, na któ-

rych wisały trupy powieszonych lub poszarpanych ofiar. Tłómaczono nam, że były to ciała ukaranych maruderów. W końcu przybyliśmy do Pirmontu.

Zacny pułkownik i w samym Pirmoncie ułatwił nam wszystko. Uprowadził o naszym przybyciu doktora tamtejszego p. Dunker'a, u którego zastaliśmy mieszkanie przygotowane z malutkim, ślicznym ogródkiem. Pan Dunker, był to staruszek uczony, bez pedanteryi, mówiący po łacinie, z której ani słowa nie pojąłem; prawdopodobnie przy konsultacyi używał terminów dla mnie niedostępnych. Miał synów i córki; możność rozmówienia się z wielką łatwością po francusku i po niemiecku sprawiła, że wprędce zrobiłem znajomość z całą rodziną. Nazajutrz zaraz zawarliśmy przyjaźń w wielkiej alei.

Ojciec mój był honorowym starostą; honorowym dlatego, że dochody ze starostwa zatrzymał hetman dla siebie, niemniej jednakże godność ta, o której nie omieszkła wygadać się służba nasza, sprawiła wielkie wrażenie na otoczeniu. Starosta w ich przekonaniu równał się władcy, tyranowi, despocie, duszącemu wory ze złotem; przytem surowy wygląd mego ojca, wspaniałość stroju, czapeczka jedwabna z zielonym daszkiem, której nigdy nie zdejmował, był bowiem łysy, zresztą nieodstępnie towarzyszący mu krewny nasz, Jan, wszystko to nadawało memu ojcu charakter poważny co najmniej ministra, podróżującego incognito. Moja matka budziła powszechny zachwyt. Rzeczywiście olśniewała wdziękiem i urokiem w obejściu. Towarzystwo, zebrane w Pirmoncie, było nader wykwintne. Piękne i dobrze wychowane panie, skwapliwie szukające swego towarzystwa, były to prawie wszystko damy dworów duńskiego, szwedzkiego, angielskiego; ich mężowie, oficerowie duńscy, szwedzcy, angielscy, ubierali się po cywilnemu.

Po pewnym czasie pilnych obserwacyj umysł mój spostrzegawczy rozwinął się niesłychanie; od jednego rzutu oka odgadywałem ministrów, książąt rzeszy, wyróżniających się swą dumą, młodych hrabiów niemieckich i duńskich, z których każdy musiał mieć ogromnego dogę duńskiego.

Wstawaliśmy bardzo rano. Źródło lecznicze znajdowało się na placu, od którego szła wielka aleja, prowadząca do pałacu księcia Waldeck. Po jednej stronie placu był kursal i piękne sklepy. Dwie kapele, jedna góralska a druga wojskowa, przygrywały nam codziennie. Były tam wszystkie przyjemności razem zebrane; zupełna swoboda, piękne dni pogodne, uroczą miejscowość, harmonia panująca między tymi ludźmi, którzy tu przy-

byli, aby zapomnieć o wszystkich życia troskach i kłopotach, wszystko to sprawiło, że wspomnienia z Pirmontu do najmilszych z czasów mego dzieciństwa zaliczyć mi wypadnie.

Po ośmiu tygodniach pobytu trzeba było powracać do domu. Drogę obróciliśmy na Westfalię i przez Meissen udaliśmy się do Drezna. Rodzice zastali tam wielu dawnych znajomych, kilka rodzin polskich stale zamieszkałych, familię ministra Brühla, wszyscy witali nas bardzo serdecznie i hucznie podejmowali. Na każdym kroku jednak widocznymi były opłakane skutki siedmioletniej wojny i bombardowania. Ogród hr. Brühla najwięcej ucierpiał, porozbijane statuy marmurowe, inne poobtłukiwane brutalnymi szablami Prusaków, wszystko to było smutnem przeciwstawieniem z oglądaną przez nas niedawno świetnością Wielkiego Fryderyka. Podobnemuż zniszczeniu uległy również ogrody królewskie. Bomby rzucano bezwzględnie w stronę słynnej galeryi obrazów. Pokazywano nam wszędzie zgliszcza i ruiny. To wszystko, oraz liczne szczegóły i wspomnienia, których nam nie szczędzono, smutnie świadczyły o opłakanych skutkach wojny. Z żalem opuszczaliśmy dzielnych i biednych Sasów, oraz wszystkich tutejszych znajomych i już najkrótszą drogą na Poznań wróciliśmy do Białegostoku.

VII.

Hetman Branicki żywo odczuwał nieobecność mojego ojca, na którego bezinteresowności i przezorności mógł śmiało polegać, przytem cenił wysoko jego umysłowe zdolności. W czasie naszej nieobecności pozornie żadne zmiany nie zaszły na dworze białostockim. Wprawdzie sprawy wojskowe były w zawieszeniu z powodu mającego nastąpić zwrotu w polityce, ale wszystkich przyjaciół i znajomych zastaliśmy na dawnych stanowiskach, a jednak ogólnie czuć było jakąś niepewność i naprężenie.

Przyczyną tego było zjawienie się dwu nowych osobistości, mianowicie Andrzeja Mokronowskiego oraz Jakubowskiego. Pierwszy z nich, ozdobiony dwoma orderami, udzielonymi mu przez króla, orderem św. Stanisława i Orła Białego, był brygadyrem, oprócz tego pobierał emeryturę od rządu francuskiego. Jakubowski, Polak, całe swe życie spędził we Francyi. Ojciec mój wkrótce został wtajemniczony co do charakteru tych panów i roli, jaką na dworze hetmana grać zamierzali.

Ów Mokronowski, był to tenże sam dawny stronnik Stanisława Leszczyńskiego, który go popierał przeciw Augustowi II. Wyjechawszy do Francji, tamże zapoznał się i zaprzyjaźnił z młodym Stanisławem Augustem i jego braćmi. Za powrotem do kraju ofiarował swe talenta hetmanowi w chwili, kiedy ten opuszczał Warszawę i oczekiwano wojny domowej. Branicki usługi jego przyjął, powierzał mu trudne i honorowe misye; stanowiąc niejednokrotnie straż tylną, gdy Rosyanie następowali na niewielką armię Branickiego, — używano go nawet czasem, jako parlamentarza. Po wojnie wywędrował do Francji, a obecnie zjawił się znów na białostockim horyzoncie. Jaki był to człowiek w gruncie, trudno było dociec — to pewna, że zmienny był, jak kameleon.

Pokazało się później, że w owym czasie duszą oddany był nowemu królowi, który go wysłał na to, aby zawładnął podeszłym w wieku hetmanem. Dwulicowość swoją posunął Mokronowski do tego stopnia, że w Białymstoku udawał niezadowolonego z rządów królewskich i ubiegał się o łaski hetmańskie. Był on jednym z najpiękniejszych ludzi w Europie; prowadził za młodu życie wielce romansowe i awanturnicze, w czem przypominał Don Kichotą. Za Sancho Panchę dodano mu Jakubowskiego, który posiadał spryt i przebiegłość Cerwantowskiego sługusa. Będąc żonatym, znajdował łatwo pozór do częstych podróży do Warszawy, niby w celu odwiedzenia żony, właściwie zaś zanosił do stolicy wieści o dworze hetmana, przywożąc z powrotem nowinki, które szeptał Mokronowskiemu do ucha, jako nazbyt poufne, aby je można poczcie powierzyć. Wszystkie te intrygi nie uchodziły uwagi czujnego i bystrego hetmana, wiedział, co się święci i dlatego nie dał się podejść Mokronowskiemu.

Ojciec mój za powrotem objął swoje zajęcie. Napróżno pan Andrzej pragnął ująć go pochlebstwami, obietnicami łask nowego dworu — był niewzruszony jak skała.

Wracając do mojej historii, podrastałem oczywiście w lata, i trzeba było o poważniejszej pomyśleć edukacji. W tym celu ojciec powziął zamiar wezwania na dwór hetmana brata swego, Melchiora, Jezuitę. Stryj mój należał do inteligentniejszych w zgromadzeniu, był wybierany kilkakrotnie rektorem; do majątku rodziny żadnych nie rościł pretensyj, zrzekając się go na korzyść braci. Ojciec mój postąpił podobnie, część sobie należną przekazując najstarszemu bratu, kasztelanowi gnieźnieńskiemu. Stryj Melchior chętnie pośpieszył na wezwanie, ażeby kierować wychowaniem mojem i moich trzech braci: Stanisława, Ksawere-

go i Adama. Muszę przyznać, że charakter miałem dosyć trudny do prowadzenia: żywy, czynny i przejęty nie mało swem znaczeniem, jako podróżnika po Europie. Stryj umiał sobie doskonale ze mną poradzić: przyjął system całkiem odmienny od jezuickiego pedantyzmu. Sam dawał przykład dobrych obyczajów bez hipokryzyi. Surowy dla siebie, miał wiele pobłażania dla tych, którzy nie szli za jego przykładem. Przy budującej prawdziwie pobożności nie popadał w bigoteryę. Wstawał bardzo rano, a dzień, choć długi, tak umiał zapełnić, że ani chwilki na nudy nie zostawało. Uczony głęboko, erudyta wszechstronny, zaćmił swem wykształceniem inteligencyę białostocką. Uprawiał też literaturę piękną, tłómaczył utwory francuskie i włoskie; pisał wiersze, był jednak prawdziwym Jezuitą. Po upływie roku potrafił zdobyć sobie sympatyę wszystkich bez wyjątku, tak należących do dworu, jak i sąsiednich obywateli. Zajmowaliśmy pierwsze piętro domu, zbudowanego przez hetmana dla pewnej białostockiej mieszczanki, z którą miał troje dzieci jeszcze przed pierwszym swem ożenieniem. Mieszczanka owa wyszła następnie za burmistrza miasta, pomimo to hetman i nadal myślał o jej losie, zapewniając jej na resztę życia dostatnie utrzymanie. Dwie przyległe do domu tego stajnie przeznaczone były dla koni gości przyjezdnych. Na parterze zaś była oberża, w której przybyli posilali się przed udaniem się na pokoje, gdzie przyjęcie odbywało się wieczorem. Było to zarazem miejsce spotkania się wszystkich oficerów i urzędników, którzy przychodzili kończyć pracowity dzień pijatyką.

Na moje wychowanie miało to wpływ i zły i dobry. Z jednej strony widziałem, jak ludzie, skądinąd zacni i zasłużeni, doszedłszy do pewnego wieku, nie mogąc oddawać już kultu Wenerze, tem gorliwiej czcili Bachusa; i chociaż robili to ukradkiem, w tajemnicy przed hetmanem, który o tej porze jadał wieszczę, nie mniej wpływało to ujemnie na stan ich zdrowia i skracając dni życia. Ten widok takim napełnił mnie obrzydzeniem, że na zawsze nabrałem wstrętu do nieumiarkowanego picia. Z drugiej strony łatwość złego towarzystwa, wypływająca z tego umieszczenia, omal że mnie nie doprowadziła do zguby w kilka lat później, jak to poniżej opiszę.

Co się tyczy mojej edukacyi, to wszystko, cokolwiek umiem, zawdzięczam metodzie stryja Jezuity. Znajomość języków francuskiego i niemieckiego ułatwiła mi naukę łaciny. Zamiast obciążać moją pamięć formułkami gramatycznymi, ojciec Melchior polecił mi robić wyciągi i przekłady z łaciny na język polski, lub odwrotnie. Po upływie dwóch lat tłómaczyłem biegle Tacy-

ta, Cycerona, Owidiusza, co potem było mi wielce pożytecznem. Inni moi profesorowie również byli wysoko wykształceni; udzielali mi matematyki, rysunku, wojskowej architektury. Senkowski wykładał mi architekturę cywilną, co sprawiło, że w późniejszych latach przy stawianiu rozlicznych budowli nigdy nie wzywałem pomocy żadnego architekta. Saksończyk, kapitan Pleiner, uczył mnie konnej jazdy; Czech, Wakulski, robienia bronią; kapitan piechoty, Prusak, fechtunku. Były generał francuski, Liwończyk, Trzeciak, wtajemniczył mnie w arkana taktyki, historii wojskowej i strategii.

Po trzech latach tych nauk wpisano mnie na listę kadetów pułku dragonów; przywdziałem mundur porucznika i przeniesiono mnie do pałacu. Ojciec dał mi zajęcie w swoim biurze; dniami całemi przepisywałem akta wojskowe, porządkowałem kopie i dziennik ekspedycyi i nosiłem je wielkiemu hetmanowi do podpisu. Nie miałem chwili odpoczynku z wyjątkiem obiadu. W ciągu wiosny wszyscy młodzi ludzie odbywali ćwiczenia piesze. Urządzano dalekie w okolice wycieczki pod dowództwem kapitana Melitza; mnie z początku zaraz powierzono urząd kaprała, a następnie byłem mianowany adjutantem naszego dowódcy. I ten szczegół wychowania nie był bez wpływu na moją przyszłość.

VIII.

Sejm z 1768 roku poczynił niektóre ulepszenia w państwie, a mianowicie zatwierdził dysydentom żądane przez nich ustępstwa. Wychowanie publiczne, prowadzone przez księży Pijarów, było świetne, ale nie gruntowne. Takież charakter miała szkoła kadetów; kierunek i nadzór nad nią powierzono księciu Adamowi Czartoryskiemu, synowi wojewody ruskiego. Miał on w swoim czasie pewne nadzieje dostania się na tron, gdy te spełzły na niczem, król Stanisław August pragnął ułagodzić go wszelkimi sposobami. Powierzono mu pułk gwardyi litewskiej oraz pomienioną szkołę oddano jego opiece.

Szkoła ta przyczyniła się znacznie do odrodzenia wojska polskiego, wydawała bowiem oficerów bardziej wykształconych, niż bywali dotąd. Pułk gwardyi pieszej królewskiej, jedyny będący w pełnym komplecie, świetnie wymusztrowany przez jednego z oficerów Fryderyka Wielkiego, rywalizował z najpiękniejszymi pułkami pruskimi. Pułk gwardyi konnej, również doskonale

wyćwiczony pod rozkazami hr. Mier'a, ¹⁾ zyskał jeszcze na świetności dzięki staraniom hr. Wincentego Potockiego. Król poświęcił część dochodu z dóbr królewskich na umontowanie i utrzymanie sześciu pułków ułańskich (*lanciers*) tatarsko-litewskich; ubrane były na wzór niemieckich, choć jeszcze z początku słabe, nie zostawiały nic do życzenia pod względem doboru żołnierzy i oficerów.

Co się tyczy życia towarzyskiego, Warszawa błyszczała świetnością zebranego w niej towarzystwa.

Młody król, nie zapominając o uciechach światowych, dbał jednak o ruch umysłowy, otaczał się doborem artystów przybyłych z zagranicy; przyciągał do siebie ludzi uczonych, dawał im doskonałe obiady, kazał robić ich portrety. Mówiono o nim, że dbały o wykwiint zarówno stołu i umysłów, które z nim obcowały „il faisait les frais de la table et de l'esprit.“ Nie przeszkadzało mu to zajmować się pilnie sprawami państwa. Komisję skarbu zreorganizowano i urządzono w możliwie doskonały sposób.

Wszystkie te ulepszenia wielce się nie podobały zawistnym sąsiadom, a szczególnie Prusakom. Przewidywano bowiem, że skoro tak dalej pójdzie i Rzeczpospolita dojdzie do jakiegokolwiek ładu i porządku, stanie się ona jeżeli nie odrazu sąsiadem groźnym, to przynajmniej takim, który nie łatwo uzna się za zwyciężonego. Postanowiono zatem szukać przyczepki i znaleziono ją łatwo, wywołując na stół odwieczną historję dysydyntów i polskiej nietolerancyi. Zaczęto podburzać protestantów, którzy jednak używali tu wszelkiej swobody. Pod łagodnym i miękkim polskim rządem nikt w świecie nie mieszał się do ich spraw. Prawie połowa mieszczaństwa warszawskiego, jako pochodzenia niemieckiego, należała do dysydyntów. Na Podlasiu zbory ich znajdowały się w Zabłudowie o dwie mile od Białegostoku i w Węgrowie o dwanaście mil od Białegostoku w kierunku Warszawy. Do senatorskich krzesel pretendowałyby mogło najwyżej trzydzieści rodzin szlacheckich. Do takich należała rodzina Grabowskich, z których jeden, ożeniony z Szydłowską (późniejszą kochanką królewską) filar polskich protestantów, miał pod sobą pułk gwardyi konnej litewskiej, a kwaterę w Prużanie niedaleko od swoich majątków.

Dla tych sztucznie wywołanych i wiele innych rzeczywistych przyczyn umysły w kraju burzyć się zaczynały; składały się na

¹⁾ Od nazwiska tego Mier'a pochodzi nazwa koszar Mirowskich w Warszawie.

to i nieudane próby porozumienia z dysydentami i arogancya ambasadorów rosyjskiego i pruskiego, i niedotrzymanie obietnicy Imperatorowej, tyczącej się wycofania wojsk z granic kraju. W znacznej mierze przyczynił się także brak taktu ze strony samego króla, który zasłużonych przedstawicieli szlachty rozsyłał do obozów, zacnych i pobożnych biskupów przeznaczał do oddalonych miast, a sam otaczał się swymi ulubieńcami, już to stanu cywilnego, już duchownego, a ci trwonili majątki na karty lub miłostki i gorszyli tem całą młodzież i ogół wiejskiego kleru.

Konfederacya barska, uważana jako bunt, dała początek prześladowaniom; generałowie rosyjscy gospodarowali po kraju. Ziemie partyzantów królewskich oszczędzano, znęcając się natomiast nad majątkami przeciwników, gnębiąc je przemarszami wojsk, żądaniem furazu, transportami i tysiącznemi nadużyciami, które uchodziły bezkarnie.

Ówczesne wojska rosyjskie, składające się z lekkiej jazdy kozaków, dowodzone były przez oficerów Rosyan, Kurlandczyków, Liwończyków lub Prusaków protestantów, którzy choć na uniwersytetach niemieckich wychowani, przesiąknęli tam niemoralnością i pogardą dla religii katolickiej i narodowości polskiej. Kozacy, pomni łupów zdobytych w ubiegłym stuleciu, dopuszczali się strasznych nadużyć i okrucieństw na Żydach, rzekomo mszcząc się za śmierć Zbawiciela, przytem nie oszczędzali również proboszczów wiejskich i szlachty.

Do całego tego zamieszania dodać należy jeszcze zastępy agentów tajnych rządu francuskiego, którzy podburzali umysły skrycie; może być nawet, że robili to bez rozkazu króla Ludwika XV. U nas w kraju nie wszyscy byli o tem powiadomieni; a gdyby mnie kto zapytał, skąd to do mnie doszło, odpowiedziałbym, że jako oficer hetmański, pracujący w biurach wojskowych, wiedziałem o tem lepiej niż kto inny.

Białystok leżał na trakcie, prowadzącym z Petersburga do Warszawy. Wszyscy oficerowie rosyjscy, wysłańcy Katarzyny, jadąc tamtędy, nie omieszkiwali zatrzymać się po drodze. Andrzej Mokronowski odbierał stałą i obszerną korespondencyę agentów; a skutki jego kilkoletniego pobytu na dworze hetmana były takie, że w 1769 roku wszyscy dobrze myślący ludzie, straciwszy złudzenia co do państw ościennych, zwracali się myślą ku Francyi i Turcyi.

Ambasadorowie francuscy podburzali w Konstantynopolu Turków przeciw Rosyi. Niedołężny Ludwik XV, a raczej jego ministrowie przysyłałi oficerów Francuzów dla konfederatów wraz

z pięknymi obietnicami posiłków i pieniędzy, które jednak peł-
zły na niczem.

Konfederacya barska, stłuniona w początku, odżyła w Brze-
ściu Litewskim, następnie w Krakowie i Poznaniu. Z pomiędzy
pułkowników rosyjskich odznaczyli się Suworow i Drewicz swoją
energiją i szybkością pochodów. Już to zwycięzcy, już to zwy-
cięzeni nie szli nigdy wielką masą, ale drobnymi oddziałami, co
sprawiało, że powstanie, które mogło być odrazu zgniecione, sze-
rzyło się ciągle. Można sobie wystawić, ile ofiar kosztowała kraj
podobna wojna.

Generałowie rosyjscy, o ile surowi i okrutni w traktowaniu
więźniów wojennych, o tyle pokazali się niedołęzni, kiedy zaszła
potrzeba wykazania większych wojskowych zdolności; nie udało
im się zdobycie kilku mniejszych forteczek, stąd narzekanie na
polskie barbarzyństwo i wzywianie znaczniejszych posiłków.

Na dowódcę przysłano ks. Golicyna. Posiadał pod swoją
komendą pułki kirasyerów oraz grenadyerów tak starannie dobre-
ne, jak się teraz rzadko widzi. Część jego oddziałów przecho-
dziła przez Białystok, gdzie księżę zatrzymał się na dni kilka
i był podejmowany okazale. Sam wyrażał swoje zdanie o tej
wojnie. Przedewszystkiem przyznawał, że pozbył się wszystkich
swoich uprzedzeń do Polaków. Na każdym kroku spotykał dowo-
dy uczciwości, szczerości, gościnności, energii i wielkiej oszczęd-
ności. Wprawdzie dotąd widział tylko prowincję i nie znał War-
szawy. Ks. Golicyn upoważnił hetmana do aresztowania wszyst-
kich maruderów oraz tych, którzyby swem postępowaniem przy-
nosili wstyd honorowi armii. Ulegając swoim oficerom, z których
każdy pragnął być niezależnym i prowadzić wojnę na swoją rękę,
rozdzielił swój korpus na kilka oddziałów, i rozesał po kraju.

W tymże czasie niektóre oddziały konfederatów połączyły
się ze sobą i utworzyły korpus trzytysięczny, z tych 700 najwy-
żej było ludzi Rądzwiłłowskich, którzy od niedawna z 18 dzia-
łami do konfederacyi przystąpili. Sprzysiężeni podsunęli się pod
Białystok w celu pochwylenia hetmanowi dwóch pułków konnych,
dwóch kompanij, węgierskiej i janczarskiej oraz 600 ludzi na jego
żołdzie będących.

Branicki poinformowany dokładnie o wszystkim co się dzia-
ło, polecił memu ojcu wydanie odpowiednich rozporządzeń; cho-
dziło bowiem o to, aby nie dopuścić pułków koronnych do akcyi
zaczepnej przeciw Rosyanom. Konfederaci rozłożyli się obozem
o ćwierć mili od miasta. O świcie wszystkim wojskom hetmań-
skim polecono zająć stanowiska w ogrodach pałacowych.

Oddział ks. Golicyna został wysłany w nocy, aby podejść śpiących konfederatów, ale z powodu trudności przeprawy przez Narew, opóźnił się. Konfederaci wypadli na nich z wioski, zaatakowali i wypędzili po krótkim oporze do błotnistego lasku, gdzie Rosyanie wytrzymywali atak aż do samego wieczora.

Hetman zmuszony był ustąpić zniecierpliwionym pułkom koronnym, które jako nieruchomi widzowie przypatrywali się okrucieństwu pijanych kozaków. Wysłano parlamentarza, generała Pugeta pod eskortą 200 ludzi i 4 dział. Chciano wyratować w ten sposób samego ks. Golicyna, który straciwszy masę ludzi i prawie wszystkie konie, był już blizkim zagłady. Konfederaci tymczasem wyczerpali cały zapas amunicji, armaty ich zamilkły. Jeden kapitan strzelców mógł być o sześćset kroków dalej zająć pozycję na wzgórzu z sześcioma armatami. Myśląc jednak, że już osiągnęli cel, cofnęli się zawczasie, nie mając ani wodza, ani planu obmyślonego do dalszego działania; rozsypali się i każdy z dowódców w inną poszedł stronę. Pozwolono im rozejść się spokojnie. ¹⁾ Ks. Golicyn bardzo rad, że sam wyszedł cało, przybył do pałacu, zabronił resztkom swego wojska wszelkich nadużyć i odjechał do Warszawy.

Zajęto się grzebaniem zabitych, a rannych 370 przeniesiono do pałacu. Teatr, zabudowania, mieszczące się w środku parku, zamieniono na szpitale. We dwadzieścia cztery godzin po bitwie wszyscy ranni byli opatrzeni. Mojemu ojcu powierzono kontrolę nad chorymi; z wyjątkiem dziesięciu czy dwunastu, wszyscy powrócili do zdrowia. Każdy otrzymał od hetmana kompletne uekwipowanie oraz pieniężny zasilek w miarę poniesionych strat. Mnie było poleconem spisywanie listy owych zapomóg oraz wydawanie każdemu wychodzącemu paszportów.

Mniej szczęśliwie udało się wielk. hetmanowi litewskiemu, Michałowi Ogińskiemu. Krewni jego zdradziecko od dawna czyhali na olbrzymie jego majątki. Do niego także przyszedł oddział konfederatów i był zmuszony stanąć na czele partyi litewskiej. Generał rosyjski Albiszew otrzymał rozkaz atakowania go; stoczono bitwę, ²⁾ w której hetman Ogiński odniósł zwycięstwo, samego Albiszewa wziął do niewoli. Upojony radością hetman ruszył na Stołowicze pomiędzy Nieświeżem a Mirem, gdzie rozłożył się obozem w miejscu najmniej ku temu odpowiednim. Cią-

¹⁾ Potyczka ta, w której konfederatami dowodził Józef Bierzyński, odbyła się pod wsią Olmontami 13 lipca 1769 r.

²⁾ Pod Bezdzieżem d. 6 września 1771 r.

gnąc za sobą ogromny tabor ze zbytkiem iście azyatyckim, zaniedbał najpierwotniejszych ostrożności. O świcie Suworow zaatakował go z tysiącem ludzi co najwyżej.¹⁾ Wszyscy oficerowie noc spędzili na hulance i na szalonej grze w karty. Jakaś stara kobieta ostrzegła ich o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Wielki hetman miał zaledwie czas dosiąść swego angielskiego wierzchowca i w szybkiej ucieczce nie oparł się aż w Królewcu. Suworow zabrał bez trudu olbrzymie łupy. Co dziwne, że dwa pułki ułanów z 1,000 żołnierzy złożonych, którym była powierzona straż, nie ruszyły się ze swoich stanowisk i następnie powróciły na poprzednio zajmowane kwatery. Była li to zdrada? niewiadomo. W Białymstoku dowiedziano się wkrótce o tej klęsce, jak również i o zupełnej ruinie majątków Ogińskiego, które uległy konfiskatom, sekwestrom i rabunkom.

Na południu Rzeczypospolitej konfederatom lepiej się trochę powodziło. Pułascy, Sawa, Benklewski, Szyc i kilku innych zdolniejszych ludzi doprowadziło do zorganizowania jakiej takiej kawaleryi z pomiędzy dezertarów austriackich i pruskich, już to Polaków, już to cudzoziemców; kilka oddziałów piechoty sformowano w tenże sposób. Francya przysłała swoich oficerów, którzy okazali się wielce przydatnymi konfederacyi, jako obznajmieni z wyższą sztuką wojskową i obroną fortec. Rosyianie stracili bardzo wielu ludzi; generałowie ich dopuszczali się ogromnych nadużyć—na liście zabitych umieszczali takich, którzy nigdy na świecie nie byli, wyrażając się jaśniej, pobierali żołd dla pełnych korpusów, które w owym czasie ani połowy swego personelu nie zawierały. To samo odnosiło się i do furazów, na karb wojny zabójczej zapisywano duże pieniądze, a robiono tymczasem osobiste oszczędności.

Imperatorowa była niezadowolona; Prusacy czekali tylko na to, aby podać jej sposób niezawodny na ukończenie męczącej wojny. Proponowali mianowicie podział Polski. Wytlómaczono również pobożnej Maryi-Teresie, że przywłaszczając sobie część południową kraju, położy prawdziwą zasługę. Przewyciężywszy jej skrupuły, przystąpiono do działania.

Oto jest w krótkości historia konfederacyi barskiej. Hetman Branicki, oględnością i przezornością swoją ochronił przed chciwymi grabieżcami województwo Podlaskie, trzy powiaty: drohiczyński, bielski, mielnicki i część Litwy w okolicach Białegostoku. Umarł 9 października 1771 roku. Zasnął spokojnie bez

¹⁾ 23 września.

choroby, niepokojów, wstydu i wyrzutów sumienia, jak człowiek sprawiedliwy. Na trumnę tego zacnego człowieka położy się łyż szczerze wielu tysięcy ludzi, którzy przybyli na wieść o śmierci jego i uczestniczyli w uroczystościach pogrzebowych.

IX.

Też same idee odrodzenia narodu polskiego, zwycięstwo światła nad ciemnotą i przesadami, szczęście powszechne stąd wypływające, o którym tyle opowiadano wdowie po hetmanie, miały i jej zapewnić przyszłość świetną i szczęśliwą. Była ona najstarszą siostrą Poniatowskich. Z całej rodziny najbardziej wyróżniała księcia Kazimierza, a to dla wielu powodów. Książę Kazimierz Poniatowski, żonaty z Ustrzycką miał syna Stanisława i dwie córki, z których jedna była za Tyszkiewiczem; był to człowiek niepospolitej urody, galant, dworak, a wszystkie kobiety bez wyjątku, jak wiadomo, mają skłonność do tego rodzaju ludzi. Był dobrym synem, gdyż jedynie przez posłuszeństwo dla matki odbył pojedynek z najserdeczniejszym swym przyjacielem Tarłą.¹⁾ Wszystkie te i inne przymioty stawiały go wysoko w oczach pani Braniczkiej. Wogóle łaski u pięknych kobiet zdobywał sobie prędko i skutecznie; a damy owe, dawne lub obecne objekta jego płomienistych uczuć, tworzyły na dworze pani hetmanowej wdzięczne i barwne koło i wszystkie mieniły się być jej najserdeczniejszymi przyjaciółkami.

Książę Kazimierz po śmierci swej żony posag cały zatrzymał dla siebie, a wychowanie obu córek powierzył pani Braniczkiej; starsza z nich przebywała w Białymstoku od piątego do szesnastego roku życia. Syna jedynaka, jak wiadomo, kształcił o. Portalupi.

Drugi brat hetmanowej, prymas, dążył ni mniej ni więcej tylko do kapelusza kardynalskiego; zasad moralnych za to nie posiadał żadnych. Miał on za plenipotentą niejakiego Dworzecznego, bardzo mierną figurę, któremu nakazał małżeństwo z jedną z moich dawnych koleżanek z pensyi państwa Souchet. Ów Dworzeczki dostał wkrótce dwa ordery i kasztelanię, a książę prymas nadal utrzymywał dobre stosunki z jego żoną, wydawał świetne zabawy i kolacze.

¹⁾ Bartoszewicz Jul.: *Pojedynek Tarły z Kaz. Poniatowskim*. Falkowski: „*Obrazy*,” I, 2 sq. Askenazy: *Sprawa Tarły*. „*Dwa stulecia*,” II, 39 sq.

Trzeci brat, Andrzej, mało był znany w kraju — pozostawał w służbie austriackiej, zaślubił hrabiankę Kińską, Czeszkę i miał z niej dwoje dzieci: syna, księcia Józefa, urodzonego d. 7 maja 1763 roku, którego również w wojsku austriackim umieszczono, oraz córkę, którą przysłał pod opiekę brata, króla Stanisława; ten przytłoczony sprawami publicznymi oddał kierunek jej wychowania dobrej swojej przyjaciółce, pani Grabowskiej.

Druga siostra pani Branickiej wyszła za wojewodę podolskiego, hr. Zamoyskiego ¹⁾. Ta pozbawioną była przymiotów wyższej inteligencji i ukształcenia; chociaż religijna, systematyczna, rachunkowa nie miała w rodzinie sympatyj. Mąż jej, brat ordynata Zamoyskiego, również nie dał się wyrobić na sfrancuziałego dworaka. Siostrę księcia Józefa Poniatowskiego ²⁾ wydano za hr. Wincentego Tyszkiewicza, który z tej racyi otrzymał pułk gwardyi konnej, a przywiódłszy z Paryża pana Porin, polecił mu przybranie owego pułku na sposób francuski.

Wyliczywszy członków rodziny wdowy, przechodzę do opisu dworu Białostockiego bezpośrednio po śmierci hetmana.

Urządzenie całe i panująca etykieta za życia Branickiego przypominały ze wszystkiem dwory książąt udzielnych — zatem po jego śmierci musiały zajść pewne zmiany. Co się tyczy wojska, to przechodziło ono pod rozkazy Ksawerego Branickiego, który otrzymał od króla godność i obowiązki hetmana. Pułk liniowy piechoty został wysłany do Lwowa. Pułk kawaleryi do Warszawy. Dwie kampanie piechoty, węgierską i janczarską naznaczono do Lubomla. W Białymstoku pozostali jedynie oficerowie inwalidzi, niezdadni do służby czynnej, a mający tu swoje rodziny i domy. Do takich należeli: Kleuse, major saski, Boniatowicz, kapitan, Desein, kapitan, Zakrzewski, pułkownik, Absełowicz, pułkownik (lieutenant colonel), Senkowski, kapitan. Ojciec mój czuwał bacznie nad porządkiem przy wyprawianiu pułków; opuszczały też Białystok opatrzone w komplecie całego rynsztunku, oddano im również dzienniki i archiwa pułkowe. Z urzędników biura wojskowego pozostali w Białymstoku: Piramowicz, Makomaski, porucznik Sobolewski, Markowski. Z licznego otoczenia hetmana również nie wielu pozostało na miejscu. Stary przyjaciel Branickiego, Kurdwanowski, wyprzedził był swego dobroczyńcę. Generał Puget podał się do dymisyi i osiedlił się w Białymstoku. Książdz Antoni Betański, jeden z najzacniejszych ludzi

¹⁾ Jana Jakóba. ²⁾ Maryę Teresę.

swego czasu, otrzymał był dawniej probostwo Tyczyńskie. Hrabia Branicki, wynagradzając gorliwość i zasługi, polecił wystawić w jego probostwie wspaniałą plebanię, nieledwie że pałacowych rozmiarów. Wykończenie i przyozdobienie plebanii było zadaniem samego proboszcza, który oprócz obowiązków swego stanu uprawiał również malarstwo i architekturę. Po śmierci hetmana ksiądz Betański wyjechał do Tyczyna; po kilku latach zrobiono go biskupem przemyskim. Nadworny lekarz, Węgier Klemens, który służył wiernie hetmanowi przez 40 lat, usunął się do majątku swego Żabno — otrzymał on tę wioskę od samego hetmana. Jednym słowem wszyscy zadowoleni ze swego losu, a nie ambitni, błogosławiąc pamięć hetmana, opuszczali Białystok. Orkiestrę doskonałą, teatr włoski i balet również rozpuszczono. Pozostali ci, którzy nie byli w stanie wyjechać.

Administracja dóbr hetmańskich była prowadzona wzorowo. Bardzo niewielu, ale zdolnych urzędników wystarczało do zarządu majątkami, z których dochody wynosiły przeszło 300,000 zł. rocznie. Systemu dzierżaw i dzierżawców nie uznawano w dobrach Branickiego. Trzeba było spędzić dzieciństwo pod jego okiem, młodość mieć bez wybryków, wykazać zdolność i spryt w wyznaczonych zadaniach, spędzić lat kilka pod nadzorem starego i wypróbowanego w uczciwości komisarza, aby móżdż w końcu samemu zostać komisarzem. Dobra Ruszcza, Branice, Tyczyn były oddane w zarząd memu stryjowi, żonatemu z Krasicką, siostrą słynnego biskupa warmińskiego, przyjaciela króla Stanisława Augusta, a zwolennika Fryderyka II. Majątki, leżące w okolicach Białegostoku: Choroszcz, Tykocin, Sobolewo, strzeżone były przez starego i zaufanego komisarza Guszковского, który do pomocy miał jednego pisarza Hryniewickiego. Admiralem floty hetmańskiej był Otocki, kolos budową, dawny wojskowy, eks-kapitan. Flota owa składała się z 20 statków, mogących pomieścić 50,000 korcy zboża, które z magazynów zbożowych, znajdujących się nad Narwią, szły do Gdańska.

Włościanie dóbr hetmańskich, nie przeciążeni robotą, zamożni, silni, zdrowi i zadowoleni, pracowali ochoczo i przywozili w zimie wymłócone zboże do magazynów nadrzecznych. Gdy wszystko było zwiezione, przybywali majtkowie z berlinkami, zabierali ładunek, podnosili kotwicę i odpływali. Admirał sam sprzedawał zboże w Gdańsku i przywoził 10,000 albo 12,000 dukatów, oraz zapasy kolonialnych produktów, które miały wystarczyć na cały rok. Przywiezioną sumę oddawano wiernemu i wypróbowanemu kasyerowi. Posiadam niektóre rachunki pisane ręką samego

hetmana; rachunki te są krótkie, jasne, dokładne. Po zapłaceniu wszystkich należności na św. Jan pozostawało w kasie 15,000 do 20,000 dukatów remanentu.

X.

Dalsze nauki miałem pobierać w Lipsku. W tym celu po świętach Bożego Narodzenia 1772 r. (a zatem w 1773) wyprawiono mnie w drogę w towarzystwie Jana Węgierskiego, syna niedawno zmarłego pułkownika. Mieliśmy przejeżdżać przez Warszawę; ojciec dał mi listy do pani hetmanowej i Mokronowskiego i wyruszyliśmy takim furgonem, jaki służy do przewożenia amunicji, był to furgon jeszcze dawnej, saskiej roboty; nie mieliśmy z sobą ani nauczyciela, ani służby, z wyjątkiem młodego chłopca, szlachcica Siekluckiego, który towarzyszył nam konno, a umiał strzelać wybornie. Węgierski miał jeszcze ze sobą starego Warmińczyka, pijacznę wielkiego. Konie braliśmy pocztowe, wyróciliśmy się raz jeden tylko. Przezorność moja i Siekluckiego uratowały nas od straty naszych tłumoków, które już były odcięte przez jakichś złodziei, będących widocznie w zмовie z pocztalionem.

Nazajutrz po tym wypadku w biały dzień kozacy porwali nam z furgonu dywan. Odczepiliśmy dwa konie, na jednego siadł woźnica, na drugiego Sieklucki i puścili się za nimi w pogoń; kozacy dywan porzucili na ziemię a sami zemknęli. Nieco dalej zatrzymali nas znów kozacy, domagając się paszportów, ale mój mundur dragonów, którego nie zrzuciałem, zaimponował im widocznie, bo dali nam pokój. Szykany, czynione na każdym kroku przez wojska nieprzyjacielskie o 3 mile od Warszawy, wyjaśniły mi, dlaczego Polacy tak bardzo pragnęli pozbyć się ich jak najprędzej. Przy przejściu Wisły znów kozacy. Przybyliśmy nakoniec do pałacu pani krakowskiej (hetmanowej Branickiej), znajdującego się na Podwalu, o kilka kroków od kolumny Zygmunta i zamku. Przedstawieni jej byliśmy nazajutrz rano. Poznaliśmy wówczas cały dwór królewski, jej braci, całą rodzinę, przyjaciółki króla, dawnych znajomych naszych rodziców, moje piękne koleżanki z pensji pani Souchet i wiele innych. Wszyscy na nas byli bardzo łaskawi.

Było to w kilka tygodni po porwaniu króla; z racji szczęśliwego uwolnienia balom, fetom, teatrom nie było końca. Mieszkaliśmy w pałacu pani Branickiej, która wszędzie brała nas z so-

bą i tak trwało to do końca karnawału. Nadeszły nareszcie listy od ojca mego do kasztelena gnieźnieńskiego, stryja mego i do dziadka macierzystego, szambelana Rostworowskiego; trzeba było zakończyć ten uroczy pobyt i puścić się w dalszą drogę.

Z Warszawy do Poznania wybraliśmy drogę krótszą, ale mniej uczęszczaną. Dzięki budowie naszego furgonu i wielkim tłumokom Węgierskiego, który nigdy nie podróżował, a będąc pieszczonym i psutym jedynakiem, żadnej wygody nie chciał się wyrzec, mieliśmy masę rozmaitych wydarzeń. Zanim dojechaliśmy do Hłowca, wywróciliśmy się trzydzieści dwa razy. Stryja mego, kasztelana gnieźnieńskiego, znaleźliśmy w dobrem zdrowiu; 80-letni staruszek trzymał się równie dzielnie i krzepko, jak przed 10 laty. Śliczne wychowanki wyrosły i wypiękniały. Codzień odbywaliśmy spacer. Uroda i skromność mego towarzysza jednały mu ogólną sympatyę. Co do mnie—podoobałem się dzięki mej żywości i wesołości.

Powodzenie też u owych panienek mieliśmy ogromne, od nas tylko zależało, aby temu przelotnemu podobaniu dać jakieś głębsze podstawy. Ale, pomny na wskazówki mego ojca, nie uczyniłem nic w tym kierunku. Ostatnie trzy dni karnawału spędziliśmy w Poznaniu, dokąd głównie ciągnęła nas reduta czyli bal maskowy. Ponieważ miałem już dosyć dużo znajomych, intrygowałem na zabój wszystkie piękne panie. Pod koniec balu poznano nas, zdemaskowano i było dużo wesołości.

Spotkałem wówczas mego wuja, Ksawerego Rostworowskiego, do którego miałem list polecający od mego ojca. Nazajutrz zostaliśmy wprowadzeni do najpierwszych domów w Poznaniu: kasztelanowej Gurowskiej, starosty konińskiego Mycielskiego, Gorzeńskich i innych, wszyscy prawie posiadali w Poznaniu pałace i przyjeżdżali w zimie na karnawał lub kontrakty. Ogólne powodzenie moje wzbudziło zazdrość w pewnym pyszałku, Krzyckim, świeżo przybyłym z Paryża, wystrojonym i eleganckim, który w domu kasztelanowej Gurowskiej, chcąc mnie ośmieszyć, odwrócił w innym znaczeniu zdanie francuskie, które wypowiedziałem. Wówczas z całą grzecnością i zimną krwią, mając za sobą młodych wojskowych i wuja, Ksawerego Rostworowskiego, wezwałem go, ażeby cofnął swój żart, dla mnie niemiły. Krzycki był o tyle rozsądny, że przyznał się do winy w obecności tych młodych osób, przy których chciał mnie poniżyć; pomiędzy niemi znajdowała się i jego siostra, która mi się nadzwyczaj podobała. Zdarzenie to powiększyło jeszcze łaski, które miałem u pań, ale Krzycki stał się mym skrytym nieprzyjacielem. Postąpiłem źle

względem niego, gdyż nie trzeba nigdy nikogo upokarzać. Zostając w Poznaniu na redutę i przedłużając tym sposobem mój pobyt, uczyniłem źle, gdyż postąpiłem wbrew woli ojca, który mi nakazywał jechać prosto do Lipska; ten bal był powodem i dalszego opóźnienia, gdyż poznaliśmy na nim niezmiernie miłe panny Chłapowskie, które przybyły do Poznania na karnawał ze wsi; rodzice ich zaprosili nas, abyśmy, jadąc z Poznania, zboczyli do nich do Turwi, cośmy przyrzekli uczynić z wielką skwapliwością.

XI.

Pożegnaliśmy z żalem wszystkich znajomych w Poznaniu i z błogosławieństwem stryja kasztelana udaliśmy się w dalszą drogę. Zatrzymaliśmy się w Gołuchowie, majątku dziadka mego macierzystego, Rostworowskiego. Był on w wieku podeszłym, miał bowiem lat 80, ale oprócz nieco osłabionego słuchu, nic nie znamionowało w nim tak późnej starości. Rzadko zdarzyło mi się w życiu napotkać równie wykształconego i inteligentnego staruszka. Całe życie swoje spędził w Dreźnie na dworze Augusta II i III, a po śmierci ostatniego usunął się na wieś z tytułem szambelana i tajnego radcy. Ożeniony z wdową, nie miał swoich dzieci, ale zajmował się troskliwie wychowaniem ośmioletniego synka z pierwszego małżeństwa tejże wdowy, do której należał piękny majątek, w którym zamieszkiwali. Oprócz tego opiekował się dwoma synowcami, Ksawerym i Andrzejem, których sam również wychował i to na zacnych ludzi w całym tego słowa znaczeniu. Wdzięczny dotąd jestem memu ojcu, że mnie tam posłał, gdyż zdrowe rady, piękny przykład rozumnej oszczędności, połączonej z zasadami humanitarnymi, wpłynęły bardzo na dalsze moje postępowanie.

Dziadek przyjmował nas bardzo gościnnie, oprowadzał po całym majątku, pokazał mieszkania włościan; zastaliśmy tam wielki porządek i dostatek, włościanie ci swego pana kochali i cenili, jak ojca. Oglądaliśmy wszystkie ulepszenia gospodarskie, osuszone błota, pokopane kanały, pozakładane owocowe ogrody, wysadzone drzewami drogi, porządne zabudowania. Dał nam kilka cennych książek agronomicznych i ekonomicznych, przytem kilka listów rekomendacyjnych do dawnych znajomych w Dreźnie i Lipsku. Nakoniec polecił bratankowi swemu a memu kuzynowi Ksaweremu, aby towarzyszył nam w dalszej drodze przez Głó-

gów, Drezno do Lipska, gdzie tenże miał pomódz nam w naszej instalacyi.

Ksawery Rostworowski, nie wiele co starszy od nas, był rad nastęrczającej się sposobności odbycia przyjemnej podróży; bardzo starannie wychowany przez swego stryja, do głębokiego wykształcenia łączył zasady religijne i moralne; był przytem miłego charakteru i niesłychanej wesołości. Ciągłe siedzenie na wsi znudziło go już trochę, więc też wdzięczny był nam niezmiernie, żeśmy mu nastęrczyli sposobność do rozrywki.

Wyjechawszy z Gołuchowa, postanowiliśmy dotrzymać danej obietnicy i wstąpić do starego kasztelana międzyrzeckiego, Chłapowskiego. Kasztelan był bardzo bogaty, ale pozbawiony wyższego wykształcenia, oddany był całkowicie zbieraniu grosza i spijaniu starego wina. Zajechaliliśmy tedy do Turwi. Stary kasztelan miał syna rozpieszczonego jedynaka, dwie córki oraz wychowanicę, krewną daleką bez matki. Cała ta młodzież, do której przyłączyliśmy się we trzech, utworzyła bardzo wesołą kompanię.

Kasztelan swoim skąpstwem i zabiegliwością zebrał znaczną fortunę, był kawalerem orderów i senatorem; mieszkał atoli bardzo skromnie i całe urządzenie domowe odpowiadało dominującej wadzie jego charakteru. Bijący w oczy był kontrast Turwi z Gołuchowem, który mieliśmy świeżo w pamięci.

W dzień nie używaliśmy żadnych przyjemności; dwa razy dziennie kasztelan zwoływał wszystkich domowników i odmawiano wspólnie dosyć długie pacierze. Po późnym obiedzie, który się odbywał o godzinie siódmej, wypiwszy dużo wina, gospodarz szedł spać, a cała młodzież dopiero wówczas używała swobody. Domowi pragnęli wynagrodzić całodzienne umartwienie swych gości, otwierano więc spiżarnię i zaczynała się uczta. Po kilku dniach opuściliśmy Turwie, w kompanii, powiększonej przez młodego Chłapowskiego, który się z rozkazu swego ojca do nas przyłączył.

Ksawery Rostworowski nader miłym i użytecznym był mentorem, dzięki swej znajomości kraju i niemieckiego języka, oszczędził nam wszystkich przykrości i formalności celnych. Przy wjeździe do Drezna przyszła mu wesoła myśl pozmieniania naszych nazwisk przy meldowaniu się na rogatkach. Węgierskiego przedstawił jako Kozłum brztum czere-mere Berenkowskiego, ze mnie zrobił Litwina, nazywałem się Szczęk-brzdęk Periatetkiewicz, Chłapowski został Włochem Soporiferi-deri-feri sentisomonibus juritapatanii, sam krótko podpisał się de Fink Prusak. Gruby i tłusty Saksończyk nie poznał się na żarcie. Jakież było nasze

zdziwienie, gdy siedząc w hotelu przy ogólnym stole z wielu Rosyanami, Kurlandczykami, Liwończykami, którzy, podobnie jak my, udawali się do Lipska, ujrzeliśmy na Thor-zettel wypisane nasze pozmieniane nazwiska, które z powodu swej długości całą stronę zabierały. Jeden z gości, zaintrygowany ich oryginalnością, zwrócił się o wyjaśnienie do hrabiego Szpilerowskiego (Szpiłera, syna pocztmistrza z Gdańska, który podawał się za Polaka i jechał także do Lipska). Hr. Szpilerowski wytłómaczył z całą powagą, że nazwiska te, znajome mu zresztą ze słyszenia, należą do najpierwszych rodów w Polsce, że rodacy jego mają zwyczaj przed nazwiskami kłaść nazwę wsi, z których pochodzą i dlatego czasem są takie długie. Czere-mere były to bardzo piękne majątki w sąsiedztwie hrabstwa jego leżące. Co się tyczyło Soporiferego, wątpił azali to mógł być Włoch, przypuszczał raczej, że to musi być jaki Wołoch lub Grek. Zapewnił, że po przyjeździe do Lipska postara się jak najściślej z nami znajomość. Uważaliśmy za stosowne nie kompromitować go i nie zawstydząć jego próżności, ale dla uniknięcia wyjaśnień legitymacyjnych, postanowiliśmy skrócić pobyt w Dreźnie, chociaż prawdopodobnie nic nam wielkiego nie groziło, bo Ksawery Rostworowski był tu osobiście znany, jako kamerjunker dworu saskiego.

Do Lipska wjechaliśmy już pod właściwymi nazwiskami i umieściliśmy się w uczciwym i zamożnym domu kupca Feuera nawprost Alt-Marktu. Listy polecające okazały się wielce pożytecznymi; jeden z nich był do rektora uniwersytetu a zarazem bibliotekarza i redaktora słynnego lipskiego dziennika, pana Bel, drugi do ministra angielskiego, lorda Worth; wszyscy Anglicy a także i Rosyanie, których cesarzowa Katarzyna swoim kosztem do uniwersytetów zagranicznych wysyłała, byli temuż ministrowi oddani pod kontrolę, on to zdawał raporta co do ich sprawowania i postępów. Inny list polecał nas radcy tajnemu Kaudenbachowi, eks-ministrowi dwóch Augustów i dyplomacie na dworze angielskim, który w swoim czasie wiele usług oddał Stanisławowi Augustowi przed jego wstąpieniem na tron. Mieliśmy także listy do pana barona Schönfelda, słynnego ekonomisty i do bankiera pana Fregué.

Oto pod jaką dostaliśmy się opiekę. Widać stąd głęboki rozum i wytrawne doświadczenie mego ojca, który zamiast nam dać jednego może nudnego gubernera, dał nam odrazu kilku i to doskonałych: Bela do nauk ogólnych, Kaudenbacha do znajomości światowych, Schönfelda dla umiejętności ekonomicznych, Freguéta do stosunków finansowych. Nad wszystkimi stał zacny i szanow-

ny dziadek Rostworowski, jako główny kierownik mego wychowania. Dzięki jemu i Ksaweremu znaleźliśmy umieszczenia doskonałe. Skorośmy się już w mieszkaniu roztasowali, zaczęliśmy wizyty od barona Freguého, który był o naszym przybyciu przedzony. Osiemdziesięcioletni starzec nie poruszył się z fotela za naszym wejściem, ale z głębi swojego kontuaru zawołał: „Witam was, panowie, znałem waszych rodziców i hetmana Branickiego; macie kaźden u mnie po 220 dukatów rocznie do waszego rozporządzenia; powinno to kaźdemu wystarczyć, jeżeli umiejętnie pokierujecie wydatkami i posłuchacie rad waszych rodziców, które są tu oto przed wami”—i pokazał nam listy naszych ojców. Listy te zapewniały nam zupełną swobodę co do użytku tych pieniędzy; nie wymagano kaźnego z nich rachunku pod warunkiem oczywiście, aby cyfry naznaczonej z góry nie przekraczać.

Zabraliśmy obydwaj z Węgierskim po 50 dukatów kaźdy, podziękowaliśmy bankierowi, obiecaliśmy słucać rozkazów naszych rodziców, a jego rad i napomnień. Tym to rozporządzeniem zawdzięczaliśmy pojęcie o pewnym porządku w wydatkach, o koniecznej rachunkowości, do której wobec szanownego bankiera musieliśmy się stosować i przyjemnie mi pomyśleć, żeśmy położonego w nas zaufania nie nadużyli. Przy pożegnaniu obiecaliśmy wzorować się na pięknym przykładzie, jaki nam przedstawia cały dom bankiera, uczynność i uprzejmość jego komisantów. Pochlebne te słowa, które zresztą z prawdą bynajmniej się nie miały, rozmarszczyły surowe czoło starca. Wezwał czterech swoich pomocników i przedstawił nam ich osobiście: Anglik, Włoch, Hiszpan i Holender byli synami jego korespondentów; odznaczali się wysokimi zdolnościami i wzorowem prowadzeniem. Zalecił nam towarzystwo swoich uczniów, za których sprawowanie ręczył, udzielił nam wielu książek specjalnych handlowych, nakoniec otworzył nam drzwi swego domu i zaprosił do używania spaceru w swym prywatnym ogrodzie, jednym z najpiękniejszych w Lipsku.

Trzeci nasz towarzysz, Chłapowski, nie poszedł za naszym przykładem; mając w ręku przekaz na 280 dukatów, odebrał zaraz całą sumę i pobrzękując w kieszeni pieniędzmi jak orzechami, wyszedłszy od bankiera, podżartowywał sobie ze wszystkich danych przez nas staruszkowi obietnic. Ogarnęła go wkrótce istna gorączka wydawania pieniędzy. Węgierski, którego powierzchowność wzbudziła takie zaufanie u kasztelana międzyrzeckiego, że mu opiekę nad synem powierzył, niezmiernie się nim martwił i obydwaj doszliśmy do przekonania, że wizyta w Turwi nie po-

szła nam na pożytek. Co do nas, powróciwszy do domu, zrobiliśmy plan naszych miesięcznych wydatków odpowiedni do 50-ciu dukatów, spisaliśmy go na papierze i opatrzyliśmy podpisami. Obiad dziennie miał kosztować jeden złoty polski a kolacya $\frac{1}{4}$ złotego.

Te plany i obrachunki przerwane zostały wejściem marszałka dworu Józefa Aleksandra Jabłonowskiego, wojewody nowogrodzkiego, który wyraził nam głębokie zdziwienie swego pana, żeśmy dotychczas zaniedbali złożenia mu naszego szacunku. Odpowiedzieliśmy grzecznie, że skoro tylko zainstalujemy się w Lipsku, nie omieszkamy tego uczynić. Starego wojewodę znaleźmy z Węgierskim od dawna; wielki to był dziwak; pan ogromnej fortuny, ozdobiony mnóstwem orderów (był nawet kawalerem Złotego Runa), oddał się zupełnie nauce. Zapisał się na członka wielu akademii, otaczał się uczonymi, których zapraszał na wspańnię obiady, obsypywał podarkami, a ci wzamian nie szczydzili mu pochlebstw, które mu zupełnie głowę zawróciły. Ulubionym przedmiotem jego rozmowy była mapa Polski, ułożona jego kosztem przez Włocha Zanoniego, oraz studia nad pochodzeniem narodu polskiego. Wszystko to było w chwili, kiedy trzy ościennne państwa rozrywały na części jego ojczyznę. W życiu prywatnem taki uczony dziwak rzadko jest przyjemnym. W pierwszym swem małżeństwie z wdową, ks. Sapieżyną, nie był podobno szczęśliwym, to też po jej śmierci, wydawszy i wyposażywszy dwie jej córki, postanowił raz jeszcze ożenienia próbować; ułożył sobie, że młoda, uboga, z dobrej rodziny panienka, która wszystko mu będzie zawdzięczała, da mu to szczęście, za którym gonił napróżno. Sposobność ku temu trafiła się wkrótce.

Jan Klemens Branicki, wielki hetman koronny, otrzymał order Złotego Runa. Ks. Jabłonowskiemu przypadło w udziale doręczenie mu tych oznak. W ciągu uroczystości, odbywających się z tej racyi w Białymstoku, ks. Jabłonowski, występujący w stroju granda hiszpańskiego, zauważył w orszaku pańien pani hetmanowej młodą i piękną księżniczkę Woroniecką, z którą niejednokrotnie wesole spędzaliśmy wieczory na dworze białostockim. Stary wojewoda, sprawdziwszy starożytność i genealogię jej rodu, uznał, że znalazł to, czego szukał. Zamiast jednak postąpić, jak każdy porządny człowiek, uciekł się do środków nadzwyczajnych. Wyjeżdżając z Białegostoku, porwał skrycie młode stworzenie, wyjechał następnie z kraju, osiedlił się w Lipsku, kupiwszy piękny dom z tarasem na przedmieściu.

Nie bardzo byliśmy spragnieni widoku i towarzystwa księcia, ale wizyta była konieczną. Przybywszy przed pałac, prze-

szliśmy wśród dwóch rzędów służby, Polaków, ale w strojach wschodnich; u głównych drzwi marszałek dworu zatrzymał nas, mówiąc, że musimy poczekać, ponieważ opóźniliśmy nasze przybycie o kilka minut, a jego księżęca wysokość, której wszystkie sekundy w ciągu dnia są obliczone i zajęte, prosi, ażebyśmy się zatrzymali w sali cesarskiej.

Wprowadzono nas po schodach do długiego, wąskiego pokoju, gdzie po dwu stronach stały rzędy popiersi cesarzy rzymskich w karykaturze i pomalowanych na niebiesko. Po chwili drzwi się otworzyły i wszedł jezuita w długiej sutannie; poznałem go odrazu, był swego czasu w Białymstoku. Pamiętałem jedną jego dysputę naukową ze stryjem Melchiorem, w której stryj mój dowiódł mu czarno na białym niedorzeczności jego dowodzeń. Jezuita oświadczył nam, że jego wysokość jest gotów udzielić nam audyencji. Dodał przytem, że honor ten jest łaską nadzwyczajną, jedynie dla nas uczynioną; innym bowiem studentom wstęp do pałacu stanowczo jest wzbroniony. Zrozumiałem, o co mu chodzi i odpowiedziałem, że będąc uczniami i wychowañcami ojca Melchiora Starzeńskiego, którego jego pamięci przypomniałem, mam nadzieję, że potrafimy się należycie zachować.

Dopuszczono nas w końcu do samej osoby księcia, który był niezmiernie uprzejmy i mówił nam wiele o swych zajęciach. Udzieliłem mu trochę szczegółów o Jadźwingach, dawnych mieszkańcach Podlasia, ich zamkach, śladach pomiarów, które zostawili; mówiłem o katastrach z 1568 r. i rękopismach mego ojca. Prosiłem go w końcu o udzielenie mi swych rad i protekcji. Za tę przemowę czekała nas nagroda. W salonie ukazała się jej wysokość księżna pani z książką i zeszytem w ręku. Poznała nas odrazu, ale nie dała tego poznać po sobie; na jej pięknej twarzy odbijały się, jak w zwierciadle, rozmaite wrażenia, wywołane wspomnieniami wesołych chwil jej młodości, spędzonej w Białymstoku, ale nad wszystkim górować musiała powaga, przynależna jej stanowisku obecnemu. Biedna kobieta wyrecytowała przed księciem swoją lekcję z pomocą zeszytu — złożyliśmy powinszowania postępów, jakie uczyniła w naukach i powstawszy, zaczęliśmy się żegnać. Otrzymaliśmy od księcia raz na zawsze zaproszenie na wszystkie posiedzenia literackie, odbywające się raz na tydzień, a zwykle poprzedzone obiadem.¹⁾

¹⁾ Por. Antoni J.: Jeden ze szczepów zasłużonego rodu (Jabłonowskich). „Opowiadania,” serya czwarta, tom I. Warszawa, 1884.

XII.

Pora, poprzedzająca topnienie śniegu i ostateczną odwilż, jest najodpowiedniejszą do odbywania pospiesznych podróży; należy tylko wystrzegać się jazdy nocą, to też droga z Lipska zesłała mi prędko i szczęśliwie.

Do domu przybyłem w sam dzień św. Macieja, patrona mego ojca, i to zaledwie na kilka godzin przed przybyciem zaproszonych gości. Spodziewano się mego przyjazdu dopiero po Wielkiej Nocy; przyspieszeniem powrotu sprawiłem wielką uciechę rodzicom, którzy, znalazłszy we mnie wiele zmian na korzyść pod każdym względem, radowali się serdecznie moim widokiem. Stryj jezuita, zamieszkujący na stałe dom nasz, kontent z dobrze załatwionych sprawunków, ucieszył mi się nadzwyczajnie, ja sam rad byłem z siebie, z ludzi, z widzenia wszystkich, których kochałem i dotąd w mej pamięci dzień ten świeci mi, jako jeden z najszcześniejszych w mem życiu.

Goście wkrótce zjeżdżać się zaczęli. Ojciec mój, posiadający w wysokim stopniu takt, znajomość życia i obcowania z ludźmi, lubił niezmiernie towarzystwo i liczne zjazdy, dbał również o powodzenie u dam, w czem byłem do niego podobny i w dniu tym odebrałem dowody, że jeżeli czuły byłem na wdzięki dam, to i one nie pozostawały dla mnie obojętne. W liczbie gości znajdował się pewien kawaler maltański, bardzo już niemłody, wraz z niedawno poślubioną małżonką. Różnica wieku była między nimi wielka. Kawaler maltański zasiadł wkrótce po obiedzie do faraona, a młodzież, do której żona jego oczywiście należała, rozpoczęła gry towarzyskie. W ciągu zabawy dawano mi lekko do poznania, że odemnie tylko zależało, aby z powodzeniem odegrać rolę Lovelace'a. Panie szykowały toalety na bal... Ograniczyłem się na frazesach. Trudno uwierzyć, a jednak uraza pani kawalerowej maltańskiej stała się przyczyną, że ominęła mnie jedna z lepszych partyi w kraju i przeszkodziła osiedleniu się w Galicyi.

Po wyjeździe gości ojciec zabrał mnie na konferencyę i wtajemniczył w rozliczne swoje kłopoty. Rząd austriacki dopominał się legitymacyi szlachectwa. Należało uporządkować genealogię, tytuły własności, które spoczywały w lwowskich archiwach, odzyskać a następnie zarejestrować.

Przygodni, włóczący się po kraju, komisarze byli przyczyną ciągłych niepokojów i nieprzyjemności. Zjawiali się nagle po

dworach, zabierali dokumenty i kwity, przytem rozpoczynali natchmiast śledztwo i poszukiwanie tytoniu, win zagranicznych, śledzi i piwa angielskiego, które jako w kraju, należącym do do Austrii, uważane były za kontrabandę. Cykularze, wezwania płynęły jedne po drugich, pisane w języku niemieckim, niezrozumiałe były dla mego ojca. W całym domu jeden tylko stary służący mógł się jako tako z Niemcami porozumieć, ale stylu biurowego rozwikłać nie był oczywiście w stanie.

Wogóle rząd austriacki występował wrogo przeciw panom i szlachcie, zajmował się gorliwie stosunkiem ich do włościan, oczywiście na korzyść tych ostatnich. W kościołach, gminach, karczmach czytywano im okólniki, wzywające do zrzucenia ciężkiego jarzma i składania skarg i zażaleń bezpośrednio rządowi. Nałożono podatki na karczmy. Ojciec mój usunął w swoich dobrach Żydów od szynkowania, nakazano mu składać rachunki skonsumowanej wódki. Wojskowi ze swej strony obrachowywali konie, ludzi, służbę. Do tylu i tak rozlicznych zajęć liczba dotychczasowa urzędników państwowych okazała się zbyt ograniczoną; jak sobie na to radzono, zobaczymy poniżej.

Niedogodną również i niemłą rzeczą dla właścicieli było to, że ich prywatni urzędnicy, rządcy i administratorowie, solidaryzowali się z rządem i jego komisarzami. Pod pozorem zwiększonej pracy żądali podwyższenia pensyi, sami zaś umieli posyłać fałszywe rachunki wydatków i prowadzić wesołe życie z wędrownymi „amtmanami.“

Wtajemniczony we wszystkie szczegóły, przystąpiłem niezwłocznie do działania. Zapisałem sobie w notesie sentencję łacińską: „Ne te terreat ullus labor, incipe quiesce, rursus incipe et perfines opus“ i w myśl jej postępowałem. Byłem grzecznym dla grzecznych, ale stawałem się dyabłem wcielonym, jeśli tego zachodziła potrzeba. Otrzymałem od ojca upoważnienie do kierowania kasą i czerpania z niej dowolnie. Zacząłem swą pracę od uporządkowania ksiąg i sprawdzenia rachunków. Przy tej rewizyi majątków Olejowa, Markopola i Koniuszkowa wyszło na jaw mnóstwo nadużyć ekonomów, którzy wszystko to, co chowali do kieszeni, kładli na karb chłopów, Żydów i remanentów, a te rosły z roku na rok. Po dwu tygodniach szalonej pracy doprowadziłem do porządku rachunki i wykazałem jasno deficyt: w kasie brakowało 20,000 florenów. Udało mi się odzyskać 14,000 fl. Podobny stan okazał się i w innych majątkach. Sprawców większych nadużyć oddaliłem, mniej winni przejęci zostali strachem i na przyszłość schwycili się innych sposobów a mianowicie cią-

gnęli zyski przy każdym kupnie i sprzedaży. W gospodarstwie naszym kupowaliśmy jęczmień i owies, sprzedawaliśmy miód i zboże. Wiedziałem już wówczas, że cała tajemnica korzystnego handlu polega na tem, aby kupować towar z pierwszej ręki a sprzedawać ostatniej, t. j. samemu konsumentowi. Owies płaciliśmy w tych latach po 1½ fl. za korzec; jęczmień po 4 fl. Owies odprzedawaliśmy w Brodach po 7 — 8 fl. korzec na jarmarku; jęczmień szedł do browaru.

Wyjątkowe położenie Olejowa w najżyźniejszej okolicy Galicyi, w bliskości Zbaraża, Tarnopola, zwiększone zapotrzebowanie zboża, obfitość pieniędzy w kraju, a w końcu i porządek, jaki zaprowadziłem, stały się przyczyną szybkiego wzrostu fortuny mego ojca. Sam on z osłabionym silnie wzrokiem, choć domyślał się wszystkich nadużyć, nie miał dosyć energii, aby rozstać się ze swym komisarzem, panem Łęckim, który nieuleczalnie chory i niedołężny nie był w stanie podołać wszystkim interesom. Doczekawszy się mego powrotu, chętnie obarczał mnie najróżnorodniejszymi poleceniami, których spisać nie jestem w stanie. Pomijam je zatem milczeniem, pragnę tylko zanotować tu jedno zdarzenie, datujące się z owej epoki, dosyć komiczne i malujące ówczesne położenie.

Pewnego razu chłopci przyszli oznajmić mi, że jakiś jegomość, podający się za komisarza okręgu złoczowskiego, przy objeździe wsi rozkazywał wydawać sobie żywność, pieniądze i konie, upijał się z popami, był przytem upoważniony od rządu, aby wyrazić olejowskim chłopom zdziwienie, że żaden z nich nie podał dotąd skargi na właściciela.

Zasięgnąłem rady mego ojca, który polecił mi czekać cierpliwie jego wyjazdu i skutków owej wizyty. Po upływie czterech tygodni zjawia się sam pan kapitan okręgu złoczowskiego ze swym pomocnikiem i służącym, w którym poznano wizytującego niedawno komisarza. Baron Tannhausen w ciągu pierwszego dnia okazał się bardzo uprzejmym. Nie zadawał się samą rozinową, zaproponował grę w karty. Matka moja przyjęła propozycję i rozpoczęto partyę lombra z dość wysoką stawką. Stałem sobie na uboczu i po krótkiej chwili zauważyłem, że pan kapitan okręgu złoczowskiego oszukiwał nieznacznie, porozumiewając się ze swym sekretarzem i znacząc matadory. Miałem się jednak tyle na ostrożności, że nie wybuchnąłem odrazu. Matka przegrała kilkaset punktów.

Nazajutrz kapitan wręczył mi rozkaz wezwania chłopów z czternastu wiosek, mających wystąpić, jako świadkowie w pro-

cesie, obejmującym skargi przeciw mojemu ojcu wytoczone. Zakomunikowałem plenipotencję ojca na moje imię wydaną i zażądałem wykazu owych zażaleń... Mieściły się one na czternastu kartkach i z małymi wyjątkami wszystkie były do siebie podobne, zredagowane ręką pana lokaja-emisaryusza. Wkrótce rozpoczęliśmy rozprawy. Z mojej strony oponowałem przeciw gromadnemu zwołaniu chłopów z oddalonych o 3 mile wiosek, dowodząc, że łatwiej będzie panu kapitanowi odbyć ten objazd, aniżeli pięciuset ludziom odrywać się od swojej roboty. Zresztą podług rozkazów, nadeszłych z okręgu, około stu chłopów było zajętych transportem żywności dla wojska, oprócz tego czterdziestu ludzi wezwano do budowania stajni kawaleryjskich. Zwróciłem w końcu jego uwagę, że służący uczynił już zadość jego żądaniom, wszystkie bowiem kartki wypełnione już zostały podpisami chłopów. Pan kapitan zmarszczył brew i odłożył sprawę do dnia następnego. Dało mi to czas na sprowadzenie po dwu gospodarzy najuczciwszych i najznacniejszych z każdej wsi. Oświadczyli oni, że przymuszeni przez rząd do przewożenia żywności dla wojska rosyjskiego utracili połowę swych koni na Multanach, ale że ojciec mój stratę wynagrodził, wypłacając 1,400 florenów, tudzież ofiarując kilka koni i około 200 sztuk wołów. Uskarżali się w dalszym ciągu na drożyznę soli, zakaz plantowania tytoniu, szykany urzędników i obowiązek dostarczania armii wozów i robotników. Zaświadczyli, że ojciec mój, chociaż dożywotni tylko właściciel Olejowa, nie przekroczył nigdy taksy czynszowej, wyznaczonej przez ks. Radziwiłła w r. 1747. Wogóle nie pragnęli oni nic więcej nad to, aby jaknajdłużej zachować tak dobrego pana, który się zawsze z nimi po ojcowski obchodził. Chociaż zeznania te nie szły w smak panu kapitanowi, zmusiłem go do umieszczenia ich w swoich aktach, co uczynił, aczkolwiek niechętnie.

Inne paragrafy rozporządzeń kapitana dotyczyły przepisów policyjnych. Wszystkie osoby bez stałego miejsca zamieszkania, włóczęgów, którzy objeżdżali wsie, burzyli ludność, podszywali się pod rządowe godności, polecano wydawać w ręce władzy. Po przeczytaniu tego artykułu zapytałem włościan, czy podobny wypadek nie zaszedł w ich gminach. W odpowiedzi pobiegli do kuchni i przyciągnęli za uszy służącego kapitana.

Wkrótce zaproszono nas do stołu. W czasie obiadu wszedł do sali stary służący, który tylko co wrócił z dalekiej podróży. Dano mu posiłek i wina. Po chwili, ku wielkiemu naszemu zdziwieniu, staruszek, który miał wzrok osłabiony, poczyna oczy prze-

cierać, robić jakieś miny, widzimy, że mu się zbiera na płacz. Nie pojmujemy, o co chodzi. Zdziwienie nasze wzrosło jeszcze, gdyśmy zobaczyli, jak staruszek rzuca się panu baronowi Tannhausen na szyję i woła: „Ach, lieber Karl, ist es möglich!“ Pan kapitan czerwony, jak piwonja, wściekły z gniewu, zrywa się od stołu i ucieka. Pokazało się, że ów „Karl,“ zbieg austriacki, żołnierz saski, został służącym u pana Renarda, przebywał w Białymstoku i tam zaprzyjaźnił się ze służącym mego ojca. Z Białegostoku udał się do Wiednia. Zajęcie Galicyi przez Austryaków i potrzeba zwiększenia liczby urzędników sprawiły, że werbowano ich mniej lub więcej szczęśliwie, nie badając pochodzenia. W ten sposób pan Karl został kapitanem okręgu złoczowskiego. Ojciec mój i stryj jezuita zakłopotani całym tym epizodem wysłali mnie do kapitana w celu ułagodzenia i uspokojenia wzburzonego jego umysłu. Zastałem go w wielkim niepokoju i rozdrażnieniu, pragnął gorąco, aby echo tego zdarzenia nie przedostało się poza mury naszego domu. Obiecałem mu solennie, że niedyskretnego lokaja zankniemy pod klucz, a tajemnicę zachowamy. Pan baron złagodniał odrazu. Stryj Jezuita do reszty go rozbroił, cytując ustępy z Pisma św., dowodzące, że zasługą jest dobijanie się celu pracą własną etc.

Cały proces odrazu uciszono. Kapitan w mojej obecności spisał raport prawdziwy i w pochlebnym świetle wystawiający stosunek włościan do mego ojca. Podczas, gdy wszędzie w okolicy chłopci rozgoryczeni na swych panów i podburzani przez rząd rzucali robotę i zostawiali pola odłogiem, w Olejowie wszystko szło, jak w zegarku. Ceny zboża natomiast się podnosiły, dochody płynęły do kasy obficie. Ludność wiosek wzrastała, powiększona przez przybyłych ludzi z innych włości. W przekonaniu, że cały dobrobyt i umiejętne gospodarowanie opiera się na dobrych stosunkach z ludem, począłem od zyskania sobie ich zaufania. Ojciec mój, widząc dobre skutki mego systemu i zdolności moje administracyjne, powierzył mi zarząd wszystkich swoich majątków.

XIII.

Włościanie, należący do starostwa brańskiego, podburzeni przez pewnego mieszczanina, wytoczyli hetmanowi Branickiemu proces. Dopominali się mianowicie o powrót do dawnych przy-

wilejów, potwierdzonych przez króla przy wstąpieniu na tron, o zrobienie nowych pomiarów, stwierdzających ilość i jakość ich działek; nakoniec domagali się zniesienia wszelkich powinności, przeciwnych tymże przywilejom.

Dla załatwiania podobnych spraw istniał w Warszawie i na Litwie osobny Trybunał, t. zw. Referendaryja, której wyroki były decydujące, nie znosiły apelacyi, urządzenie bardzo mądre w teorii, ale będące powodem wielu nadużyć w praktyce.

Zbadawszy całą sprawę, dowiodłem sądowi, że przedewszystkiem nowy pomiar jest zbyteczny, istniały bowiem plany z r. 1562, chodziło tylko o sprawdzenie, gdzie i o ile granice zostały naruszone. Według tych pomiarów 500 morgów ziemi przypadało na 600 chłopów, stąd widać, że dodawszy im około 100 morgów na trzech folwarkach, dochodziło się do cyfry okrągłej i włościanie bynajmniej pokrzywdzeni nie byli. Kwestya przywilejów i powinności była dla mnie bardzo zawikłaną. Jeden znalazłem na nią sposób wyjścia. Wszystkie sąsiednie starostwa posiadały podobne prawa i odpowiedni stosunek przestrzeni, należało więc odnowić podług ich wzoru dawne prawa chłopów, istniejące od czasów Zygmunta Augusta, lub też utworzyć nowy kodeks odpowiedni do cen produktów i wartości pieniędzy. Prawo dozwalało obu stronom zabierać głos w tej sprawie. Mówka, którą wygłosiłem przy tej okoliczności, zyskała ogólny poklask i przechyliła opinię sędziów na moją stronę. Proces był wygrany, a przynajmniej zyskałszy na czasie. Zato wiele pokątnych osobistości, a mianowicie adwokatów, którzy potajemnie burzyli chłopów i przeciągali umyślnie bez końca procesy, zachowało urazę i niechęć do mnie.

W Warszawie przebyłem całe dwa lata i pobyt ten liczę do niezmiernie miłych wspomnień młodości. Kanclerz Młodziejowski umieścił mnie w innym Trybunale, t. zw. Asesoryi, w której król za pośrednictwem kanclerza prezydował i sądził w ostatniej instancyi wszystkie procesy, odnoszące się do przywilejów miast i praw królewskich. Jako „asesor“ wszedłem w nowe stosunki i zyskałem nowe pole do obserwacyi. Pani hetmanowa Branicka ofiarowała mi w swoim pałacu mieszkanie. Ranki od 9 do 2 zabierały mi posiedzenia, następnie obiadałem u kanclerza, u pani Branickiej lub u którego z kolegów.

Andrzej Mokronowski w czasie tego okresu mego życia otoczył mnie serdeczną i życzliwą opieką i darzył przyjaźnią, której zresztą dowodów nie szczędził mi aż do śmierci. Czytywałem mu głośno, prowadziłem jego korespondencyę, a że z natury byłem

ostrożny i dyskretny, to zapewne jednało mi jego zaufanie. Za niską cenę ustąpił mi dwa doskonałe ruskie konie i powozik, przytem swoje konie wierzchowe oddał do mojej dyspozycji. Po obiedzie odbywałem zwykle przejażdżkę. Wieczory u pani krakowskiej, na które często król przychodził ze swą swiatą, były niezmiernie ciekawe. Życie światowe nie miało jednak wielkiego dla mnie uroku, nie lubiłem tańczyć i nie pragnąłem bynajmniej uchwycić tonu i manier złotej młodzieży. Na to trzeba było urodzić się komedyantem, deklamować tyrady, być zarozumialcem, graczem, Lowelasem. Nie pogardzałem kobietami, ale często rumieniłem się za nie, bo też trudno zaiste o większe rozprężenie obyczajów, jak to, które panowało podówczas w Warszawie. Ponieważ nie chodzi mi o skandaliczną kronikę Warszawy, ograniczę się na ogólnej wzmiance, iż przekładając towarzystwo zacnych kobiet nad zabawę z mniej cnotliwemi, oraz unikając towarzystwa młodych ludzi mego wieku, z tej epoki życia nie wyniosłem ani wyrzutów sumienia, ani rozczarowania.

Panowała wówczas w Warszawie smutna moda, polegająca na wyrobieniu sobie opinii wielkiej odwagi i śmiałości kosztem słabszych fizycznie i moralnie. W tym celu wywoływano lub udawano co chwila pojedynki. Co do mnie nigdy napastującym ani świadkiem nie byłem, ale nie mogłem się powstrzymać, aby nie poskromić pewnego razu zbytnej zarozumiałości dwu panów w rodzaju pana Krzyckiego. Pojedynku nie przyjęli, od tej pory zostawiono mnie w spokoju.

XIV.

W r. 1778 w końcu czerwca rodzice moi przybyli do Strabli. Leży ona tylko o 21 mil od Warszawy, to też w ciągu dwu lat pobytu w Warszawie niejednokrotnie jeździłem na wieś i party energią młodości przeprowadzałem tam różne amelioracye. Między innemi zebrałem kilkadziesiąt wyrostków wiejskich i rozpocząłem regulacyę łąk, leżących poza ogrodem. Myśl ta przypadła ojcu do smaku. Obejrzawszy zaczęłą robotę, sprowadził 40 robotników rosyjskich i ukończyć ją rozkazał. Wezwano mnie z Warszawy. Przyjechałem natychmiast bryczką, zaprzężoną w dwa konie ruskie, które służyły 2 lata na bruku warszawskim. Zabrałem ze sobą staruszkę stangretę i dwu służących. Nie był to powrót syna marnotrawnego. Ojciec przyjął mnie z otwartemi ramionami,

matka pamiętała posłuszeństwo jej rozkazom. Ojciec uradowany, że wrócił do swych stron rodzinnych, zdawał się oddychać swobodniej i raźniej po austriackiej niewoli. Odmłodniał, jeździł konno, budował szepę dla psów i przyborów myśliwskich.

Pani hetmanowa Branicka odbywała w tym czasie przegląd swoich dóbr i przybyła do Stołowacza, aby skonstatować rezultaty ulepszanego, pruskim systemem prowadzonego gospodarstwa. Dowiedziawszy się, że ojciec bawi w Strabli, wezwała natychmiast jego i mnie, abyśmy towarzyszyli w objeździe i całym przeglądzie. Ksiądz Orłowski, pijar, ten sam, który należał do rady, zebranej po śmierci hetmana, towarzyszył jej stale, trzymając w ręku kopię instrukcyi, którą zredagował i ułożył. Gruby, opasły Prusak, zarekomendowany mu nie wiadomo przez kogo, prowadził całe gospodarstwo, w dniu tym upił się trochę, aby sobie dodać odwagi. Rzeczywiście, miał się czego obawiać, gdyż grunta były zaniedbane a dwie stodoły spłonęły od pioruna. Prusak wynyslił na to sposób, a mianowicie wybudował na miejsce spalonych zabudowań 3 stodoły o 2,000 kroków jedną od drugiej, gdy spytano go o przyczynę tego rozporządzenia, odpowiedział: „Na spalenie krestencyi trzeba, żeby przysłano z nieba trzy pioruny zamiast jednego.“ Ten żart oburzył zakonnika, który szukał tylko sposobności, aby dokuczyć Prusakowi. Bydło nadchodziło, było piękne i dobrze żywione, dzięki obfitym pastwiskom. Ksiądz Orłowski zwrócił jednak uwagę, że nie było dosyć czysto utrzymane. Istotnie, zabłocone i zakurzone było ogromnie. Zapytał więc, czy bywa myte i skrobane podług instrukcyi. „Panie ksiądz—odrzekł Prusak—w Żoliborzu macie 6 krów a 20 księży. Ja mam sto dwadzieścia krów i dwu tylko pastuchów. Krów nigdy nie skrobałem.“ Sprzeczka stawała się coraz ostrzejsza. Ojciec dał mi znak, abym odciągnął Prusaka na stronę, a sam namówił panią hetmanową, aby poszła obejrzeć ogrody istotnie upiękzone przez ogrodnika Richtera. Na odjezdnem zaprosiliśmy p. Mokronowskiego do Strabli na polowanie, które powiodło się wybornie. Pan Mokronowski wziął chartami dwa lisy i sarnę. Po dwu dniach udaliśmy się znów do Stołowacza. Tam stale dotrzymywał towarzystwa pani hetmanowej ksiądz, który zanudzał ją na śmierć, wtrącając się we wszystkie interesa i robiąc co chwila awantury.

Mokronowski był tem tak zniecierpliwiony, że wymyślił sposób na pozbycie się go, choćby na czas polowania. Po obiedzie dano znać, że niedźwiedź wypadł z lasu i zdusił kilka sztuk bydła, poczem skrył się w małym lasku nawprost pałacu. Ten

niedźwiedź był to mój forys ubrany w skórę i mający odegrać jego rolę. Pani Branicka była uprzedzona o wszystkim i zgodziła się pod warunkiem, aby księdzu żadnej szkody nie zrobiono. Polecałem konno en carriere po forysia o dwie mile drogi, zaszliśmy go w skóry i zdążyłem wrócić na czas. Przy obiedzie złożono raport. Przygotowania do polowania zrobiono jak najspieszniej, służbie zabroniono strzelać, a ks. Orłowskiemu wyjęto naboje pod sekretem. Otwartym powozem udaliśmy się do lasu, tam uradzono wysiąść, aby konie nie przelekły się niedźwiedzia i choć ks. Orłowski oponował, gdyż czuł się bezpieczniejszym w powozie, konie odesłano, a my wysiedliśmy wszyscy i ustawiliśmy się w koło. Ksiądz Orłowski na ścieżce od lasu, pani Branicka we drzwiach kuźni. Puszczono psy. Niedźwiedź, bojąc się o własną skórę, pędził prosto na księdza, który rzucił fuzyę, zakasał sutannę i zmykał, krzycząc: „Ratujcie panią hrabinę! ratujcie panią hrabinę!“ Pomimo szybkiej ucieczki, niedźwiedź zdążył go dogonić. Ksiądz upadł na trawę, niedźwiedź usiadł na nim i czekał moich rozkazów, że jednak psy nadbiegały, zawrócił do lasu i tam go złapano.

Nie wiem czy ksiądz poznał się na żarcie, ale udał chorego i nazajutrz wyjechał do Warszawy.

XV.

Gospodarstwo Austryaków, jakkolwiek niemiłe dla Galicyi, miało jednak swoje dobre strony, a mianowicie ułatwiało kupno ziemi i przyczyniało się do wzbogacenia obywateli. Stało się to sposobem następującym. Cesarzowa Marya Teresa zagwarantowała była aktem podziału Polski prawo własności obywatelom, a starostom używalność dożywotnią dochodów. Wszystkie starostwa płaciły czwartą część dochodów wedle taryfy z r. 1768. Ta czwarta część czyli 25% stanowiła w rzeczywistości 7%. Syn i następca Maryi Teresy posiadał szerokie i ambitne plany, których wypełnienie pociągało za sobą znaczne wydatki. Aby wzbogacić skarb, postanowił za jakąbądź cenę spieniężyć wszystkie starostwa i dobra koronne w Galicyi, które przynosiły niezmiernie mały dochód. To też warunki kupna tych majątków postawił tak łatwe, że panowie szlachta rzucili się skwapliwie do zawierania umów z rządem. I tak: Wartość ziemi obliczono podług taryfy z r. 1765. Następnie wzywano starostów, aby dożywotnie

prawa do dochodów zamieniali na prawa własności, przyczem połowę należności mieli płacić ratami w ciągu lat pięciu z 5%, drugą połowę płacili ich spadkobiercy. Co się tyczy stempla, opłacano pewien nieznaczný t. zw. kaufszelling przy zawieraniu umowy. Z podatków starostowie płacili 12%, reszta przypadała na chłopów. O osiem mil od Olejowa leżała Mogilnica, gdzie starostą był niejaki Skrzetuski. Był to wielki utracýusz, który życie całe spędzał w Warszawie, żył w przyjaźni z wojewodą ruskim, który niejednokrotnie płacił jego długi, a pomimo tego lubił go i cenił. Skrzetuski, jak i inni, zawarł umowę z rządem i zapłacił dwie raty. Skoro jednak nadszedł termin trzeciej, pan Skrzetuski nie miał pieniędzy i groziła mu egzekucya sądowa lub unieważnienie dwóch pierwszych rat. Przybył zatem do Olejowa z prośbą o pożyczzenie pieniędzy. Poczeliśmy się zastanawiać nad tym interesem z ojcem i doszliśmy do przekonania, że Skrzetuski, mając do płacenia 3 raty, t. j. $\frac{3}{10}$ wartości majątku, przy 150,000 dawnych długów, w żaden sposób nie potrafi utrzymać się przy majątku. W ciągu jego wizyty w Olejowie, udałem się do Mogilnicy, obejrzałem majątki i powróciwszy zdałem ojcu sekretny raport. Wyłożyliśmy wówczas panu Skrzetuskiemu jasno cały stan jego interesów i zamiast pożyczki zaproponowaliśmy kupno starostwa za cenę 450,000 fl., t. j. o 130,000 fl. wyżej nad cenę oznaczoną przez rząd. Skrzetuski przekonany zgodził się chętnie na ten projekt. Po spłaceniu długów pozostawało mu około 10,000 fl. na czysto. W czasie kontraktów lwowskich otrzymałem zezwolenie rządu, aby wejść w prawa Skrzetuskiego, a 15 marca 1781 przeprowadziłem ostateczne rachunki z włościanami. W majątkach tych ojciec ustanowił ekonomię, która do rąk oddawała mu 60,000 fl. rocznie.

XVI.

Przy nadchodzącej jesieni szykowałem właśnie wszystko do mających się odbyć polowań, gdy odebrałem od ojca sztafetę, aby udać się natychmiast do Nieświeża, oddalonego o 60 mil od Strabli, a to w następującej sprawie. Książę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, posiadał znaczne dobra w Galicyi. Zmuszony do emigrowania za udział w konfederacyi barskiej, przebywał długi czas zagranicą, a na litewskie dobra nałożono sekwestr. Po kilku latach dozwolono księciu wojewodzie powrócić do kraju, sekwestr zdjąto, ale dochodów zaległych nie zwrócono. Przez ciąg

emigracyi księżę Radziwiłł, spokrewniony z domami panującymi, odbywał podróże po dworach europejskich, plenipotencyę zaś co do spraw majątkowych w Galicyi oddał niejakiemu Józefowiczowi, eks-Żydowi, który tej plenipotencyi w pełni używał, pożyczając na wszystkie strony na wysokie procenta i sprzedając majątki Radziwiłłowskie niepodzielone. W ciągu lata przybył do Olejowa z propozycją sprzedaży Olejowa i Sasowa, które ojciec mój trzymał tytułem zastawu. „Niech mnie Bóg strzeże—odparł mój ojciec—abym korzystał z nieobecności księcia, mego dobroczyńcy i szukał zysku jego kosztem. Gotów jestem nawet wyrzec się na jego korzyść prawa dożywiania na Olejowie. Nie chcę być jednym z tych, którzy go obdzierają z jego majątków. Zróbmy raczej likwidacyę sum, które mi jesteście winni. Spiszmy umowę, w której panowie zobowiążecie się wypłacić w rocznym terminie całą moją sumę, a następnie sprzedacie majątki, komu będziecie chcieli.“ To zobowiązanie Józefowicz podpisał. Ojciec mój do sumy zastawnej dołożył 40,000 fl. Józefowicz zrobił dobry interes dla księcia, ale sam nie odniósł żadnej korzyści, a że przy każdym interesie zwykł był jakiś procencik dla siebie odciągać, nie odpowiadało to jego wyrachowaniom, przytem odpowiedź ojca była niejako krytyką jego postępowania, stąd niechęć i żal. Mając pod swym wpływem wszystkie biura we Lwowie, począł robić szykany co do leśnego gospodarstwa w Sasowie i zagajników w Olejowie, jako własności księżęcej. W terminie zaś umówionej sumy nie wypłacił.

Otóż według listu ojca miałem z ową umową udać się do Nieświeża i osobiście prosić o zakończenie sprawy. Puściłem się w drogę natychmiast, było to w połowę września.

O dziesięć mil przed Nieświeżem napotkałem armię nadworną księcia, złożoną z 2,000 ludzi piechoty i strzelców, oprócz tego 600 szlachty konno, kilka wozów z sieciami, zaprzężonych każdy w sześć wspaniałych mułów z dzwonekami, dalej szła smycz z 200 gończych i mnóstwo chartów. W oberży na drodze przygotowano obiad na ośm nakryć dla samego księcia Radziwiłła. Sekretarz księżęcy oznajmił mi, że księżę ma przybyć w kwadrans, a znając mnie i ojca zawczasu nalegał, aby zboczyć z drogi i wziąć udział w polowaniu na wilki. Księżę, który wkrótce przybył, przyjął mnie bardzo łaskawie i zaprosił, bym należał do polowania, następnie razem z nim powrócił do Nieświeża, gdzie obiecał przejrzeć całą sprawę. Polowanie udało się, zabiliśmy 10 wilków. Wieczorem był bal, na którym ujrzałem wiele pięknych Litwinek, na drugi dzień obławę powtórzono. Trzeciego

dnia dopiero udaliśmy się do Nieświeża, gdzie przebyłem trzy tygodnie. Książę był nad wyraz gościnnie, pokazywał swój pałac, zbrojownię, konie, z których cztery kupił był niedawno u mego ojca.

Codzień przybywały listy od różnych plenipotentów i innych osób z rozmaitemi propozycjami. Gdy odczytywałem je księciu, ten przyjmował je ze spokojem i mawiał: „Wszyscy ci panowie wystawiają sobie, że mnie oszukują; ja udaję głupiego, aby się ich prędzej pozbyć. Jestem stary, bezdzietny, a majątek mój wystarczy dla mojego brata Hieronima. Na co mam łamać sobie głowę nad interesami, których nie będę miał czasu ukończyć. Wiem, że hrabia Starzeński jest człowiekiem uczciwym, a Józefowicz zwykłym oszustem, ale jeżeli na jego miejsce wezmę innego, będzie robił to samo.“ Oto była cała rezolucya księcia; dał mi tylko list do Józefowicza, w którym zalecał mu, aby przestał dręczyć mego ojca. Wysłałem ten list i własny opis bytności w Nieświeżu sztafetą do Olejowa, a sam zatrzymałem się jeszcze na dni kilka na wspaniałe uroczystości, które książę Radziwiłł szykował dla ks. Michała Ogińskiego, wiel. het. litewskiego i swoich braterstwa, Hieronimostwa Radziwiłłów.

Jeżeli podróż moja do Nieświeża nie rozstrzygnęła ostatecznie sprawy ojca, to z drugiej strony była mi bardzo użyteczną dla moich wiadomości statystycznych i osobistych obserwacyi.

Ks. Karol Radziwiłł pod powłoką dziwactwa był mądrym i przebiegłym; jego podróże po dworach europejskich, odbywane niby tylko dla przyjemności, sprawiły, że za interwencją Prus i Bawaryi zdjęto mu sekwestr z jego dóbr. Podobnież za powrotem z Warszawy udawał naumyślnie dziwaka, opowiadał niestworzone rzeczy o swoich podróżach po Europie, o czynach walecznych na ziemi i morzu, a wszystko robił dla uspokojenia otaczających go szpiegów rosyjskich. Z prawdziwą przyjemnością obserwowałem go, jak wystąpił w czasie zapowiedzianych uroczystości. Posiadał on pewną liczbę gotowego, świetnie uorganizowanego wojska, prócz tego ludność wiejską wolną od powinności gruntowej, ale spisaną porządnie i z tej mógł w każdej chwili $\frac{1}{3}$ powołać do broni. Armaty, amunicyje doskonale zaopatrzone, strzelcy i straż leśna w poczwórnym komplecie, byli to wszystko żołnierze świetnie wyćwiczeni. Przytem za sobą czuł całą prawie szlachtę z Litwy i Polesia, gotową porwać się do broni na jedno jego skinienie. Śmiało rzec mogę, że gdyby nie wiek sędziwy i wzrok przyćmiony, które mu nie pozwoliły rozwinąć większej

działalności na początku 1788 roku w czasie Sejmu Wielkiego, toby może było mniej rozpraw, mów, intryg, a więcej natomiast dobrych rezultatów.

XVII.

W roku 1783 zawarłem bliższą znajomość z Jackiem Małachowskim, wielkim referendarzem koronnym. Trudno mi było przewidzieć, że znajomość ta miała pociągnąć za sobą wielkie dla mnie przykrości i nawet w znacznej części zmniejszyć moją fortunę. Hrabia Małachowski był jednym z najuczciwszych ludzi w Polsce; wysokiej wartości moralnej, dobry gospodarz, umysł miał jednak nieco ciężki, przytem trudność wielką w wystowieniu swych myśli, a jeszcze większą w wypisaniu ich na papierze — pod tym względem był niesłychanie zacofany. Za to wysokie urodzenie, dostatki dały mu możność zajmowania wyższych stanowisk, na których odznaczał się dokładnością, oględnością i uczciwością. To go wbiło w pychę. Obdarzony wielką miłością własną, potrzebując co chwila pomocy czyjejs, zawiedziony niejednokrotnie, stał się podejrzliwy i niedowierzający, skoro jednak natykał kogoś, któremu by mógł zawierzyć, zaufanie swoje oddawał wtedy bezgranicznie. Był on żonaty z hrabianką Czapską. Pani Małachowska była krewną mojej teściowej, Kuczyńskiej. Matka tejże z domu Narzymska rodziła się z Czapskiej.

Hr. Małachowski przebywał w Knyszynie, dobrach niezbyt daleko od Strabli poza Tykocinem i Narwią położonych; dobra te Czapskim oddała Korona na sześć pokoleń. W ciągu swego pobytu w tym majątku wielki referendarz uczynił mi ten zaszczyt, że sam pierwszy przybył do mnie, a przyjeżdżając powiedział, że przybywa, ażeby mnie prosić do siebie na polowanie. Trzeciego dnia jego pobytu i ja też urządziłem polowanie z naganką nie dalej jak o 600 kroków za dworem. Należał do tegoż polowania i hrabia Ożarowski, starosta surażski, który przyprowadził z sobą także dwie sfory ogarów. Przy pierwszym zakładzie wyszły zaraz na nas sarny, z których każdy z nas zabił po jednej—w drugim zakładzie znów napędzono sarny, aleśmy już ich nie strzelali, tylko biliśmy lisy i zające. Poczem wróciliśmy na obiad. Po obiedzie grono nasze powiększone było przybyciem kilkunastu osób z sąsiedztwa. Zabawialiśmy się przyjemnie i wesoło, aż do późnego wieczora. Czwartego dnia Małachowski odjechał, zapra-

szając mnie także na polowanie w następnym tygodniu. Było to w ciągu września — wybrałem się na oznaczony dzień ze swoim taborem myśliwskim, strzelcami i psami. Polowanie udało się doskonale. W dniach odpoczynku zwiedzaliśmy konno wszystkie folwarki. Mówiłem już, że hr. Małachowski był jednym z najlepszych agronomów w Polsce. Sam doglądał wszystkiego, pola, karczunki, budowle, gorzelnie, bydło, kuźnie, w których wyrabiano narzędzia gospodarskie, znajdowały się pod jego osobistym dozorem. Bano go się ogólnie ale i szanowano zarazem; pod pozorną surowością kryła się dobroć i łagodność serca. Pobyt ten kilkodniowy nie był dla mnie bez korzyści—gdyż mi przedstawił prawdziwy wzór dobrego obywatela.

XVIII.

Pomijam tutaj szczegóły, dotyczące się spraw moich z 1782 r. Gospodarstwo moje było w kwitnącym stanie. Zbiory się podwoiły. Miałem ziarn 7. Wszystkie konieczne budynki wystawiłem jaknajoszczędniej. Usunąłem Żydów z gorzelnii, a w karczmach umieściłem zasłużonych ludzi. Berlinki, posyłane do Gdańska ze zbożem, przywoziły wino, piwo angielskie, sól, śledzie, które następnie sprzedawane były w oberżach i zajazdach do mnie należących. Dobry handel zbożem polegał na kupowaniu po niskiej cenie miejscowego zboża do gorzelnii i na tuczeniu wołów, podczas, gdy moje lepsze zboże sprzedawało się w Gdańsku bardzo drogo. Zresztą skończenie planu topograficznego Strabli, przeprowadzenie kanałów, amelioracya gruntów, to były rezultaty tegorocznej mej pracy. Co się tyczy stosunku z włościanami, czuwałem troskliwie nad ich gospodarstwem, przeglądałem ich pola, pomagałem w chorobach, udzielałem w potrzebie pożyczek pieniężnych, a swymi poprawnymi reproduktorami starałem się poprawić rasę ich inwentarza. Ani dnia więcej nad powinność nie wymagałem. Zbioru zboża i siana sam nieraz dopilnowywałem. Oto w skróceniu obraz mojej całej działalności.

Małżonka księcia Karola Radziwiłła z domu Rzewuska, córka hetmana, znudzona swym pobytem na Litwie, otrzymawszy do swego rozporządzenia majątność Białykamień, niedaleko od Olejowa leżący, wskutek nieporozumienia z mężem była wyprawioną przez niego do Galicyi, gdzie zemściła się w okrutny sposób na jednym litewskim biedaku, który się zwał Cieszajko. Był

on koniuszym księcia Karola, a księżna posądzała go o plotki, dotyczące się jej osoby. Gniew księżnej Radziwiłłowej był straszny, a spadł na głowę nie księcia, ale biednego Cieszajki. Znaleziono go w piwnicach pałacu w Podkamieniu z odciętą głową. Przewidując sprawę kryminalną (jakoż istotnie śledztwo się rozpoczęło), księżna wyjechała do Wiednia, aby tam szukać protekcji i burzy uniknąć. Wydając naprzód dochody z Białegokamienia, rzucając pieniędzini na prawo i na lewo, zdołała sprawę przytłumić, ale nie będąc w możności spłacenia długów, mając przytem koszta procesu rozwodowego, wymyśliła inny sposób. Wierzycciele jej wiedeńscy otrzymali od cesarza Józefa reskrypt, który zapewniał jej rentę w sumie 12,000 florenów austryackich lub też 48,000 złp. tytułem alimentów, z rozkazem ściągnięcia ich z dóbr księcia Radziwiłła wolnych, nieobdłużonych, a gdyby takich nie było, do sprzedania dóbr przez licytację.

Józefowicz, główny plenipotent księcia, a może i ona sama przeznaczyli do sprzedaży majątki, które prawem zastawu trzymał mój ojciec: Olejów, Markopol i Sasów, następnie Złoczów, Pieniaki i wiele innych folwarków w naszym powiecie. Gdy powołany przez ojca przybyłem do Olejowa, ojciec wykazał mi ocenę taksacyjną, równającą się sumie długów hipotecznych. Plenipotent, zachowując urazę do mego ojca, tak sprawę pokręcił, że nie zostawił ojcu czasu na zarejestrowanie swej sumy zastawnej na Sasowie. Sądy szlacheckie rozstrzygały w podobnych rzeczach nie publicznie, gdyż wprowadzono podówczas we Lwowie jurysdykcję bardzo skomplikowaną i kosztowną, śledczą i tajemną. Nie było dozwolonem stawać i bronić się osobiście. Sprawa przechodziła z rąk do rąk adwokatów, poczem przysyłano stromom wyrok krótki, lakoniczny, nieumotywowany, którego trudno było zrozumieć. Trzeba było odbyć podróż do Lwowa, zwrócić się do adwokata, podawać prośbę o wymotywowanie wyroku. Odpowiedź otrzymywano po 4 lub 5 tygodniach, poczem wszystko rozpoczynało się na nowo. Każdy bezstronny przyzna, że wyrok zależał w zupełności od adwokata i jego sekretarzy. W razie zdrady lub niedbalstwa którego z nich, proces był niezawodnie przegrany. Pozostawała apelacja. Trybunał wyższy nie był nigdy zdania swoich poprzedników. Stąd zwłoki, nowe rozpatrywania w aktach i sprawy ciągnęły się do nieskończoności.

Tak było i z Sasowem. Ci, którym sprawa została powierzona, zaniedbali ją lub też spuszczaali się na swoich pisarzy; jednym słowem ojciec przegrał proces we wszystkich trzech instancjach. Wiadomość ta zgnębiła go i omal nie przyprawiła o cho-

robę. Nie pozostało nic innego, jak stanąć na licytacji i nabyć Sasów.

Zbadałem wszystkie zwyczaje i obyczaje w podobnych okolicznościach. Radca Krywecki, Węgier z pochodzenia, starsuszek wiekiem pochylony miał sobie powierzone prowadzenie sprzedaży w małym ciemnym pokoiku. Ze strony księcia znajdował się Józefowicz plenipotent, ze strony ojca, który był chory, ja stawałem, opatrzony w formalne pełnomocnictwo. Mając je w rękę, począłem rozważać w mojem sumieniu. Ze strony księcia nie dotrzymano umowy z r. 1778, nie wypłacając sumy w terminie. Podróż moja do Nieświeża niewiele pomogła. Sprawiedliwości w sądach nie uzyskałem. Czy należy postępować ze skrupulatną oględnością wobec ludzi złej wiary? Rozwazałem to sam w sobie, gdy spotkałem się na korytarzach z radcą Kryweckim. Ten mówi do mnie: „Ojciec pański musi kupić bezwarunkowo Olejów, Markopol i Sasów, aby wzmocnić swe prawa, które mu wydzierają. Trzeba te majątki kupić koniecznie.“ Zaczęto się schodzić. Józefowicz przybył jeden z pierwszych. „Panie! rzekłem mu, proszę pamiętać o liście księcia do mego ojca—list ten do dziś istnieje, jeżeli pan będziesz chciał pokrzywdzić mego ojca, to możesz być pewnym, że tego gorzko pożałujesz!“

Tłum powoli napełnił pokój. Gdy zegar wybił godzinę, Krywecki, nie mówiąc słowa, począł spisywać protokół, a ja przez ten czas mogłem się porozumieć z niektórymi osobistościami, które zamierzały także stanąć między licytantami. Wytłumaczyłem im lojalność mego ojca, który ma tak znaczną sumę na tym majątku i gospodarując od tylu lat, pragnie go nabyć. Po tej rozmowie kilku z tych panów, przyznając słuszność moim wywodom, usunęło się na stronę. Radca przystąpił do zwykłych formalności i ogłosił rozpoczęcie licytacji. Przyniesiono zapaloną świecę. Jeżeli radca pragnie przedłużyć licytację, kładzie dukata blisko lichtarza; jeżeli pragnie ją skrócić, kładzie go na samym prawie wierzchu świecy. Rozpoczyna się sprzedaż, gdy dukat upadnie, licytant utrzymuje się przy kupnie. W ten sposób kupiłem dla mego ojca, który się tego bynajmniej nie spodziewał, trzy majątki: Olejów i Markopol za 650,000 złp., a Sasów za 342,000 złp., dodając około 18,000 za dwa pierwsze, a 42,000 za Sasów z lasami. Licytacja ciągnęła się dalej — pozostałem jeszcze, żeby się jej ciągowi przypatrzeć. Bywałem nieraz przez prostą ciekawość świadkiem licytacji w Lipsku i Warszawie. Otóż mogłem sprawdzić naocznie, że nigdzie nie odbywało się to w podobnie bezceremonialny sposób, jak we Lwowie. Trudniej było gdziekolwiek-

indziej kupić pojedynczy sprzęt, niż tu trzy majątki za milion złotych. To też było powodem, że wielu obywateli w Galicyi wyzbywało się bardzo lekkomyślnie z majątków.

Ojciec był mi niezmiernie wdzięczny za przeprowadzenie tych interesów—chciał mnie dłużej zatrzymać, ale ja uprzedzając zbliżające się roztopy, wróciłem do Strabli.

XIX.

Zbliżał się sejm w r. 1782 i sejmiki wszędzie zostały ogłoszone. Sądząc po zdolnościach, które okazałem w Warszawie, dano mi do zrozumienia, że mam pewne szanse zostania posłem. Miałem opinię bezstronnego i rzeczywiście takim byłem. Było kilku znaczniejszych obywateli, którzy mieli mir u szlachty, bardzo licznej na Podlasiu. Ja byłem początkującym dopiero. Dochodziły do mnie z boku rady, jak trzeba postąpić, żeby sobie zyskać głosy, a więc dobrze by było temu pożyczyć pieniędzy, tamtemu zrobić pewną przysługę, innemu jaki piękny sprawunek—wszystko to nie przemawiało do mego przekonania. Zapowiedziałem, że wyjeżdżam do Galicyi i pozornie czyniłem przygotowania; gdy tymczasem w gruncie rzeczy poczyniłem kroki do zebrania sobie licznej partyi w pośród biedniejszej szlachty, którą od lat kilku otaczałem opieką. Od roku 1778 starałem się być z nimi w dobrych stosunkach, dopomagając im do brania pod uprawę tych gruntów w starostwie, które pod obowiązki pańszczyźniane nie podpadały, albo których chłopci obsiewać nie chcieli—czuwałem nad tem, żeby z nich zbyt wielkiego czynszu nie ściągano—i bardzo mi za to byli wdzięczni. Zyskałem sobie tą długoletnią opieką ich życzliwość, przyrzekli mi wszyscy stawić się na sejmiku; liczba ich dochodziła przeszło 800. Hr. Małachowski przyobieczał mi również swoje poparcie; było też około czterdziestu urzędników w starostwie, na których głosy mogłem liczyć.

W przededniu sejmiku udałem się do Brańska, gdzie oprócz moich stronników nikt się mnie nie spodziewał. Zacząłem od złożenia wizyty Hryniewickiemu, burmistrzowi miasta Bielska, a zarazem sędziemu cywilnemu, który był trochę obrażony, że mu w pierw poufnie nie zwierzył się z zamiarów i nie umówił o poparcie. Przyjmował on tymczasem śniadaniem jakich czterdziestu obywateli. Po przywitaniu ofiarował mi kielich wódki, mówiąc głośno tak, żeby wszyscy słyszeli: „Jesteś waszmość synem mego

dawnego przyjaciela—dzielny to i zacny człowiek, a wielki przyjaciel szlachty. Jeżeli masz zamiar wstępować w ślady swego rodzica, to może wypijesz za zdrowie panów braci!”

„Panie sędzio, odrzekłem, gotów jestem krew przelać za nich i z nimi razem, podczas gdy pan tu spokojnie będziesz ich sądził lub godził. Kielich jest zamały—proszę o większy—i wychyliłem go duszkiem.“

O mało nie uduszono mnie w uściskach.

„Panie sędzio—rzekłem, zwracając się do gospodarza, wezwano mnie, ażebym się o mandat ubiegał—pragnę go otrzymać. Czy będziesz mi sędzio przyjacielem, czy wrogiem?“ Uściskaliśmy się—przystał do mojej partyi. Udaliśmy się wszyscy do kościoła. W nieobecności podkomorzego, krótkim przemówieniem otworzyłem sejmik. Pierwszy raz w życiu znajdowałem się na podobnym zebraniu, przeszło 2,000 osób, z których każda uważała się równą największemu magnatowi. Podczas kiedy nieliczny komitet dopełniał formalności i spisywał akt otwarcia sejmiku, powstało kilkakrotnie zamieszanie. Jeden ze szlachty rozprawiał bardzo głośno, że miał do mnie pretensję z powodu, iż moi ludzie ubili mu 12 gęsi. Chcąc sprawę załagodzić, ofiarowałem dukata, ale szlachcic z wielką godnością odmówił przyjęcia i rzekł: „Masz waszmość prawo zabijać gęsi, które robią szkodę w pańskim polu, ale nie powinieneś pozwalać, aby je służba zjadała.“ Inną awanturę spowodował przybyły z Warszawy jakiś młodzik, mianujący się być członkiem Komisji Edukacyjnej. W chwili gdy rozpoczynał swoją oracyę, przerwano mu zapytaniem, czy umie mówić Modlitwę Pańską? Pokazało się, że nie umiał, wówczas zmuszono go do opuszczenia kościoła. Taki sam los spotkał syna jednego z urzędników sądowych, który z polecenia ojca wstawiał się i bronił złodziei, co okradli kościół. Widać więc było, że zebrani tu obywatele choć przeważnie ludzie bez wykształcenia, mieli jednak poczucie religii i sprawiedliwości.

Zanim rozpoczęło się głosowanie, Karwowski, rejent koronny, chciał być obranym. Przyprowadził z sobą oddział z 300 szlachty dobrze uzbrojonych, na dobrych koniach z okręgu goniądzkiego. Mieli wszyscy trąbki przewieszzone przez plecy i w takim rynsztunku, z wielkiem naszym zdziwieniem, wtargnęli do kościoła. Były to wszystko osobistości nieznanne szlachcie brańskiej. Przybywali z odległości dziesięciu mil, ale byli porządnie umundurowani w granatowych mundurach i co prawda na oko lepiej się przedstawiali od mojej partyi, która była ubraną zupełnie dowolnie. Powstało ogromne zamieszanie, z którego wybrnęliśmy

w ten sposób, że wytlómaczyliśmy nowoprzybyłym, że się stawili zapóźno i że nie mają ani prawa, ani powodu rozpoczynać sejmik nanowo. Zresztą odbyło się wszystko dosyć spokojnie. Zostałem obrany posłem wraz z Hryniewickim.

Po wyjściu z kościoła zastawiliśmy obiad na 1,500 osób i drugi na 200, gdzie było wszystkiego z wielką obfitością i porządkiem. Wszyscy byli zadowoleni, a co było zadziwiające, że w takim tłumie nie zginęła ani jedna łyżka, ani jedna serweta; kilka było stłuczonych szklanek i kieliszków i kilku poturbowano z ludzi ze starostwa, co chcieli sobie parę butelek wina na bok usunąć. Bardzo to świadczy na korzyść moralności szlachty polskiej, szczególnie porównyując ją ze wspomnieniami balu księcia Schwartzenberga w Paryżu.

Trzeba było jechać na sejm do Warszawy. Była to historia przypuszczalnie sześciu tygodni czasu. Hrabina Branicka ofiarowała mi kwatery w swoim pałacu.

Zaczęto od obioru marszałka. Hr. Krasieński, oboźny korony, obrany został jednogłośnie. Używał on jaknajlepszej sławy przez swoją prawosć, pobożność, gościnność, które mu zjednały ogólny szacunek. Był ożeniony z siostrą hr. Józefa Ossolińskiego, który, jak już powyżej powiedziałem, był spowinowacony z rodziną mojej żony. Cieszyłem się, że ten wybór jednomyślny był prawdziwym hołdem oddanym cnocie. W kilka dni później poznałem moją omyłkę.

Wszystko było zorganizowanem i postanowionem z góry. Sejm zwołano li tylko dla formy i dla stosowania się do litery prawa. Nikt się nie dobijał o łaskę marszałkowską na sejm sześciotygodniowy. W ciągu całego czasu zajmowano się tylko kwestyami podrzędnymi jako to: kilku likwidacyami, wyborami, kilku skargami przeciw czynnościom Rady Nieustającej.

W Rada Nieustająca była to instytucya ustanowiona przez trzy mocarstwa, w celu utrzymania niezgody pomiędzy obywatelami a koroną i pomiędzy samymi obywatelami. Bardzo niewielu senatorów i spokojnych obywateli starało się o otrzymanie miejsca w Radzie. Ci, których fortuny się chwiały, lub potrzebowali wyższej pensji, przyjmowali je, bawili się doskonale w Warszawie i niby to odbywali sesye. Intryganci z prowincyi, a tych nie brakowało nigdy, wytaczali procesy spokojnym wieśniakom i byli pewni wygranej. Rada Nieustająca miała prawo objaśniać prawa pomiędzy jednym a drugim sejmem i czuwać nad Trybunałami. Taki krętacz udawał się do Rady Nieustającej i zadawał pytania zawikłane, nad temi pytaniami wszczynaly się dyskusye,

umieszczane następnie w aktach procesowych, które, gdy doszły do rąk sędziów, wprawiły ich w ogromnie trudne położenie — stąd sprawy, ciągnące się do nieskończoności i różne powikłania w pośród spokojnego zwykle społeczeństwa.

Z rezolucyi Rady Nieustającej z każdej sprawy można było ułożyć całe tomy; na każdym sejmie znajdowali się skarżący; sejm znosił niektóre wyroki, inne zmieniał, inne objaśniał i usprawiedliwiał; ale zamiast zajmować się sprawami ogólnej doniosłości, roztrząsał tylko interesy czysto prywatnej natury.

Tak było i na tym sejmie. Kilka rezolucyi dotyczyło sprawy księcia biskupa krakowskiego, Sołtyka, będącego w nieporozumieniu z kapitułą. Kapituła starała się oddać pod dozór swego biskupa, dowodząc, że cierpiąc na obłąd umysłowy, stał się niezdolnym do pełnienia obowiązków. Rada Nieustająca wnieśliła się do tej sprawy, która z kolei rzeczy dostała się pod obrady sejmowe. Z powodu znacznej odległości Podlasia od Krakowa nie znałem dobrze tej sprawy i nie wiedziałem napewno czego się trzymać, a w równym też byli położeniu inni posłowie z Litwy i Podola. Posłowie krakowscy i sandomierscy różnili się między sobą w zdaniach; mazowieccy byli przeciw biskupowi. Prawdą było, że zdrowie księcia biskupa uległo znacznemu osłabieniu wskutek gwałtownego porwania go przez Repnina i wywiezienia w głąb Rosyi. Później znów nie mało ucierpiał, skoro się znalazł wobec przewrotnej opozycyi swojej kapituły. Chciał poprawić obyczaje duchowieństwa i zwrócić je do sumiennego wypełniania obowiązków. Te wszystkie przeciwności skwasily charakter dumny i wyniosły; przytem zawiódł się na jednym z tych, którym najwięcej ufał, Kołłątaju, który sam pragnąc zostać biskupem krakowskim, podsunął tę myśl prymasowi. ¹⁾

Wogóle obserwacje, które czyniłem nad deputowanymi, doprowadziły mnie do smutnych wniosków. Wszyscy zamiast mieć swoje własne zdanie i jako tako wyrobiony sąd o rzeczach, posłuszni byli przeważnie obcym i to bardzo różnym wpływom. Odczytywali głośno mowy redagowane albo przez księży Pijarów, albo przez jednego z dwunastu adwokatów, stojących na

¹⁾ Sprawę bisk. Sołtyka na sejmie 1782 r. szczegółowo opisuje Kazimierz Rudnicki w monografii „Biskup Kajetan Sołtyk“ (Kraków, 1906), s. 201 sq.; por. w tejsze sprawie dokumenty ogłoszone przez Mich. Balińskiego (Pamiętniki o Janie Śniadeckim.“ Wilno, 1865, t. II, 21 sq.), a nieużytkowane ani przez Rudnickiego, ani przez jego recenzentów.

czele palestry. Co do mnie miałem również zaszczyt otrzymania przygotowanej mówki w sprawie biskupa Sołtyka. Zamiast jednak przyjęcia jej posłusznie i z wdzięcznością, odpowiedziałem posłowi, który mi ją doręczył, wyjęciem mojej własnej przemowy, w której jasno wyłożyłem swoje zapatrywanie w tej kwestyi. Powiedziałem więc:

„Że kwestya czy ksiązę biskup krakowski jest zdrów na ciele i umyśle, czy zdolny jest rządzić duchownemi i doczesnemi sprawami swojej dyciezyi, powinna być rozsądzona przez specjalistów lekarzy, bo sejm o tem decydować nie może. Że ja osobiście podzielam oburzenie ogółu przeciw intrygom kapituły i przeciw zdradzieckim przyjaciołom. Że mojem zdaniem dochody biskupstwa krakowskiego są tak wielkie, iż powinna znaczna ich część przejść na dobro Rzeczpospolitej, na utworzenie kasy państwowej na najpilniejsze potrzeby, na wzmocnienie armii i t. d.“

Od tej chwili pozostawiono mnie już w spokoju i udzielono mi bez żadnej trudności pozwolenia wyjazdu do Białegostoku, gdzie przy końcu sejmu przybyć miał wielki ksiązę Paweł z małżonką. Cały wielki świat warszawski otrzymał otwarte lub uboczne zaproszenie, aby przybyć do Białegostoku i uświetnić dwór hr. Branickiej. Jej bratanek, ksiązę Stanisław Poniatowski, mój kolega od Teatynów namówił mnie, aby się tam udać również. Przystałem chętnie, bo atmosfera Warszawy, przesiąknięta intrygami, stała się pod koniec sejmu ciężką i przygniatającą.

W Białymstoku zastaliśmy już zgromadzonych około sześćdziesięciu osób. Arcyksięstwo przybyli niebawem. Przyjęci byli z pełną godności uprzejmością—co im się tak podobało, że postanowili kilka dni dłużej zabawić. Codziennie zwiedzano ogrody, parki i okolice Białegostoku. Wieczorem zaś codzien były bale, na których w. księżna zaćmiewała wszystkie panie urodą i niesłychanym wdziękiem, z jakim umiała przemówić do każdego, co się bliżej niej znajdował. Ale też i ona nie mogła się uskarżać na brak dowodów czci i uwielbienia.

Przedstawiono w księciu jeden z najlepszych batalionów strzelców konnych, sformowanych przez hr. Brühl'a, naszego głównego dowódcy artylerji. Mnie polecono, ażebym przedstawił księciu rycerza dawnego polskiego w zbroi i przyłbicy na przepysznym koniu, ażeby miał wyobrażenie o dawnej kawalerji polskiej.

Wielka księżna zauważyła w pośród mężczyzn niejakiego Kruszewskiego, siedemdziesięcioletniego już, ale bardzo dzielnie wyglądającego w polskim mundurze obywatela i powiedziała mu, że chce z nim tańczyć. Bardzo się dobrze wywiązał z zadania,

bo doskonale jeszcze tańczył. Po tańcu zapytała go się, wiele też lat sobie liczy?—na to odpowiedział, „że w tej chwili zapomniał swojego wieku, ale że zacznie liczyć znów od dnia, w którym miał zaszczyt tańczyć z wielką księżną.“ Księżna pobiegła zaraz do swego małżonka i z wielkiem ożywieniem opowiadała mu, jaki zręczny i piękny komplement usłyszała. Mówiła, że tutejsza grzeczność i galanterya daleko jej się lepiej podobały niż wiedeńska, bo na balu w Wiedniu coś jej z klejnotów skradziono.¹⁾

XX.

Kontrakta lwowskie nie odznaczyły się niczem ważniejszym w tym roku, ale ojciec mój zażądał mojego przyjazdu, bo miał ciężkie bardzo z rządem kłopoty. Wyszło rozporządzenie ogólnych nowych pomiarów we wszystkich krajach, należących do korony austriackiej.²⁾ Pomiary te były w celu opodatkowania gruntowego.

Cesarz Józef II dużo przebywał z ekonomistami francuskimi, przejął się ich systemem; otoczywszy się demagogami, przyswoił sobie ich idee niewykonalne. Skoro miały być już ziemie na nowo pomorgowane, chłopci mieli otrzymać swoje grunta na własność, mieli być uwolnieni od wszelkich powinności pańszczyznianych względem panów a panowie... panowie byliby zmuszeni opuścić swoje folwarki i oddalić się. Powinności chłopskie zamienione na pieniądze miały przynieść rządowi nieprzeliczone sumy. Liesganig, jezuita i kilku innych geometrów wyrachowało ilość mil kwadratowych, te mile zamienione na morgi, to wszystko pomnożone przez pewną sumę podatkową, stanowiło dla rządu miliony milionów. Ale trzeba było rozpocząć pomiary, uskutecznienie ich wymagało przynajmniej 40,000 geometrów, ażeby rozrachować te masy gruntów, rozrzuconych po takich obszarach i rozdzielić je odpowiednio. Trzeba było przytem zdolnych taksatorów, którzyby umieli klasyfikować ziemie orne, łąki, pola, pastwiska, zagajniki

¹⁾ Pobyt w Białymstoku ks. Pawła, późniejszego cesarza Pawła I, opisyje ks. Stanisław Poniatowski w swym pamiętniku, wydanym przez d-ra Józ. Korzeniowskiego w „Revue d'histoire diplomatique“ z 1895 r.

²⁾ Por. Wacław Tokarz: „Galicya w początkach ery józefińskiej.“ Kraków, 1909; str. 118 sq. 135 sq.

i lasy. Ale to mniejsza. Wielkie geniusze nie znają przeszkód. Posłano ze dwudziestu inżynierów do większych miast, tam werbowano studentów, pisarzy, synów popów, dawano im naprędce wskazówki mierzenia pól i elementarnych zasad geometrycznych, a po kilkodniowej nauce dawano im do rąk świadectwa odbytych nauk i uzdolnienia i wypuszczono tym sposobem 10,000 geometrów, których rozesłano do rozmaitych majątków, gdzie mieli mierzyć, notabene na koszt właścicieli.

Mój ojciec miał takich dwudziestu w swoich majątkach: Olejowie, Markopolu, Sasowie, Mogielnicy i Koniuszkowie. Trzeba było dawać na ich utrzymanie, a nawet na fantazyje. Główni inżynierowie kontrolowali od czasu do czasu prace nowicyuszów, ale najczęściej zamiast poprawić darli papiery, przekreślali mapy i rozpoczynało się na nowo. Cała administracja dóbr mego ojca nie wystarczała tym ogromnym robotom. Moi dwaj bracia, Stanisław i Ksawery, Jachimowski, Wollfart — zajęci byli nieustannie tymi pomiarami, a także przyjmowaniem i zabawianiem panów geometrów, z czego się wywiązywały bardzo nieprzyjemne kolizyje.

Ale co było jeszcze gorszem, to, że panowie miernicy podburzali włościan, co spowodowało w niektórych okolicach w Galicyi zupełne zawieszenie robót w polu. Żniwa tak się opóźniły, że śnieg pokrył znaczną część zbiorów, w górzystych więc stronach Galicyi przyszedł głód. Przeszło 40,000 ludności wymarło z niedostatku. Wyrzucano właścicielom, że nie ratowali w porę, a jak tu było ratować, kiedy zboże zostało na polu nie zebrane. Nie wiele brakowało do ogólnego buntu chłopów przeciw panom.

Miałem wpierv sposobność zaznajomienia się i zyskania zaufania i szacunku włościan mego ojca. Teraz więc jeździłem po wsiach, rozmawiałem, uspakajałem unysły i dzięki temu utrzymała się pożądana harmonia i porządek wszędzie. Pomagałem braciom i rządcom, nie szczędząc trudu ani pracy. To też u nas najprędzej ukończone zostały pomiary, te posłużyły przynajmniej do poznania prawdziwej wartości dóbr nowonabytych; była to dla właścicieli jedyna korzyść osiągnięta z tylu trudów. Znaczna część panów galicyjskich, znudzonych nieprzyjemnymi stosunkami z urzędnikami od pomiarów, zgryzionych hardością chłopów, opuściła majątki, jedni wynieśli się na Wołyń lub Podole, inni pobankrutowali, albo też trawieni żółcią lub rażeni apopleksyą pomierali.

XXI.

Powróciłem na Podlasie; miałem zamiar zająć się swymi interesami, ale w tym roku nie było na to czasu. W r. 1783 hrabina wyjeżdżała na kilka miesięcy do Francji i do Holandji. Wróciwszy stamtąd, postanowiła zaprowadzić ład i porządek w swoim starostwie bielskiem. Muncypalność miała sobie pozostawioną możność rozporządzania funduszami tak miasta, jako też i sześciu dużych wsi, należących do starostwa, to też kradziono na potęgę. W mieście nie było ani kościoła, ani ratusza, ani bruków. Był to przeważnie los wszystkich małych a nawet i większych miast w kraju. Panowie adwokaci protegowali mieszczan w obec starostów, którzy w rzeczywistości byli kapitanami okręgowymi, landratami, z władzą policyjną świecką i kryminalną. Od r. 1572 wygasła linia królów dziedzicznych w Polsce, która się stała królestwem obieralnym. Od tego czasu zaczęły się zawieruchy elekcyjne, zajęcia kraju przez obce wojska pretendentów, a starostwa rozdawane były przez nowowybranych królów przychylnym stronnikom z nadaniem dożywotnich przywilejów. Przy królach pozostawało dawne prawo sądzenia spraw w ostatniej instancji. Starostowie nie mieli nigdzie jasno oznaczonych przepisów swoich atrybucyi, żadnych wskazówek, nie było ministerjum spraw wewnętrznych, któreby w to wejrzało, więc też wykonywali zupełnie dowolnie władzę policyjno-kryminalną w grodach, a pozostawili tę czynność policyi cywilnej w miastach.

Hrabina Branicka przedstawiła bratu swemu, królowi Stanisławowi, stan miasta Bielska. Sejm ustanowił Komisye Porządkowe dla całego kraju. Te komisye miały szukać gotowych przychodów miejskich, które miały być przeznaczone na potrzeby miast. Hr. Mokronowski został mianowany prezesem komisji bielskiej, wybierano na członków znakomitsze osobistości z powiatów—i ja miałem zaszczyt być wybranym.

Komisya rozpoczęła czynność swoją w Bielsku. Trzeba było odszukać przychody—wyszły na jaw rozmaite malwersacye muncypalności, nie było sposobu, ci panowie musieli przyznać się do winy. Wybrano nowych członków zarządu miejskiego, rozporządzono roboty najpilniejsze: bruki, mosty, pompy i sikawki pożarne, wybudowanie szkoły miejskiej. Hrabina Branicka dała cegłę, a król drzewo budulcowe. Wybudowano kościół, ratusz, sklepy, szkołę. Taka energiczna działalność nie spodobała się ani dawniejszej muncypalności, ani panom adwokatom stolicy. Cóż tedy

uczynili? Z pomocą wódki, której nie żałowano, zbuntowano chłopów w połowie starostwa bielskiego; potworzyły się małe oddziały, plądrujące po okolicy. Hrabina doniosła o tem swemu królewskiemu bratu, który przysłał dwa szwadrony ułanów, aby ich uspokoiły. Chłopi, wezwawszy na pomoc panów adwokatów warszawskich, doręczyli hrabinie i księciu Stanisławowi Poniatowskiemu, jej bratankowi, pozew i nakaz śledztwa dla rozpoznania krzywd i pretensyi chłopów, którzy się o dawne przywileje dopominali.

Te przywileje polegały na tem, że mieli prawo zajmować miejsca strażników leśnych oraz strzelców w czasie polowań królewskich i że mieli dostarczać zwierzyny na stół królewski. Lasy, w których to się dziać miało, były już wyrąbane, a ci chłopci sami je rąbali i karczowali i z dawniejszych strzelców pozostawiali rolnikami we wsiach, założonych na karczunkach.

Hr. Branicka, widząc się zaplątaną w długi i kosztowny proces, postarała się o zamianowanie mnie w tej komisji; starałem się rozwinąć tu niezwykłą energię i zabiegliwość. Trzeba było wszystko sprawdzać na gruntach, szacować je, ale w końcu sprawa była wygrana.

Ułożono komplanacyę, skutkiem której 800 chłopów zrzekło się dawniejszych przywilejów, nie mających w obecnem położeniu racji bytu. Zamiast pańszczyzny zobowiązali się składać daninę, odpowiednią do gruntów, jakie zajmowali. Dwa nowe folwarki, Żywiec i Mochnaty, były rozebrane a raczej zniesione. Zdaje mi się, żem się wywiązał z zadania honorowo i sumiennie, a jednak pani Branicka nie umiała tego ocenić. Odplaciła mi się niewdzięcznością w niektórych okolicznościach późniejszych, kiedy się do jej wstawiennictwa odwoływał.

XXII.

Zgromadziwszy sumę posagową mojej żony i dochód paroletni z gospodarstwa, miałem już uzbierany swój własny kapitał, umieszczony u Teppera. Z nauk pana Bortz'a w Lipsku zapamiętałem, że cała podstawa handlu zależy na tem, żeby towar kupować z pierwszej ręki, a odprzedawać samym konsumentom; posłałem swojego komisanta tu odemnie z Podlasia, przez Mohylów nad Dniestrem do Chocimia, Bender, Oczakowa dla kupna wołów, buhajów i kilku pięknych koni tureckich. Komisant dobrze

się sprawił. Zarobiłem na wołach sto procent, to też, żeby tak szczęśliwemu handlowi dać ciąg dalszy, postanowiłem sam pojechać do Dubna, ażeby się tam ułożyć z kuzynem moim, hr. Walerianem Dzieduszyckim. Po drodze nie mogłem nie wstąpić do Olejowa, ażeby odwiedzić moich rodziców. Matkę zastałem chorą, a ojca powracającego do zdrowia po jakiejś cięższej chorobie, jeszcze osłabionego i bardzo smutnego. Zawiadomiono go, że ostatnie jego starania o wniesienie do ksiąg tabulacyjnych sumy pożyczonej ks. Radziwiłłowi na Sasów spełzły na niczem; że ks. Radziwiłłowa robi starania we Lwowie o otrzymanie wyroku Trybunału, na mocy którego ojciec mój ma być odsunięty od tej własności, którą ona obejmie, ażeby pobierać 48,000 złp., jako alimentu. Komisarz ojca, niewdzięczny p. Łącki, opuścił go i zgodził się do zarządu Brodów, należących do hr. Wincentego Potockiego.

— Mój kochany synu,— mówił do mnie ojciec — lękam się bardzo, że cały ten gmach mojej fortuny, z takim trudem i pracą nabytej, runie, gdy zamknę oczy, co prawdopodobnie niedługo nastąpi. Ale ja śmierci się nie lękam, jestem na nią przygotowany.

Starałem się całemi siłami uspokoić ojca co do jego interesów w Galicyi i to mi się po części udało.

— Ale — rzekł jeszcze ojciec — i o twój los także nie jestem zupełnie spokojny, miałem dziwne sny.

Tu opowiedział mi jeden, który zrobił na nim niczem niezatarte wrażenie. Znajdował się na brzegu ogromnej przestrzeni pola, to pole było nie skoszone, nie uprawione. Będąc na pewnym wywyższeniu, widział na tem polu ogromne tłumy bijących się ludzi, którzy z wielką zawziętością chcieli jedni drugich pokonać. Tłum bijących się z wolna zbliżał się do pagórka, na którym stał mój ojciec. Wtedy ujrzał człowieka nadzwyczajnej wielkości i siły, który długą kosą kosił głowy ludzkie i trawy. Wszystko znikło.

— Kochany ojczy — rzekłem — całą tego snu przyczyną musiała być poprzednia bezsenność, zmęczenie, może niestrawność jaka.

— To być może, jednakże ty mnie najlepiej znasz, przecie nigdy w żadne przepowiednie ani sny nie wierzyłem, ale przeżywszy pięćdziesiąt lat w naszej nieszczęsnej ojczyźnie, przeczuwam, co ją jeszcze czeka. To pole stanie się teatrem wojny, spowodowanej ambycją i chciwością ościennych sąsiadów. Pagórek, na którym stałem, jest miejscem, gdzie chcę być pochowanym, jak to napisałem w testamencie, który na wszelki wypadek zrobiłem.

Byłem bardzo wzruszony. Ojciec kazał sobie podać dwie już wpierv przygotowane paczki.

— To są dla ciebie pamiątki. Chowałem je bardzo starannie, żeby ci je doręczyć. — W jednej jest złota emaliowana z herbem ładownica z jedenastoma nabojami, dwunastego niema, jeden raz tylko strzelałem do człowieka, broniąc życia mojego dobroczyńcy, hr. Branickiego. Nie miałem z ludźmi zatargów żadnych, więc też pełne pozostały. W drugiej paczce jest skóra z lamparta, którą nosiłem przewieszoną przez ramię, służąc w kirasyerach kawalerji narodowej, myślę, że dobra będzie na siodło dla ciebie.

Oddając mi te rzeczy, dodał jeszcze:

— Weźmiesz z sobą te dwie pamiątki, a gdyby ci wypadło brać udział w wojnie, która niezawodnie nadejdzie, to użyj ich i pamiątaj, że błogosławieństwo ojca będzie z tobą.

XXIII.

Wróciwszy do Strabli na wiosnę roku 1786, musiałem się zająć miejscowymi interesami ekonomicznymi. Wśród tych zajęć doszły mnie wieści z Warszawy o jednej historii, która tam ogromnego hałasu narobiła i miała nawet fatalny wpływ na przyszłość. Pewna awanturnica, kokietka w całym znaczeniu tego słowa wyszła za dymisyonowanego oficera rosyjskiego, karciarza, nazwiskiem Dugrumow, mieszkała w Warszawie, utrzymywaną będąc przez nie wiem już kogo; kronika skandaliczna mówi, że udzielała łask swoich wielu najznakomitszym dygnitarzom warszawskim, że wydawała bardzo swobodne i wesołe wieczory.

Książę Adam Czartoryski, będąc jednym z najpiękniej wychowanych, najprzyjemniejszym z panów nietylko w Polsce, ale może nawet w całej Europie, używał życia w bardzo szlachetny sposób i może nie byłby chętnie zamienił swojej swobody na ciernie królewskiej korony. Nie tego jednak byli zdania ci, co go bliżej otaczali i jemu schlebiali. Król powierzył mu dyrekcję szkoły kadetów. Był także szefem regimentu gwardyi. Uważanym był przez króla, jako brat ukochany; ale musiała się wmieścić intryga, ażeby wnieść kwasy i nieporozumienie pomiędzy tymi blizkimi krewnymi. Księżciu Czartoryskiemu donoszono, że jest otoczony szpiegami, że życiu jego zagraża niebezpieczeństwo. Króla znów przestrzegano, żeby się miał na baczności, że książę Adam formuje sobie partyę, która już jest bardzo silna, że dni

jego są policzone. Pani Dugrumowa, przyrzekła agentom królewskim, a także znów i zaufanym księcia Adama, że dostarczy i jednym i drugim dowodów zdrady i przekonywała ich, że ona jedna uczynić to zdoła. Bardzo być może, że jak z jednej, tak z drugiej strony brała tymczasem pieniądze na swoje wykwintne utrzymanie i na potrzeby swego męża. W tych to okolicznościach przybliżał się czas sejmu w Grodnie; jego królewska mość miał przejeżdżać przez Białystok i zatrzymać się tam dni kilka. Byłem wówczas w Warszawie dla załatwienia kilku sprawunków tualetowych i zrobienia trochę zapasów do domu. Król szykował się do drogi. Hrabina Branicka prosiła mnie, żebym w wyjeździe uprzedził go o kilka godzin. Co też uczyniłem.

Jego królewska mość wjeżdżał do białostockiego pałacu przy świetle wielu pochodni. Artylerya witała go salwami. Na drugi dzień miałem sposobność zauważyć, że był zaprowadzony ścisły nadzór wojskowy nad tymi wszystkimi, co przybywali dla złożenia czołobitności monarsze. Byłem świadkiem obaw i niespokojności oficerów, którzy otaczali króla. On zaś z największą swobodą używał przygotowanych dla siebie przyjemności, pojechał do Choroszczy, gdzie brał udział w polowaniu na wilki. Polowanie udało się szczęśliwie. Następnie wraz z siostrą, hr. Branicką, wyjechał do Grodna. Ja zaś wróciłem do Strabli, bardzo zadowolony, że sejmu tego uniknąłem. Wróciłem więc do domu i mogłem spokojnie zastanowić się nad dwoma upominkami ojca i jego przepowiedniami.

XXIV.

W ciągu lata w 1786 roku ojca mego spotkała wielka niesprawiedliwość. Z Trybunału lwowskiego doręczono rozkaz komornikowi Niewęglowskiemu, ażeby wprowadził księżnę Radziwiłłową w posiadanie majątku Sasowa, ponieważ ten majątek jest wolny i należy do księcia Radziwiłła. Trzech dzierżawców mego ojca wyrzucono, jednego z folwarku, drugiego z fabryki żelaza, trzeciego z huty szklanej. Gorliwy komornik zasekwstrował wszystko. Ojciec był chory. Przez kilka tygodni ukrywano przed nim to nieszczęście. Nareszcie zawiadomiono go o wszystkim. Przyjął wieść spokojnie i zabrał się zaraz do przerobienia testamentu; zresztą zajęty był naradami ze stolarzem i innymi majstrami; przygotowywał wszystko do swojego pogrze-

bu. Moja bratowa, żona Stasia, pielęgnowała go i rozrywała. Nie pozwolił donieść mi o tych kłopotach. Urządziwszy, przewidziawszy wszystko, w gruncie rzeczy mało go obchodził Sasów, którego nabycie nie było ratyfikowane w Wiedniu. Był pewnym, że kiedyś te 300,000 zł. oddadzą, gdyż były zhipotekowane podług prawa polskiego od 1747 roku przez ojca księcia Karola Radziwiłła.

W tych czasach właśnie wybuchła awantura Dugrumowej. Kamerdyner królewski, Francuz, Ryx, zostawszy starostą piaseczyńskim, miał sobie polecone od generała ze świty królewskiej, Komarzewskiego, ażeby utrzymywał stosunki z Dugrumową, która mu obiecywała solennie dostarczyć dowodów zainachu na życie króla, przygotowanego przez księcia Czartoryskiego. Anglik, Taylor, na wpół waryat, był upoważniony ze strony księcia Adama do śledzenia Ryxa. Taylor, niecierpliwie wyczekujący chwili okazania swojej gorliwości, uprzedzony przez Dugrumową o godzinie, w której przyjść mieli Ryx z Komarzewskim, ukryli się wraz z hr. Stanisławem Potockim, jednym z serdeczniejszych przyjaciół księcia Adama, w gabinecie Dugrumowej. Nie wiedząc o tem, wchodzą Ryx z Komarzewskim, pierwszy śpiewając jakąś piosenkę. Dugrumowa do niego mówi: „Chciałeś pan dowodów, teraz je mam w rękę“ — i pokazuje mu jakiś papier. Francuz woła: „Bravo, bravo, niech cię moja piękna uściskam.“ Drzwi od gabinetu się otwierają, wyskakuje Taylor, chwytą go za kołnierz, a grożąc mu pistoletem, zmusza wsiąść do swego powozu i wiezie wprost na policyę do aresztu. Wszystko to w biały dzień. Wielkie więc zamieszanie, zdwojone straże, wzmocnione posterunki nocne. Na drugi dzień Rada Nieustająca mianuje komisję dla osądzenia tej sprawy, sesye były naprzemian już to publiczne, już to przy drzwiach zamkniętych. Rezultatem tego wszystkiego było, że wykryto krzyżową intrygę. Dobry król nie chciał ukarania surowego winnych. Wszystko się skrupiło na Dugrumowej. Skutkiem wyroku skazana była na różgi, piętnowanie i zesłanie pod eskortą do więzienia w Gdańsku. Taylorowi kazano wyjechać z kraju, a inni chwilowo się ulotnili, ażeby znów przy sposobności na jaw wypłynąć. ¹⁾

Ta historia doszła do wiadomości cesarzowej Katarzyny, która wraz z cesarzem Józefem II ułożyła projekt rozbioru Tur-

¹⁾ O głośnej sprawie Maryi Dugrumowej pisał Al. Kraushar w „Drobiazгах historycznych,“ t. I (1891).

cyi. Tak ze strony Rosyi, jak i Austrii, zaczęto robić olbrzymie przygotowania we wszystkich najdalszych prowincjach obu monarchii. W Austrii Dunajem miało płynąć wojsko, broń, amunicya, zapasy, a Rosya miała wszelkie ułatwienie niespodziewanego napadu na Turcyę. Cesarzowa Katarzyna pod pozorem zwiedzenia południowych prowincyi zaprosiła cesarza Józefa na zjazd do Kaniowa. Było to na gruncie polskim starostwo, należące do synowca królewskiego, księcia Stanisława Poniatowskiego.

Znalazłszy się przypadkiem podówczas w Warszawie, stanąłem u dobrego znajomego, hr. Antoniego Dzieduszyckiego, który był sekretarzem kancelaryi królewskiej i dyrektorem poczt. Widziałem więc ogromne przygotowania do podróży króla i że się agituje kwestya wyboru osób, które monarsze towarzyszyć będą. Można sobie wyobrazić, że liczba amatorów była wielka. Sposobność uczestniczenia we wszystkich projektowanych fetach i festynach nęciła ogromnie. Myślę, że nie miałbym wielkich trudności być pomieszczonym w świcie króla. Wszystkie te projekta były zniweczone depeszą, przyslaną sztafetą przez hr. Stackelberga, ministra dworu cesarzowej. Pytał się w niej króla, kogo zamierza z sobą wziąć do Kaniowa, prosił o listę osób, gdyż osoby, wplątane w proces i sprawę Dugrumowej, wyłączone być powinny. Mieszkając u hr. Antoniego Dzieduszyckiego, miałem sposobność widzieć panów magnatów, którzy gotowi byli znieść najprzykrzejsze upokorzenia, ażeby tylko być pomieszczonymi na liście, a gdy to nie pomogło, sinieli ze złości.

Król, nie mając już dosyć czasu na uspokojenie cesarzowej i wytłómaczenie całej historyi, wyruszył z mniejszym dworem. Był więc zjazd monarchów w Kaniowie, po którym król powrócił rozpromieniony rozmaitemi nadziejami, i ci wszyscy, co z nim byli, również uszczęśliwieni. Tajemnica tych wszystkich radości zachowała się dosyć długo; ale kilku magnatów na Rusi, mających jeszcze na sercu rozmaite konfiskaty majątkowe i wywiezienia niespodziane, udało się do Berlina, tam, dostawszy się na dwór Wilhelma Grubego, który nietylko z ministrami radził, ale i ucztował chętnie, doszli po nici do kłębka tak, że tajemnicze konferencye kaniowskie nie były już tajemnicą dla nikogo.

Cesarzowa Katarzyna układała się z cesarzem Józefem II o podział Turcyi. Chcieli to zrobić prędko, od ręki, zapewniwszy sobie neutralność Prus, żeby te czasem, budząc się ze swego letargu, nie rzuciły się na Kurlandyę i Inflanty. Litwa proponowała królowi zwołanie sejmu nadzwyczajnego, ażeby ten powołał pod broń 100,000 wojska, z których część mogłaby zająć Mołda-

wię i Wołoszczyznę i służyć tam za rezerwę, a główny korpus obserwacyjny miał trzymać w szachu króla pruskiego. Sprzymierzeni monarchowie obiecywali naturalnie królowi polskiemu jakąś częśćkę zdobytego kraju.

Król Stanisław tymczasem zajął się stawianiem pomnika królowi Janowi Sobieskiemu na moście na wprost pałacu w Łazienkach. Młodzież skupowała konie, ćwiczyła się w robieniu bronii w maneżach, urządzono karuzel, gonitwy z pierścieniami etc.

Wszystko to, myślę sobie, jest powolnem zbliżaniem się do owego przepowiedzianego przez ojca pola walki. Ja też z mej strony robiłem u siebie przygotowania.

Hr. Antoni Dzieduszycki miał właśnie pod pozorem zdrowia wybrać się do Anglii. Zaproponował mi, żebym mu towarzyszył, bardzo mi to dogadzało i już się z nim prawie umówiłem, kiedy przyszła sztafeta zamknięta czarnymi pieczęciami. Matka moja i wuj, jezuita, donosili o śmierci mego ojca d. 14 listopada 1787 r., przesyłali mi egzemplarz aktu, który ojciec pozostawił w dwóch odpisach, przez niego nakreślonych. Matka moja zaklinała mnie, żebym zaraz do niej pospieszył, dla oszczędzenia jej zmartwień i kłopotów.

Otrzymałem tę sztafetę w Warszawie—o podróży do Anglii naturalnie już mowy nie było. Mogłem natomiast rozejrzeć się, co się w świecie politycznym działo.

Turcy uprzedzeni czy przez Anglię, czy przez Prusy, a może i przez Polaków, nie dali się wywieźć w pole pozorami; nie wierzyli więc, że ta podróż do południowych prowincji cesarzowej, te rewie wojsk, które tam nagromadzono i flotylla na morzu Czarnem, to tylko dla przyjemności. Rumiancow był w Kijowie w charakterze generał-gubernatora, Suworow stał nad Bohem z korpusem, eskortował swoją monarchinię aż do Połtawy; księżę Potemkin do swojej gubernii taurydzkiej, a Suworow objął dowództwo korpusu chersońskiego i kinburnskiego. Zdaje mi się, że ostateczny plan jeszcze nie był ułożony z cesarzem Józefem, gdzie kto rozpocznie kroki wojenne, gdy tymczasem w ciągu lata 1787 r. Turcy niespodzianie uprzedzili te zamiary i bez wypowiedzenia wojny wylądowali w Kinburn. Cesarz Józef II ze swej strony przygotował duży oddział artylerji i kawalerji oraz flotyllę dla zajęcia Belgradu. Zabezpieczono tam sobie przez Żydów i Armeńczyków pewne w mieście stosunki. Plan zajęcia szybko tej fortecy, której nie można było za sobą zostawić, był nawet bardzo zręcznie ułożony. Roznaitym oddziałom wyznaczono punkta zborne, ale flotylla nie przyszła na czas, zabłądziła w drodze

i plan się nie udał. Cesarz Józef wyznaczył księcia Sasko-Koburskiego do działania wspólnego z Rosją w Mołdawii i Wołoszczyźnie, a sam przygotowywał się do opuszczenia Wiednia i udania się do Zemunia (Semlin), punktu zbornego wszystkich oddziałów.

A więc nie było czasu do stracenia. Zamiast udać się do Galicyi, wyruszyłem wprost do Wiednia. Wiedziano już powszechnie, że cesarz się wybiera i że mu towarzyszyć będzie feldmarszałek de Lascy. Miałem przed sobą około siedmiu do ośmiu dni czasu. Ojciec mój miał w Wiedniu do swoich interesów agenta nazwiskiem Schnetter, był on jednocześnie jednym z 12 agentów Wielkiej Rady Państwa. Nie można było podać prośby ani do Wielkiej Rady, ani do samego cesarza bez pośrednictwa tegoż agenta. Miał on ze czterdzieści procesów galicyjskich, drugie tyle czeskich, oprócz takiejże liczby komisji wojennych. Udałem się do niego w tej kwestyi, ale zaraz się przekonałem, że pomimo ogromnej masy aktów, do sprawy mego ojca należących, Schnetter nie miał najmniejszego pojęcia o tym interesie. Powiedział mi tylko stanowczo, że sprawa jest najzupełniej przegrana, gdyż był na nią wyrok wydany i podpisany przez samego cesarza i rozporządzenie przesłane do Rady Państwa o natychmiastowe wykonanie. Roześmiałem mu się w nos i zostawiłem go ze wszystkimi aktami, a sam znalazłem sobie innego agenta nie tak bardzo obciążonego sprawami, który wyszukał kopię rozkazu cesarza. Było tam powiedziane:

„Wyznaczona księżnie Karolowej Radziwiłłowej suma alimentarna 12,000 guldenów ma być podniesiona z dóbr księcia Radziwiłła, umieszczonych w Galicyi. Rada Państwa ma przesłać rozporządzenie Trybunałowi lwowskiemu, ażeby zasekwestrował majątki księcia, wolne od długów. Gdyby na których znajdowały się poprzednie zobowiązania, w takim razie rozkazuję sprzedaż tych dóbr, a przewyżka ze sprzedaży będzie oddana księżnej.“

Można sobie wyobrazić radość moją, skoro miałem już w ręku zalegalizowaną kopię tego dokumentu. Widocznem się okazało, że zatajono drugą połowę cesarskiego reskryptu. Dzięki równej znajomości łaciny jak niemieckiego języka, w obydwóch tych językach napisałem treściwy referat tej sprawy. Mówiłem tam, że: „Ojciec mój, dowiedziawszy się o wyroku doręczonym i egzekwowanym przez Trybunał, a mającym być nadesłanym przez Radę Państwa, a podpisanym przez Najjaśniejszego Cesarza, ze zmartwienia życie zakończył. Że przed śmiercią polecił mi, ażebym przybył z Warszawy do Wiednia i tu sam się prze-

konął, czy to prawda, że jemu taka niesprawiedliwość wyrządzoną była. Że przybyłem i przekonałem się, iż rozkaz Waszej Cesarskiej Mości, którego kopię autentyczną mam przy sobie, jest najjawniejszym dowodem Jego wysokiej sprawiedliwości, ale że czy skutkiem intrygi, czy też nieuwagi był wykonany tylko w pierwszej części, a druga pominiętą została i że wskutek tego majątek Sasów, prawnie nabyty, odebrany mu został.“ Wspomniałem także, że brat mój służy w szeregach wojsk jego cesarskiej mości.

Cesarz Józef II, referat mój przeczytawszy, spojrzął mi bystro w oczy.

— Jaki mundur pan nosisz?

— Gwardyi narodowej.

— Chcesz pan wstąpić do mojej służby?

— Mogę również służyć waszej cesarskiej mości, pozostając tam, gdzie jestem, jeżeli zjazd kaniowski przyniesie pożądane skutki.

Cesarz wziął raz jeszcze mój referat do ręki.

— Referat pana nie jest podpisany przez żadnego agenta.

— W razach nadzwyczajnych trzeba używać i nadzwyczajnych środków. Blizki wyjazd waszej cesarskiej mości nie dozwolił mi spełnić wszelkich formalności.

— Bądź pan spokojny, szybka sprawiedliwość wymierzona panu będzie.

Zaledwie wróciłem do siebie do hotelu, stałem na Grabeniu, zajeżdża powóz; był to hrabia Clary, wiceprezes Rady Państwa. Skoro wszedł, powiedział zaraz:

— Przybywam tu z rozkazu jego cesarskiej mości. Pan hrabia przedstawiłeś podanie?

— Tak, panie prezesie.

— Czy to podanie pan hrabia sam pisał?

— Tak jest, sam je pisałem.

— Nikt je panu nie dyktował?

— Dyktował mi tylko żal zranionego serca. Przed tygodniem umarł mój ojciec, a to jego testament.

— Czy masz pan papiery odnoszące się do sprawy ojca pańskiego?

— Mam je wszystkie. Oto są.

W przeciagu kwadransa przejrzał papiery i przekonał się, że wszystko, co mówiłem, było prawdą. Krzywda wyrządzona memu ojcu była jawnem łotrstwem. Hrabia Clary, człowiek już w wie-

ku, przedstawiał typ bardzo szlachetny. Wyraz jego twarzy, trochę zrazu surowy, zmiękł znacznie. Po chwili rzekł do mnie:

— Jego cesarska mość polecił mi przybyć tu, do pana hrabiego i rozpatrzyć się w aktach sprawy; jeżelibym znalazł, że tak jest wszystko prawdziwie, mam wrócić do jego cesarskiej mości i wykonać dalsze jego rozkazy. Jestem bardzo szczęśliwy, że mnie najjaśniejszy pan wybrał dla rozwikłania tej historii pełnej nieporozumień, których ojciec pański padł ofiarą. Ażeby panu oszczędzić kłopotów i niepokoju wrócę tu za godzinę z rozporządzeniem cesarskim, które niewątpliwie będzie, tak jak zawsze, słusznem i rozumnem.

W godzinę był już z powrotem.

— Przychodzę a zarazem składam panu hrabiemu najszczerze powinszowania szczęśliwego zakończenia sprawy.

Jakże rad byłem takiemu obrotowi rzeczy! Musiałem jeszcze poskładać wizyty tak panu wiceprezesowi, jak wielu innym dygnitarzom, byłem proszony na kilka obiadów, na wieczór do hr. Clary, poczem otrzymawszy kopię nowego rozporządzenia cesarskiego i przekonawszy się, że cesarz kazał wykreślić całą tę czteroletnią sprawę, opuściłem Wiedeń.

XXV.

Wielki Sejm się rozpoczął. Hrabia Małachowski, wielki referendarz, jednomyślnie był obrany marszałkiem Sejmu, ksiązę Sapieha, generał artylerji litewskiej, był takimże marszałkiem dla Litwy. Sejm zaczynał być burzliwym. Deputowani, przybyli z najdalszych okolic kraju, występowali z rozmaitemi mowami, ażeby się odznaczyć i dać się poznać szerszym kołom. A byli też i milczący obserwatorzy, którzy się tylko uważnie przypatrywali wszystkiemu. Ambasadorowie dworów zagranicznych, przez szpiegów doskonale o wszystkim zawiadomieni, przysposabiali sobie tymczasem stronników dla swoich partyi. Można było łatwo zauważyć, że się przygotowuje jakieś wielkie zamieszanie, ja czułem, że coraz bliżej jestem pola walki, wysnionego przez mojego ojca. Zewsząd zdaleka dochodziły odgłosy wojenne. We Francji zbliżała się wielka rewolucya. Co prawda, nie zależało mi bardzo na tem, żeby sobie wyrobić nazwisko historyczne, ale z drugiej strony poczucie honoru i przywiązanie do kraju zatrzymywały mnie przy tem ognisku, gdzie się czuło, że losy ważyć się będą.

Moja żona tymczasem, wzywając mnie ciągle do Strabli, przysłała bardzo wygodny powóz do powrotnej podróży i już miałem opuścić Warszawę, ale nie było mi to przeznaczonem.

Będąc w Wiedniu, kupiłem sobie kilka książek w jakimś przewidywaniu, że mogą mi być kiedyś potrzebne. Były to dzieła o nowej organizacyi wojskowej w państwie austryackiem, o ekonomii i administracyi wojskowej, przytem sporo map i planów strategicznych. Kilku posłów mówiło mi raz o konieczności powiększenia armii w Polsce, o sposobie rekrutowania.

W — Moi panowie — rzekłem do nich — chcemy mieć wojsko, a nie mamy najelementarniejszego pojęcia o organizacyi cywilnej, o formalnym poborze, o zaopatrywaniu w żywność, broń, amunicyę i podwozy. W Wiedniu wątpią zupełnie o możności zorganizowania w Polsce 100,000 armii. Minister Kaunitz kilkakrotnie mi mówił, że nie wierzy w to, żebyśmy temu podołali. Na to odpowiedziałem ministrowi, że widocznie nie zna doniosłości naszego patryotyzmu, i co naród zrobić może.

W — Otóż skutkiem tych rozmów było, że mi zaproponowano zrobienie projektu nowej organizacyi. Napisałem więc i wydrukowanem to zostało pod tytułem „Komisyje cywilno-wojskowe,“ a następnie podane marszałkowi Sejmu. W każdym mieście powiatowem ma się znajdować dwóch komisarzy, cywilny i wojskowy, ma być biuro, a ta mała komisya ma być zależną od wielkiej Rady Wojskowej w Warszawie. Do niej należeć powinno zajęcie się stanem czynnym wojsk, poborem i zużytkowaniem żołnierza. Komisya ma także mieć dozór nad czynnością policyjną w powiecie, oraz zapobiegać i łagodzić nieporozumienia pomiędzy żołnierzami a włościanami, mieszczanami i szlachtą.

W — Nie była to, co prawda, wielka zasługa — naśladowanie austryackich Kreishauptmannów oraz pruskich Landratów, ale z drugiej strony był obowiązek przypomnieć narodowi, niby to odrodzonemu w latach 1764 i 1768, że zapomniano o najgłówniejszej rzeczy. Były całe legiony sędziów, adwokatów, trybunałów, nie było nigdzie żadnej władzy cywilnej dla pilnowania spokoju i porządku.

Projekt ten, pochwycony skwapliwie, był przedmiotem rozpraw i komentarzy i zaraz zamieniony w prawo. Sformowano listę nowych członków Komisyi wojennej i kiedy się tego najmniej spodziewałem, przygotowując się do wyjazdu, przybyło kilkunastu deputowanych, winszując mi, że byłem 300 głosami wybrany na komisarza w Komisyi wojennej. Nie było innej rady,

jak poddanie się konieczności. Musiałem ubrać się w mundur, stawić w Sejmie, złożyć przysięgę i ucałować rękę królewską.¹⁾

Do utworzenia Komisji wojny powołano najpierw czterech hetmanów i osiemnastu komisarzy, z których wystarczało sześciu do kompletu rady. Wprowadzenie w ruch i zorganizowanie całej komisji wydawało mi się rzeczą bardzo łatwą. *Ne te terreat ullus labor, incipe, quiesce et perficies opus.* To *quiesce* mogło nastąpić i w mojem przewidywaniu przedstawiało mi się pełno przyjemnych rozrywek stolicy, która weszła w fazę świetnej okazałości—mogłem też robić sobie obserwacje o ruchliwem społeczeństwie.

Nie długo trwały moje illuzye. Postarałem się zasięgnąć języka co do członków przyszłej komisji, z którymi miałem zasiadać. Szczegóły osobiste nie o wszystkich były zadawalające. Byli to przeważnie ludzie lekkomyślni, lubiący się bawić, pić, ucztować i grać w karty, a zaledwie trzech czy czterech sumiennych pracowników, na których pomoc rachować mogłem.

Na pierwszej zaraz sesji wielki hetman Branicki, przemówiwszy do wszystkich, zwrócił się do mnie, oddał mi pióro, wielką księgę i dziennik.

A więc bywajcie zdrowe obserwacje społeczne, rozrywki i *quiesce!* Wciągnąłem do księgi akt otwarcia działań Komisji, następnie prezes i moi koledzy wyszli, ażeby się udać na posiedzenie sejmowe, a ja zostałem sam z moim dziennikiem.

Na drugi dzień druga sesya. Ponieważ trzeba było coś przedsięwziąć, coś robić, przygotowałem kilka projektów. Był tam raport do marszałków Sejmu, zawiadomienie dla wojska, rozkaz do zakomunikowania pułkom, ażeby złożono przysięgę posłuszeństwa i wierności Sejmowi, marszałkom i Komisji, oraz żądanie, ażeby dostarczonem było Komisji sprawozdanie szczegółowe o stanie i rozlokowaniu wszystkich wojsk w kraju. Wszystkie te wnioski przyjęto, a ja się zająłem rozesłaniem raportów, gdzie należało. Kilkunastu młodych ludzi, należących do składu biura, wyprawiono, jako kuryerów, na prowincyę.

Sesye odbywały się codziennie. Zaczęły napływać z różnych stron skargi, likwidacje, wyroki sądów wojskowych. Zrobiłem wnioski o utworzenie organizacyi wewnętrznej pomiędzy osiemnastoma członkami, którzyby się podjęli być sprawozdawcami z rozmaitych gałęzi. Projekt został przyjęty, papiery odpowiednie każdemu wydano. Cóż, kiedy dwóch tylko spełniło to, co do nich

¹⁾ O tej „Komisji Wojska Rzplitej Obojga Narodów“ i czynnościach w niej M. Starzeńskiego p. Korzon: „Wewn. dzieje,“ V, 31 sq.

należało — Dembowski i Czapski, pułkownik — inni ani papierów, ani raportów żadnych nie zwrócili. Organizacya ta upadła.

Pracę miałem okrutną. Z tymi dwoma kolegami, pracując ciągle, zawarłem bliższą znajomość i przyjaźń. Urządzaliśmy sobie nasze małe sesye. Wciągnęliśmy do naszego kółka kilku zasłużonych oficerów, kilku inżynierów artyleryi i dzięki im sprawy Komisji wojennej posuwały się naprzód. Zaproponowaliśmy marszałkom Sejmu, ażeby nam było pozwołonem zawezwanie po dwóch oficerów z każdej armii, z wojska koronnego i litewskiego, z artyleryi, kawaleryi lekkiej i narodowej, oraz z artyleryi litewskiej. Żeby oficerowie ci, jako sprawozdawcy, mieli głos doradczy, ażeby za to otrzymywali jaką niewielką gratyfikacyę i mieli nadzieję awansu.

✓ Oficerowie przybyli i rozpoczęły się szybkie i dokładne prace Komisji. Hr. Małachowski, marszałek Sejmu, przyjmował wszystkie wnioski Komisji wojennej, a dzięki jemu wnioski te otrzymywały zawsze większość głosów; przyznać trzeba, że Komisya żądała zawsze tylko tego, co dla dobra wojska było potrzebnem, to też miała wielki mir u patriotów.

✓ Sejm uchwalił jednogłośnie sformowanie 100,000 wojska. Trzeba je było stworzyć. Były w Sejmie rozprawy nad unormowaniem stosunku artyleryi, kawaleryi i liniowego wojska. Rozprawy te przeciągały się do nieskończoności. Nareszcie uradzono, że Komisya wojenna się tem zajmie. Komisya oddała tę sprawę do mojej decyzji. Urządziłem właśnie mały komitet, złożony z samych oficerów i ten był pod moją dyrekeyą, Bardzo mi się szczęśliwie udało, że do tego komitetu zaprosiłem dowódcę batalionu strzelców, Cichockiego. Ten Cichocki był istotnie genialnym pod względem znajomości teoretycznych sztuki wojskowej. Był wychowany w Dreźnie, hr. Brühl oddał go do szkoły wojskowej i następnie doszedł do stopnia pułkownika. Ożenił się z bardzo piękną panną Abselowicz, ale małżeństwo nie było szczęśliwe, rozeszło się formalnie. Był on niezmiernie czynny, pracowity, ciągle zajęty, tylko żywość nadzwyczajną trzeba było czasem poskramiać.

✓ Dołożywszy usilnych starań, ukończyliśmy w krótkim stosunkowo czasie projekt sformowania 100,000 wojska. Polecono nam następnie zrobienie projektu na 60,000. Projekt przyznano. Szło tylko o wynalezienie funduszu. Podatki były ustanowione względnie do 24,000 wojska w r. 1768. Jeszcze z tych sum nie można było odrazu dojść rachunku. Trzeba się w tem było rozpoznać.

XXVI.

Komisye powiatowe już się pozawiazywały; było ich przeszło sto. Przez te komisye mieliśmy już pewne statystyczne wiadomości z województw i powiatów. Zaprowadzały one zgodę i pewien porządek pomiędzy żołnierzami, przyzwyczajonymi dowolnie ściągać z ludności zboże, siano, podwoły, a pokrzywdzonym ziemiaństwem. Na prędcę ustanowiono zdwojony podatek i wysłano komisarzy dla rozpatrzenia się w dochodach starostw, ale ci komisarze jakoś długo nie wracali.

W Należałem do grona tych kilku członków Komisji, którzy wynaleźli nowy sposób powiększenia kawaleryi. Mieliśmy w Polsce 96, a w Litwie 32 szwadrony kawaleryi, każdy szwadron liczący 22 ludzi. Byli to tak samo ułani i huzarzy, jak i ci, którzy przez kilka wieków wysoko sztandar Polski trzymali i za czasów Jana Sobieskiego Wiedeń obronili. Kawalerya ta z biegiem czasów znacznie umniejszoną została, szczególnie ustawą roku 1717. Jednakże zachowała tradycyjną dzielność, dumę i odwagę. Sam król był pułkownikiem. Najbardziej elegancka młodzież starała się o honor otrzymania stopnia i noszenia munduru kawaleryi narodowej. Szwadrony komenderowane przez rotmistrzów trzymały straż wzdłuż granic kraju.

Przygotowywano po trochu umysły, a jednego pięknego dnia wyszło prawo, które nakazywało 128 rotmistrzom powiększenie w ciągu sześciu miesięcy każdego szwadronu do liczby 150 *swoim kosztem*, pod utratą stopnia. Komisya wojenna miała sobie poleczone dopilnowanie wykonanie tego prawa, przytem było powiedziane, że skoro szwadron już zostanie sformowany i umundurowany, będzie wypłacona kapitanowi suma 27,000 złp. na utrzymanie tegoż szwadronu. Czy uwierzyłyby kto w możność wykonania takiego planu w każdym innym kraju? Zagraniczni posłowie i spektatorzy zebrań sejmowych uśmiechali się pogardliwie; niektórzy członkowie mojego małego komitetu, Sasi, Prusacy i Niemcy przepowiadali mi ogromną kompromitację, mówiąc, że nic z tego nie będzie. Jeden nawet księżę krwi królewskiej zawyrokował głośno w Sejmie, że jeżeliby coś z tego było, to tylko licha zbieranina. A tu tymczasem Komisya wojenna przez cztery tygodnie codziennie zajęta była przyjmowaniem panów rotmistrzów i kapitanów, którzy przybywali dla złożenia przysięgi, odbierania rozkazów, gdzie, w których powiatach wolno im będzie

werbować ochotników i skąd mają składać raporta? Było może z dziesięciu takich kapitanów, którzy wymówili się podeszłym wiekiem i ułomnościami, ale przedstawiali na to miejsce zastępców młodych, którzy im jeszcze po kilkaset dukatów dali za usunięcie się z tego posterunku.

Regimenty kawaleryi, dragonów i ułanów otrzymały ten sam rozkaz zapełnienia kadrów swoich szwadronów. Regimenty artyleryi powiększały też swoje szeregi w miarę dopełniania rezerwowych funduszków kas pułkowych. Słowem — nietylko piechota, artylerya, ale kawalerya doszła w krótkim czasie do wypełnienia zamierzonej cyfry 60,000, bez żadnego nigdzie nadużycia, ani skargi. We wrześniu 1790 r. porożysłano oficerów na rewię tych nowych szwadronów, ubranych, zaopatrzonych w broń, konie i już wcale nieźle wyćwiczonych.

Miałem ciągle ogromną pracę, utrzymując mój wielki dziennik, załatwiając interesy Komisji, w czem mi był główną i jedyłą pomocą szanowny pan Tadeusz Dembowski, z tem wszystkiem upadałem prawie ze znużenia. Powołałem do Brańska szwadron, który był w mojem starostwie i postanowiłem go swoim kosztem doprowadzić do porządku. Taki był napływ ochotników.

Upatrzawszy wolną chwilę, pośpieszyłem do Brańska, ażeby niespodzianie zejść mój szwadron. Przybyłem tam jeszcze przed wschodem słońca, zatrzymano mnie, zaczęto indagować, gdzie, skąd jadę, aż gdy poznano, kto jestem, zagrzmiała trąbka i w przeciągu ośmiu minut cały szwadron stał już pod bronią. Był ze mną oficer kawaleryi, któremu polecono z Komisji zrobić przegląd tego szwadronu w najmniejszych szczegółach. Wszystko, ludzie, konie i broń, w największym znajdowały się porządku. Mustra i obroty wojenne udały się także. Rachunki były jak najlepiej prowadzone — pozostawało mi tylko rozdać trochę pieniędzy, kilka beczek piwa i w końcu przyrzec całemu oddziałowi, że skoro wypadnie już potrzeba, pierwszy w ogień wysłany będzie.

Wróciwszy do Warszawy i uzyskawszy od Komisji pochwałę, dostałem rozporządzenie wyprawienia tegoż szwadronu podług wskazanej marszruty dla złączenia się z brygadą, do której został włączony. Zamiast więc lichej zbieraniny, jak nam przepowiadano, mieliśmy w Koronie ośm brygad, a w Litwie cztery, każda po dwanaście szwadronów.

XXVII.

Rezultatem nowych sejmików było ukazanie się na arenie politycznej nowych potęg oratorskich. Zajmowano się w sekrecie odnowieniem konstytucyi. Przywiązywano do tego wagę nadzwyczajną.

W Podsunęto mi myśl zrobienia projektu organizacji Komisji wojennej. Mieliśmy dotąd tylko czternaście artykułów, nakreślonych na prędce, te miały nam służyć za podstawę. W ciągu Sejmu były wydawane prawa, określające nasze dodatkowe obowiązki. Ponieważ więc przyszło od marszałków sejmowych napomknięcie zrobienia nowego projektu, więc w naszym małym Komitecie zbraliśmy się i zreferowaliśmy całą ustawę wojskową, mającą być włączoną do nowej konstytucyi. Marszałek ją przyjął i oddał deputowanemu Linowskiemu, któremu poleconem było przygotowanie ustawy. Linowski przedstawił ją Sejmowi, jako swoje dzieło.

Nareszcie Konstytucya 3-go Maja była zredagowana, czytana, dyskutowana i po wielu debatach przyjęta i sankcyonowana przez Sejm. Gwarancye trzech mocarstw usunięto. Kilku deputowanych, którym się zdawało, że odnieśli trzy wielkie zwycięstwa nad trzema sprzymierzonymi mocarstwami, mieli mowy bardzo nieogłędne. Pierwszy raz w życiu byłem świadkiem widoku 400 osób rozpromienionych najżywszą radością. Spektatorzy i spektatorki, siedzące w łóżach, klaskali w ręce, oddając cześć temu wielkiemu dziełu.

+ Ambasadorzy, nie umiejąc ukryć niezadowolonia, zachowywali głucho milczenie. Tylko pruski tryumfował. Zrobiono wniosek udania się korytarzem z zamku do kościoła Ś-go Jana. Rzucono się do wyjścia i zaśpiewano *Te Deum*. Marszałkowie Sejmu nakazali salwy armatnie — i były potem bale, obiady do nieskończoności. Ażeby upamiętnić po wszystkie czasy drogą krajowi rocznicę, postanowiono za rok, t. j. w 1792 r., obchodzić solennie ten dzień. Proszono króla, żeby wybrał miejsce i wyznaczył plan na mający się wystawić kościół albo kaplicę, gdzieby Konstytucya wraz z listą wszystkich członków Sejmu zachowana była.

Rosya tymczasem prowadziła wojnę z Turcyą. Austria, straciwszy wybór swoich wojsk, zawarła osobny na swoją rękę pokój, zadawalając się małą częścią Mołdawii, ale oddała Belgrad, Sabacz i kilka innych fortów, zdobytych przez Laudona. Prusy złożyły Sejmowi powinszowania szczęśliwego rezultatu obrad.

Marszałek Sejmu, Małachowski, postanowił ostentacyjnie pochwalić się nowem wojskiem, urządzając rewię i manewry. Staraliśmy się całemi siłami odwieść go od tego projektu, gdyż był to czyn wielce niepolityczny, że słabe te siły, 60,000 ludzi, mogły oprzeć się zaledwie jednej z trzech potencji, ale nas nie posłuchano, wielkie manewry zostały nakazane. Miały się odbyć w trzech miejscach: 1) W Braclawiu nad Bohem, pod przewodnictwem ks. Józefa Poniatowskiego; 2) w okolicy Puław pod rozkazami ks. Würtemburskiego; 3) pod Warszawą miała wystąpić gwardya królewska, regiment wojska liniowego, artylerya i pułki kawaleryjskie. Prosiłem marszałka Sejmu o pozwolenie zwiedzenia dwóch obozów. Chciałem rozpatrzyć się w dokładności całkowitego uzbrojenia. Miałem towarzyszyć hetmanowi litewskiemu, Ogińskiemu.

Książę Ogiński zaczął od rewii warszawskiej. Ks. Józef Poniatowski dyrygował nią osobiście. Udała się doskonale. Przy patrząc się obrotom, jako obserwator, w pośród publiczności zauważyłem kilku oficerów pruskich, między innymi generała Kalkreuta, którzy, po cywilnemu ubrani, bardzo się także pilnie przyglądali. Słyszałem nawet ich uwagi.

Byłem potem w Gołębju. Nic nie można było zarzucić porządkowi i doskonałemu wyćwiczeniu regimentów. Nareszcie udałem się do Braclawia. Tam, dzięki generałowi Kościuszce, który pomagał ks. Józefowi w mustrowaniu dywizyi, byłem prawdziwie zachwycony, jak wszystko szło doskonale. Bardzo wielu młodych ludzi z najpierwszych rodzin pośpieszyło stanąć pod rozkazami ks. Józefa i gen. Kościuszki; to też ta mała armia 20,000 stanowiła korpus wyborowy, doskonale przytem zaopatrzony w artyleryę, pontony, wozy, amunicyę i konie. Wyraziłem mój zachwyt, a także i pewne uwagi ks. Poniatowskiemu. Przyznał mi słuszność i poprosił o zredagowanie moich obserwacyi na piśmie, co też uczyniłem, a zarazem prosiłem o pozwolenie złożenia 500 dukatów na mały poczęstunek dla wojska.

Były następnie manewry z zasadzkami. Na jednym z takich asystowałem zawsze na koniu, przeznaczonym dla mnie przez ks. Józefa albo przez generała Kościuszkę, zauważyłem czterech cywilnie ubranych panów, którzy wszystko pilnie obserwowali, poznałem zaraz, że to oficerowie rosyjscy. Kiedy zaskoczona nie spodziewanie jedna brygada robiła odwrót doskonale wykonany, jeden z tych oficerów mówił do drugiego.

— Widzisz pan, nasza cesarzowa miała wszystkich Polaków w worku, ale zapomniała go sznurkami związać, i oto, co wy-

rabiają, będziemy mieli robotę, aby ich napowrót do worka zapakować.

Opowiedziałem to ks. Józefowi, posłał na pocztę zapytać się, kto byli ci panowie. Byli to oficerowie delegowani przez feldmarszałka, hr. Rumiancewa, dla obserwowania rewii.

Wróciłem do Warszawy, zdałem raport królowi i marszałkowi Sejmu i powróciłem do swoich zajęć.¹⁾

Wszystkie osoby, rozsądniej zapatrujące się na rzeczy, wiedziały dobrze, że Rosya jednym zamachem swoich licznych wojsk może zgnieść naszą małą armię. Jakież to ogromnie długie linie graniczne mieliśmy do pilnowania! Od ujścia Niemna, aż do Mołdawii. Przypuściwszy nawet neutralność Austrii... a gdyby król pruski nas zdradził? Ale wielkie geniusze nie łatwo się dadzą zbić z tropu.

— Mój kochany — mówił do mnie, uspakajając mnie hr. Małachowski — nie mogę ci w tej chwili wyjawić tajemnicy stanu, ale ci powiem tylko, że jesteśmy pewni króla pruskiego, traktat zaczepno-odporny będzie zawarty. Będzie tylko 30,000 wojska zapewnionych, ale to tylko dla formy; tam formują duże wojsko, on nas podtrzyma. Co do Turcyi, to posyłamy tam ambasadora, który nie dopuści do pokoju z Rosyą, innego wyprawiamy do Szwecyi, która na północy zrobi dywersyę, zresztą zrobimy popolite ruszenie.

— Bardzo to dobrze, ale skąd wziąć broni, amunicyi, oficerów? Zniecierpliwił się trochę marszałek.

— Bądź pan spokojny, broń się znajdzie; pan zawsze widzisz wszystko w czarnych kolorach i to jest twoja jedyna wada.

Zima zesła na balach i ucztach. Depesze naszych ambasadorów przynosiły nam nadzieje oparte na złudzeniach.

XXVIII.

Nareszcie z wiosną powrócił nasz umocowany pełnomocnik Deboli z Londynu. W listach swoich ostrzegał, żeby nie rachować na króla pruskiego, że ma w ręku dowody jego zdradzieckiej chytryści, nakoniec zażądał, żeby go koniecznie odwołano i przywiózł z sobą bardzo ważne dokumenty na potwierdzenie swoich

¹⁾ Por. Korzon l. c. V, 90—94 i K. Górski: „Hist. jazdy pol.“, 253 sq.

dowodzeń. Zrobił się ruch w radach, ale wszystko zaspokoił prędko Lucchesini.

— Idzie tu przedewszystkiem—mówił on—o trochę uczynności ze strony Sejnu, o ustąpienie Prusom Gdańska z obwodem; król pruski podejmie się tak ufortyfikować miasto, że będzie nie do wzięcia dla Rosyi; zrobi się przytem mały traktacik handlowy i wszystko będzie dobrze.

Rozpoczęto więc rozbiierać tę kwestyę i debatować nad układami.

✓ Król, otrzymawszy przez Konstytucyę 3-go Maja powiększenie swoich prerogatyw i atrybucyi, był przekonany, że już wszystko zrobił, co do niego należało i oddał się z zapalem pomnikowi Jana Sobieskiego w Łazienkach. Żołnierze plantowali grunt wokoło, mularze kopali fundamenty; zwożono materyały, zabierano się do budowy kościoła; skomponowano bardzo piękną muzykę, której próby odbywały się u Ś-go Krzyża, albo w Zamku. Wiele osób przybyło z prowincyi i z zagranicy, ażeby się tym przygotowaniom przypatrzeć. Namawiano nas, ażeby sprowadzić dwa wyborowe szwadrony gwardyi narodowej.

✓ A tu tymczasem zaczęły przychodzić wieści od tych oddziałów, co stały wzdłuż granicy, o zbliżaniu się wojsk rosyjskich do kraju. Formowały się nieopodal granicy korpusy pod wodzą takich a takich generałów, tyle a tyle przygotowywano armat, przeważnie dużego kalibru, naprawiano drogi, jednym słowem szykowano się do zajęcia kraju. Pokój z Turkami był już prawie zawarty. Żydzi ogromnie się kręcili, przygotowując potajemnie zapasy zboża i siana dla wojsk rosyjskich. Wszystkie te okoliczności zapowiadały rychłe wtargnięcie wojsk w ilości około 200,000, podzielonych na trzy korpusy.

Ponieważ zbliżała się pierwsza rocznica 3 Maja, dano nam w Komisyi wojennej poufnie znać, że jego królewska mość życzy sobie, żeby na tę uroczystość przybył także jego bratanek, książę Józef Poniatowski, wraz z kilku oficerami jego wyboru. Czujęm dobrze, że tak książę Józef jak i jego przyjaciele stanowili prawdziwą siłę swoich oddziałów. Książę Württembergi także życzył sobie przybyć na ten czas do Warszawy; jakby się jednemu pozwoliło przyjechać, trudno było drugiemu zabronić.

✓ Król wezwał mnie do siebie i powiedział:

— Ażeby przybyć do Warszawy, nie trzeba więcej jak trzy albo cztery dni, tyleż do powrotu. Obecność mojego bratanka jest mi tu konieczną. Bardzo będę pana prosił, żebyś się temu nie sprzeciwiał.

Rozkaz wysłano. Stronnictwo księcia Adama Czartoryskiego zażądało urlopu dla księcia Würtemburskiego, tenże dla swoich przyjaciół oficerów. Marszałek sejmu, Sapięha, zażądał pozwolenia dla swoich Litwinów; w przeciągu kilku dni przeszło 200 oficerów przybyło ze swymi adjutantami, ordynansami i służbą.

Mój szwadron i Ożarówskiego, również formowane na Podlasiu, były bez zaprzeczenia najpiękniejsze z pomiędzy wszystkich nowoutworzonych. Przybyły na przedmieście na Pradze pod dowództwem majora, który ich doskonale wyćwiczył w służbie. Przedstawione Komisyi, uzyskały wyróżniające pochwały. Ludzie, konie, mundury, broń były w najlepszym porządku. To też postanowionem było, że w ów dzień, 3 Maja, będą stały w paradnej formie naprzeciw Ś-go Krzyża, a 64 towarzyszków z obu szwadronów będzie ustawionych w kościele szpalerem od wejścia aż do prezbiterium, następnie zaś ci sami będą trzymali straż przy zakładaniu fundamentów kościoła. Tak to nas wszystkich absorbowało, żeśmy zapomnieli na tę chwilę o pracach Komisyi, bo musiałem także asystować przy próbach muzycznych, któremi dowodził Włoch Polani, mój nauczyciel skrzypców; miał on także wystąpić z kilku aryami solowemi. Zresztą musiałem i swoich towarzyszków trochę pomustrować, bo nie byli przyzwyczajeni do miejskiego bruku.

Wilią wielkiego dnia uroczystości rozdano wszystkim programy i rozkazy, gdzie się kto miał znajdować. Ci, co byli przeznaczeni do asysty królowi, udali się do zamku. Przeszło czterystu kawalerzystów otrzymało pozwolenie zajęcia wraz z końmi dziedzińców zamkowych. Kościół Świętego Krzyża urządzono prawie że teatralnie, damy pozajmowały miejsca względnie do swoich stanowisk społecznych. Księżna Kurlandzka, jaśniejąca strojem i wdziękami, znajdowała się wpośród rodziny królewskiej. Wpuszczano tylko za biletami. Pomiedzy zamkiem a kościołem Ś-go Krzyża nieprzeliczone tłumy zalegały ulice. Nareszcie zawiadomiono króla, że już wszystko gotowe, rozpoczął się pochód. Pierwszy raz w życiu widziałem taki świetny ceremoniał. Jechałem konno w orszaku królewskim wraz z jedną trzecią moich kolegów. Postarałem się także pięknie być wyszykowanym. Cała ceremonia kościelna odbyła się z nieopisaną świetnością i porządkiem. Wielkie drzwi kościelne były otwarte, od czasu do czasu rzucałem tam okiem i zauważałem, że pióropuszcami moich oficerów i towarzyszy silnie wiatr rozwiewał. Podnosiły się tumany kurzu, zapowiadała się burza. Rozpoczął się znów pochód z kościoła; miała się dopełnić druga część ceremoniału. Jego królew-

ska mość wyszedł na ganek kościelny. Uderzono w dzwony, rozległy się salwy armatnie, ale jednocześnie nadciągnęła okropna burza z błyskawicami, piorunami i straszną ulewą. Zrobiło się ogromne zamieszanie. Kto mógł, chronił się do powozów albo w bramy domów. Jechałem z początku konno w orszaku królewskim, ale skoro zaczęły lecieć z góry dachówki, okna, szyldy, wysunąłem się bokiem i powróciłem do domu.

Opowiadano potem, że kiedy już dojechano do wzgóрка, gdzie król położył pierwszy kamień w fundamenty kościoła, burza rozszalała się już na dobre. Były tam mowy, których nikt nie słuchał, salwy armatnie nie w porę uderzone dla zagłuszonych hałasem wichru komend, poczem każdy jak mógł wracał, a raczej uciekał do domu. Wiele osób było poranionych spadającymi przedmiotami. Widziałem powracający mój piękny szwadron. Wielki Boże, jakże wyglądał! pióropusze połamane i zmoknięte, towarzysze otuleni w płaszcze, z których się woda lała! Burza ta wielkie porobiła szkody w mieście i okolicy—pozrywała dachy, powywracała domy, połamała wiele drzew w lasach. Skoro przeszła, nastąpiła cisza, a z ciszą i rozwaga. Przypomniano sobie o zbliżającym się niebezpieczeństwie najazdu. Zaczęto się przygotowywać do obrony. Książę Józef wiedział, co się nad granicami dzieje, ale przy wielkich swoich zaletach miał jedną bardzo ważną wadę—był zanadto wspaniałomyślny i szczodry względem dam i swoich przyjaciół—dlatego też najczęściej był bez grosza. Miał długi w Warszawie, miał je i na prowincyi. Panowie oficerowie czerpali w jego kasie—i wyczerpali do dna.

Zamierzano rozpocząć kampanię; nie było ani jednego młodego oficera z przybyłych na uroczystość, któryby nie musiał rozstawać się i żegnać z jaką przyjaciółką.

Aż tu minister rosyjski złożył deklaracyę w sejmie, że cesarzowa zamierzyła przysłać korpus wojsk swoich dla ochrony mienia prawych obywateli przeciw wichrzycielom. Ci prawi obywatele narodu byli w tym manifeście wyszczególnieni. Hrabia Szcześnie Potocki, wojewoda ruski, czy przez osobistą ambicyę, czy też źle zrozumiany patryotyzm umyślił, że jedynym środkiem ułagodzenia rozgniewanej cesarzowej jest wystąpienie na czele nowej konfederacyi przeciw konfederacyi warszawskiej. Udało mu się wciągnąć do swojej partyi tych, którzy nie dowierzali Prusakom, a widzieli zbawienie tylko w opiece Rosyi. Stronników Rosyi było dużo nietylko w sejmie ale i w komisjach. Była to kwestya poglądów. W sejmie dzieliły się jeszcze stronnictwa, z których jedne opierały się na sojuszu pruskim, drugie sympatyzowały z Rosyą.

tyzowały z rewolucją francuską. Te dwie partye łączyły się przeciw Rosyi. W tych to okolicznościach odbywały się po pałacach wielkich panów, mających głos przeważny w sejmie, narady i rozprawy bardzo nieraz burzliwe, ale ostatecznie nic nie uradzono.

A tymczasem wojska rosyjskie weszły kilkoma drogami do kraju. W niektórych miejscowościach awangardy rosyjskie były odepchnięte przez nasze małe oddziały graniczne. Mieliśmy raporty z całej linii.

Nasz mały komitet sformował zaraz plany i wyznaczył miejsca zajmowane przez nasze wojska, i te, które zajęli Rosyanie. Książę Józef Poniatowski czuł dobrze, że jego honor wojskowy ucierpi na tym przedłużonym pobycie w Warszawie. Wyprawił więc do pułku wszystkich oficerów, co z nim razem przybyli.

Budżet wojenny zawierał osobny nadzwyczajny fundusz na czas kampanii—były przeznaczone sumy stołowe dla generałów dywizyi, dla księcia Józefa i dla księcia Würtemburskiego, ale trzeba było te sumy pozmienić na dukaty—to wszystko jeszcze nie było gotowe.

A tam nad granicą już się kroki wojenne rozpoczęły. Generał-major Kościuszko, dowodzący w czasie nieobecności księcia Józefa, zgromadził swój niewielki korpus i manewrował nim tak doskonale, że chociaż tu był kraj płaski i zaledwie kilkoma groblami wśród stawów poprzerynany, nigdzie nie dał się podejść, ani otoczyć i utracił tylko dwa szwadrony, które się znalazły na tyłach armii rosyjskiej, były otoczone i jak lwy się broniły.

I pomyśleć sobie, że gdyby nie ta uroczystość 3 Maja, książę Józef taki ukochany przez całą młodzież polską mógłby być podwoić swoją armię, powstrzymać gorliwość Targowicy, uratować magazyny, wzmocnić kilka pozycji, a odniósłszy choć jedno zwycięstwo, pociągnąć za sobą całe zastępy mieszczan, chłopów i drobnej szlachty. Powaby stolicy wszystko to zniweczyły. Oprócz tych kilkunastu oficerów, którzy mu towarzyszyli i co znali go osobiście, całe wojsko i młodzież kraju o nim zwątpili, mieli go za zdrajcę, a generała Kościuszkę za jedyne zbawcę Ojczyzny.

Nareszcie książę Poniatowski przybył i znalazł swoje trzy kolumny cofające się pod naciskiem nieprzyjaciela, wówczas robił, co tylko było można, ażeby odzyskać straconą opinię. Stał na czele kolumny środkowej i czekał chwili odznaczenia się jakimś dzielnym czynem. Ale główne magazyny żywności i amunicyi były już wtedy w rękach nieprzyjaciela, albo spalone. Armia rosyjska pod dowództwem generała Kachowskiego postępowała

w głąb kraju, poprzedzona przez awangardę, złożoną z ośmiu czy dziesięciu tysięcy wojska, którą prowadził Markow.

Ta awangarda przedstawiała księciu Poniatowskiemu sposobność oczekiwaną. Wydał rozkazy i o wschodzie słońca stanął wobec nieprzyjaciela. Bitwa rozpoczęła się kanonadą tak dobrze prowadzoną, że Rosyanie byli zmuszeni pozostać w swoich dawnych pozycjach, gdyż wszystkie ataki odparto. Cztery najlepsze regimenty, do połowy zniszczone, nie chciały iść naprzód. Pod wieczór Markow, otrzymawszy posiłki próbował jeszcze raz atakować nasze oddziały z czterema regimentami. Brygada Wielhorskiego i ułani prawego skrzydła natarli tak w porę, że cztery regimenty odrzucone zostały za wieś Zieleńce i wpędzone na bagna. Wieś tę spalono, zabrano 800 koni uciekającym. Noc nadeszła. Książę dał chwilę odpocząć żołnierzom, ale lękając się być otoczonym przez nadchodzącą pobitym pomoc, wyruszył w wielkim porządku na dawne pozycje.

XXIX.

Sejm dalej trwał jeszcze. Stronnicy Prusaków i stronnicy rewolucyi francuskiej zaczęli myśleć o zabieraniu się do domów. Król był spokojny, bo ufał we wspaniałomyślność cesarzowej, wierzył w magiczną siłę swojego talentu korespondencyjnego i w swoją dyplomacyę. Bojaźliwszego serca skupiali się naokoło króla, któremu sejm przyznał naczelne dowództwo wojsk. Komisya wojenna stała się biurem ekspedycyjnem, a król utworzył swój własny mały komitet czyli radę wojenną dla kierowania ruchami wszystkich wojsk.

Wyprawiliśmy transport amunicyi dla zastąpienia zużytej pod Zieleńcami, gdzie bitwa trwała od wschodu słońca aż do 9 godziny wieczorem.

Raport księcia Józefa był krótki i skromny. Oddawał sprawiedliwość Kościuszce, który dzień cały nieustannie osłaniał lewe skrzydło Poniatowskiego przeciw kolumnie dowodzonej przez Lewanidowa. Skromność ta dopiero wyszła na jaw, kiedy przytrzymano na poczcie korespondencyę ruską. Sprawozdanie rosyjskiego komendanta było bardzo szczegółowe. Donoszono tam, że mieli 4,500 żołnierzy zabitych, nie licząc rannych i zaginionych.¹⁾

¹⁾ Cyfry te nie są dokładne, raport rosyjski podaje nieprawdopodobnie niską liczbę 707 zabitych i rannych. Por. Tadeusz Soplica: „Wojna polsko-rosyjska 1792 r.“ (Kraków 1906), t. I, 216 sq.

A więc książę Józef Poniatowski postąpił bardzo szlachetnie i odzyskał zupełnie nadwerżoną opinię wojskową. Król posłał mu rozkaz zwrócenia i skoncentrowania sił pod Dubienką, miał przejść Bug i unikać wszelkiego spotkania z nieprzyjacielem, bo to by tylko przyczyniło się do większego rozdrażnienia.

✚ Honor wojska polskiego uratowany był pod Zieleńcami. Na Litwie te same przyczyny, które sprawiły chwilowe zamieszanie w korpusie księcia Poniatowskiego, wniosły też ferment do wojska litewskiego. Książę Ludwik Würtemberski, zięć ks. Adama Czartoryskiego, otrzymał naczelne dowództwo wojsk litewskich. Doręczono mu 12,000 dukatów na koszty wojenne. Wyprawił dwóch oficerów pruskich na Litwę, aby tam odszukali i wskazali, gdzie konsystuje wojsko litewskie; sam zaś udał się do Wołczyzna, majątku swego teścia, i tam się jaknajspokojniej zabawiał. Tymczasem korpus Kreczetnikowa wszedł do Litwy, a drugi 10,000-czny udał się na Polesie, z zamiarem złączenia się z armią generała Kachowskiego.

Czy książę Würtemberski otwarcie zdradzał? tego nie umiem powiedzieć. Może wierzył w sojusz z Prusami. Posłano deputację do króla pruskiego z żądaniem, ażeby stosownie do umowy przysłał 30,000 wojska. Przyszło 30,000 Prusaków i rozciągnęło się na granicy tego kraju, którego król pruski gorąco pożył i który mu nieledwie że obiecano za zdradę. Nie omieszkał jednakże dołączyć deklaracji, że obiecał przysłać te wojsko prawej i zdrowej partyi narodu polskiego, a nie demagogom i rewolucjonistom francuskim — to też, dodaje, wojska posłane czynnemi nie będą.

W tym czasie przytrzymano strzelca księcia Würtemberskiego, który to strzelec wyprawiony był do Berlina z listami bardzo kompromitującymi. Ostrzeżony książę przybył do Warszawy szukać protekcji, ale widząc, że się na nim poznano, zażądał dymisji, którą przyjęto. Zamianowano na jego miejsce Michała Zabiełłę, najpiękniejszego naówczas mężczyznę w Warszawie — został generał-leutenantem i wyprawiono go na Litwę dla zgromadzenia wojsk. Było tam wtedy w wojsku kilku starszych i doświadczonych oficerów, którzy robili co mogli, ażeby trapić i nużyć Kreczetnikowa.

✚ Książę Kazimierz Sapięha, marszałek sejmu dla Litwy, był jednocześnie naszym szefem i naszym podwładnym, dwie pozycje bardzo z sobą niezgodne. Podjął się dostarczania wszelkiej amunicji dla artylerji litewskiej, której fundusze były złożone w kasie pułkowej. Książę miał tylko jedną wadę, to jest, że nie lu-

bił żadnej rachunkowości, a był wielkim rozrzutnikiem i miał tysiące długów. Byliśmy w trudnem położeniu, kiedy przychodziły likwidacye podpisane ręką księcia na zakupione amunicye, a myśmy w Komisyi przyjąć ich nie mogli. Książę jako marszałek sejmu był nietykalny.

Mały komitet wyprawił park artyleryi wraz z amunicją i te przyszły na czas. Mieliliśmy w Warszawie naszego dowódcę artyleryi hrabiego Stanisława Potockiego, który posiadając wiele talentów cywilnych, był za to pozbawiony wszelkich znajomości wojskowych. Musiał jednakże być czynnym. Pojechał pocztą z Warszawy do Miru i przybył w chwili, kiedy jeden oddział wojska litewskiego rozprawiał się z przemagającymi siłami korpusu Kreczetnikowa. Przybył i mógł tylko skonstatować cofanie się naszego oddziału. Nie miał więc czasu na żadną akcyę wojenną, tylko zawrócił i tym samym powozem chory i zdemoralizowany do Warszawy przyjechał. Służba jego rozpuszczała przesadzone wieści o niesłychanej klęsce.

Trzeba było energicznie się wziąć i poprawić położenie na Litwie. Król zdecydował się na sformowanie niewielkiego rezerwowego korpusu. Utworzono go z samego wyborowego wojska. Składał się z dwóch regimentów gwardyi, jednego ułanów królewskich i dwóch batalionów wojska liniowego oraz parku artyleryi—korpus ten oddany był pod dowództwo dzielnego generała Byszewskiego. Wyruszył on ku Litwie. Był zamiar, że i król pojedzie do armii, ale do tego nie przyszło.

Według rozporządzenia króla, książę Poniatowski rozstawił swoje wojsko wzdłuż linii Bugu na przestrzeni 12 czy 15 mil. Generał Kościuszko z rozkazu księcia Józefa z dwunastoma batalionami liniowymi i z dwudziestoma szwadronami kawaleryi udał się pod Dubienkę. Wody były podówczas niskie, rzeki prawie wszędzie przejechać lub przejść było można łatwo. W pozycyi, w jakiej się znajdował, groziło mu obejście i otoczenie od strony granicy austryackiej, którą mogli byli Rosyanie przejść, chociażby naruszając neutralność tego państwa. Ponieważ rozkaz pozostania w tym miejscu był stanowczy, Kościuszko zatem musiał się okopać, tak na piaszczystym brzegu Buga, jako też i na twardszym gruncie dalej od rzeki. Cały front reduty był obstawiony nawpół poprzycinanymi krzakami dla utrudnienia dostępu.

Wielki hetman Branicki, prezes naszej Komisyi wojennej i bardzo wielu członków i partyzantów konfederacyi Targowickiej znajdowało się tymczasem w obozie rosyjskim. Spostrzeżono tam odciągnięcie Kościuszki, co było rzeczywiście tylko zmianą po-

zyci. Pułkownikowi Palembachowi rozkazano przejść ze swoim oddziałem przez granicę austryacką i otoczyć Kościuszkę w jego pozycji nadrzecznej. Pułkownik ten zrobił zakład, że otoczy oddział i weźmie go bez wystrzału tylko za pomocą białej broni. Rosyane przeszli rzekę w kilku miejscach, a wyżsi oficerowie ucztowali tymczasem w obozie. Pierwsze kolumny, które przeszły, zdziwiły się bardzo, zastawszy pierwsze reduty niezajęte na piaszczystym gruncie—pomknęły się więc do krzaków i wtedy rozpoczął się siarczysty ogień krzyżowy. Nadeszły drugie kolumny oraz kawaleria, po długim dosyć oporze zaczęły zdobywać redutę. Jedna z najsłabszych brygad kawalerii wielkopolskiej zaczęła najpierwsza zmykać w zamieszaniu. Największe starania Kościuszki, aby ją powstrzymać, nie pomogły, szanice frontowe zdobyto, nasze bataliony cofnęły się czworobokami. Stary generał-major Wielowieyski zdołał ustawić ich wzdłuż pod lasem. Kolumny rosyjskie po ustaniu bitwy sformowały się nanowo, przy naszym wojsku zostały dwa szanice prawego skrzydła, obsadzone dwoma batalionami strzelców i jednym regimentem ułanów pod dowództwem generała Karwickiego. Dzielny pułkownik Szuczkowski zaproponował Karwickiemu w razie koniecznej potrzeby plan rejterady, a przytem wymianę słowa honorowego, że trzymać się będą do ostateczności.

Zaledwie rozlokowali swoje siły, gdy dano znać, że od granicy galicyjskiej z lasu wynurza się dwadzieścia szwadronów, dowodzonych przez Palembacha. Popodcinane krzaki sprawiły pewne zamieszanie w ataku. Pułkownik Palembach z kilkoma wyższymi oficerami, wpadłszy na redutę, byli zabici. Generał Karwicki doskonale uchwycił chwilę natarcia swymi ułanami, szwadrony rosyjskie, utraciwszy wielu żołnierzy, poszły w rozsypkę. Szuczkowski i Karwicki, zabrawszy ośm armat, w porządnym czworoboku cofali się ku brzegowi lasu, przy którym Wielowieyski rozstawił poprzecznie oddziały. Czworobok ten był w ciągu marszu nieustannie napastowany przez konnych i pieszych kozaków, ale rozbić się nie dał i doszedł do celu.

✕ Rozpisałem się dłużej nad tą historią walki pod Dubienką, gdyż tu był początek wspólnego nieporozumienia księcia Józefa z generałem Kościuszką, a zatem i pomiędzy ich stronnikami. Generał Kościuszko, uniesiony ucieczką dwunastu szwadronów brygady wielkopolskiej i kilku batalionów z lewego skrzydła reduty, skoro o parę mil stamtąd ich zatrzymał i starał się napowrót sformować, wysłał zaraz raport do księcia Józefa, w którym mówi, że był atakowany w swoich pozycjach, że brygada kawalerii nie

dotrzymała placu, rozpoczęła ucieczkę, która pociągnęła inne bataliony, że nie ma żadnej wiadomości o szwadronach prawego skrzydła, że zważywszy ogromną przewagę sił nieprzyjacielskich przypuszczać należy, iż chociaż walczyli do upadłego, jednakże oprzeć się nie zdołali i że prawdopodobnie utrata takich oddziałów z trzema takimi dowódcami jak Karwicki, Szuczkowski i Wielowiejski jest klęską bardzo dotkliwą.

Książę Poniatowski przesłał swój raport królowi przez Komisję wojenną, raport jak zawsze krótki i lakoniczny i dołączył do niego raport Kościuszki. Kościuszko co prawda w całej tej historii nie stracił więcej nad 400 żołnierzy, kiedy Rosyanie mieli 5,000 zabitych. ¹⁾ Pułkownik Karwicki, który był z temi wiadomościami wyprawiony jako kuryer, miał osobiście dostarczyć szczegółów dnia całego.

Teraz się dopiero rozpoczęły rozprawy nad tą bitwą pomiędzy stronnikami księcia Józefa i Kościuszki. Stronnicy księcia mówili, że Kościuszko nie z rozkazu księcia tylko sam zmienił pozycję, że rozpoczął jeden z pierwszych ucieczkę, że nic nie zrobił, ażeby ratować swoje prawe skrzydło i że przysłał raport księciu z miejsca, o cztery mile oddalonego od bitwy. Stronnicy Kościuszki na to odpowiadali, że przeznaczono Kościuszcze stracony posterunek przez złość i zawiść; że znając doskonale warunki miejscowe, Kościuszko musiał zmienić pozycję i że ta była doskonale i konsekwentnie wybrana; że atak na reduty rozpoczął się o godzinie 10 z rana, że ogień trwał przez dzień i noc całą, a książę żadnego posiłku nie nadesłał. Ale szybki bieg wypadków powstrzymał te rozprawy. Korpus księcia Poniatowskiego zwrócił się na Kurów a Zabiełły na Granne.

Król widząc, że coraz trudniej będzie wojsku polskiemu oprzeć się przemagającej i coraz to zwiększającej się sile wojsk rosyjskich, postanowił przystąpić do Targowicy. Nastąpiło zawieszenie broni. Książę Poniatowski dostał rozkaz powrotu do Warszawy i do rozesłania swoich oddziałów w miejsca oznaczone. Książę rozkaz schował do kieszeni a chcąc zakończyć wojnę rozgłośnym czynem, wyprawił tak jakby na rekonesans jedną brygadę kawaleryi i dwa regimenty ułanów, sam stanął na ich czele. Atakowali go Rosyanie, bitwa się rozpoczęła. Dwa bataliony strzelców rosyjskich zdołało się wcisnąć wózem do wielkiej cegielni. Ta zasadzka spowodowała rozproszenie się kawa-

¹⁾ Cyfry te nie są dokładne, por. Soplica l. c., str. 384 sq.

leryi—zginął tu generał-inspektor Stanisław Iliński i wielu dzielnych oficerów. Książę sam w wielkim był niebezpieczeństwie; winien był swoje ocalenie dzielności swego konia, który kilka płotów przesadził. ¹⁾

Był to znów nowy powód niezadowolenia dla przeciwników księcia, chociaż tutaj powinni byli uwzględnić jego pragnienie przedłużenia wojny, zamiast zakończenia jej tak smutno i bez pożytku dla kraju. W Kurowie przed rozejściem się w różne strony zebrało się wojsko dla ogólnego pożegnania, przyczem da-no sobie słowo honoru rycerskiego, że się jeszcze kiedyś zbiorą z bronią w rękę, kiedy się odpowiednia sposobność nadarzy. Tam to był zrobiony plan Insurekcyi r. 1794. ———

XXX.

Niedługo po zawarciu pokoju Kachowski z jednej strony Warszawy, Kreczetnikow od strony Pragi mieli wejść tryumfalnie do naszej stolicy; pozostawiwszy w tyle oddziały, które najwięcej ucierpiały, przygotowali do wejścia sam wybór bardzo świetnie unundurowanego żołnierza; dwa te korpusy w paradnej formie weszły do miasta, udały się przed zamek i zaprezentowały się królowi, a potem poszły na kwatery dla nich przygotowane. Kilkunastu generałów, wielka liczba wyższych oficerów sprowadziwszy muzykę wojskową, przy jej odgłosie zabawiali się w publicznych ogrodach. W ciągu następnych dni dwa obozy zamienione zostały w świetne targowiska jarmarczne. Zajeżdżały najpiękniejsze ekipaże, kabriolety, postrojone panie i panny zwiedzały obozy. Oficerowie i żołnierze robili w mieście sprawunki, płacili bez targu dobrymi pieniędzmi, kupcy więc robili dobre interesy. WNasza Komisya wojskowa spełniała dotąd swoje czynności tak, jak było dawniej z rozkazu króla. Naraz odbieramy duży list zapieczętowany pieczęcią kanclerską. Był to rozkaz zakończenia naszych sesyi, zamknięcia czynności i niewydalania się ze stolicy, zanim nie zdamy sprawy ksiąg i rachunków tak naszych, jako i komisarzy przez nas ustanowionych. Zaregistrowałem ten rozkaz i miałem zaszczyt położyć ostatnią kropkę przy zamknięciu ostatniego posiedzenia. W parę dni później wezwano nas do

¹⁾ Bitwa ta odbyła się pod Markuszewem, por. Soplca l. c., str. 421.

złożenia przysięgi na posłuszeństwo królowi i konfederacyi targowickiej.

Utworzono drugą Komisję, która nas miała zastąpić. Proponowano mi w niej miejsce, ale podziękowałem. Hrabia Ożarowski, kasztelan wojnicki, starosta suraski, sąsiad mój ze Strabli, miał być wielkim hetmanem koronnym i prezydować w nowej Komisyi. Kossakowski został wielkim hetmanem litewskim. Nareszcie zostaliśmy wezwani do komisyi egzaminacyjnej, gdzieśmy się mieli stawić w całym komplecie. Połowa członków dawnej Komisyi, będąc w porozumieniu z całym składem Targowiczan, wytłómaczyła, że obecność ich przed tą komisją egzaminacyjną jest zupełnie niepotrzebna, gdyż naprawdę na sesjach nie bywali i żadnego udziału nie brali, tylko że my z Dembowskim we dwóch prowadziliśmy wszystkie sprawy wojskowe i wielki dziennik i mały sekretny, że więc my tylko najlepsze dać możemy objaśnienia. Motywy te uznano za właściwe, wyszło rozporządzenie, że się tych panów zwalnia od wszelkiej odpowiedzialności, wydano im paszporty i wyjechali, gdzie się któremu podobało. Na nas więc dwóch, na Dembowskim i na mnie, zaciężył obowiązek uratowania honoru Komisyi wojennej i odpowiedzialności za czterech prezesów i szesnastu nieobecnych członków tejże Komisyi. Obadwaj z Dembowskim nie potrzebowaliśmy wiele czasu na przygotowania. Seseje trwały dni szesnaście. Każdy z szesnastu członków miał u siebie listę numerów wielkiego dziennika, które to listy doreczone im były przez zdrajców i szpiegów. Archiwum likwidacyi, 34 tomy wielkiego dziennika, kilka grubych zeszytów korespondencyi komisarzyów okręgowych oraz dziennik tajny wraz z odpowiednimi papierami wszystko było przepatrzone, skonfrontowane przez komisję egzaminacyjną i znalezione w największym porządku. Otrzymaliśmy ogólne pokwitowanie wraz z wyłączną pochwałą dla nas obydwoch, którzyśmy tego sumiennie pilnowali.

XXXI.

Zakończyłem tedy swoje czasowe urzędowanie. Znajdowałem się w pozycyi miernego aktora, który choć zmęczony swoją rolą, kontent jest przynajmniej, że go w niej nie wygwizdano. Unikałem rozmaitych okazji, które mogły nadwreżyć mój spokój, zdrowie i majątek. Zawdzięczam to nie tyle mojemu osobistemu rozumowi, ile przymusowemu zajęciu, które zapełniło wszystkie dnie i godziny.

Kończyłem obowiązkową moją pracę o godzinie siódmej wieczorem, posiliwszy się, siadałem na konia i wyjeżdżałem na miasto, następnie udawałem się do Antoniego Dzieduszyckiego, gdzie się zgromadzało zawsze dosyć liczne towarzystwo ludzi rozumnych; była więc poważna rozmowa, a także partya szachów, fajki i łatwość dowiedzenia się, co słyhać w świecie, a głównie co się działo na Sejmie.

Po Konstytucyi 3 Maja nasi panowie i młodzież cała wróciła do dawnego polskiego stroju. Strój ten i wasy tak mnie zmieniły, że mało kto mógł mnie poznać.

Pod względem majątkowym wcale dobrze stałem. Osiem tysięcy złp., które pobierałem rocznie, wystarczały prawie na moje utrzymanie. Najważniejszy ówczesny wydatek stanowiło uformowanie mego szwadronu, co mnie przeszło 40,000 złp. kosztowało. Dochody z mojej ekonomii regularnie wpływały. Te ostatnie lata były bardzo dobre. Całe Podlasie, dowożąc produkta wiejskie do Warszawy, miało zyski niezwykłe. Chłopi ze starostwa brańskiego, drobni dzierżawcy płacili swoje należności samymi dukatami. Żona moja, zarządzając majątkiem, żaliła się tylko na brak drobnej monety miedzianej, która gdzieś znikła zupełnie. Dla synów moich wyszukałem odpowiedniego nauczyciela, był nim eks-kapitan Miller.

Strabla odległą była od Warszawy o 16 godzin drogi. O dom byłem zupełnie spokojny, bo wiedziałem, że żonie i dzieciom na niczem nie zbywa. Teraz, mając więcej czasu, mogłem zrobić bilans swoich własnych interesów. Miałem lat 34, zdrowie żelazne i oprócz majątków ziemskich około 27,000 dukatów w złocie. Zapomniałem powiedzieć, że zdarzyło mi się nabyć ładny folwark o dwie mile od Warszawy, Młociny; było to ulubione miejsce pobytu hr. Brühl'a, naczelnego komendanta artylerji, któremu rozmaici współzawodnicy, zazdrozczący wysokiego stanowiska, różne robili szykany. Żona jego, Saksonka, namówiła go, żeby to miejsce porzucił, co też uczyniwszy, ulubione Młociny mnie za bardzo umiarkowaną cenę ustąpił. Nie mając dosyć czasu, żeby się zająć zagospodarowaniem tego folwarku, wypuściłem go w dzierżawę domowi bankowemu Tepper i Schultz bez kontraktu, tylko na ósmy procent od wyłożonego przezemnie kapitału.

W takich to okolicznościach powróciłem w jesieni 1792 roku do Strabli, gdzie znalazłem pożądaną ciszę i spokój, bo wojsko rosyjskie wymaszerowało na kwatery zimowe, szwadron strzelców wrócił do Białegostoku, a brygada Ożarowskiego do Bielska.

XXXII.

W roku 1793 matka moja i bracia powołali mnie do Galicyi w celu uzupełnienia podziału majątków, pozostałych po ojcu. Pośpieszyłem tam i w ciągu dni pięciu działy były zrobione, na podstawie testamentu ojca naszego. Ja zostałem przy moich majątkach na Podlasiu z dodatkiem folwarku Markopol w Galicyi, przytem wziąłem na siebie spłacenie długów ojca. Stanisław otrzymał Mogielnicę, Ksawery 240,000 złp. na Koniuszkowie oraz majątek Olejów, przyjmując na nich prawa dożywocia naszej matki. Brat mój, Adam, wziął z ogromnymi lasami Sassów. Ksawery, będący już w wieku, w którym można myśleć o ożenku, prosił mnie, żebym go oświadczył pannie Jabłonowskiej, córce wice-prezesa Sądu szlacheckiego. Zająłem się tem energicznie i w ciągu czterech tygodni wszystko było skończone. Działy nasze wciągnęto do ksiąg stołowych królewskich. Prócz tego podzieliłiśmy się stadniną i meblami. Wszyscy byli zadowoleni, a ja łudziłem się słodką nadzieją, że się te kwestye działów na prawdę i na zawsze skończyły.

W roku 1793 brat mój, Adam, przyjechał na wiosnę do Strabli w zamiarze ożenienia się. Hr. Zaleski, przepędziwszy jak najspokojniej cztery lata sejmowe u siebie w Borkach, w Galicyi, powrócił właśnie do dóbr swoich, Turośli, ze swoją siostrzenicą, Konstancją. Ponieważ ojciec w swojej ostatniej woli wyraził życzenie, żebym się zajął ożenieniem moich braci, a więc wybraliśmy się z Adamem do Turośli.

Następnie hr. Zaleski przybył z siostrzenicą do Strabli. Tutaj urządziliśmy nawigacyę, maskaradę w rodzaju wschodnim w biały dzień; ja, jako basza ze Strabli, wyjechałem na statku udekorowanym wspaniale naprzeciw baszy z Turośli, przeprowadzającemu się ze strony przeciwnej przez rzekę. W czasie tej podróży, przyjęcie, chłodniki, sorbety, wszystko po turecku. Adam ubrany za murzyna-niewolnika, którego ja ofiarowałem baszy turoślskiemu, który znów ofiarował go swej siostrzenicy; ta zdjęła z niego kajdany żelazne, a włożyła za to kajdany z róż, którymi go owinęła. Na brzegu czekały posiadłane konie, ale basza z Turośli, będąc bardzo otyły, wolał wsiąść do wygodnego powozu, i tak przyjechaliśmy do Strabli. Tutaj był obiad, później maskarada, tańce do białego dnia; na drugi dzień zamiana pierścionków, oddanie podarunków, które w tym celu przywiozłem z Warszawy. Później droga wspólna do Grodna, gdzie mieszkał brat panny, Jundziłł, którego trzeba było o przyzwolenie na ten zwią-

zek prosić. Odbyło się świetne bardzo wesele w Turośli, poczem państwo młodzi wyjechali do Galicyi.

Znów więc spełniłem wyrażone w testamencie ojca polecenie zajęcia się losem braci i miałem nadzieję odpocząć trochę w domu, ale była to tylko illuzya. Emisaryusze francuscy kręcili się po kraju, różni intryganci zjawiali się z propozycjami podpisów, okazywali jakieś papiery hieroglificzne, trójkąty nakłute kropkami, usiłowali tłómaczyć ich znaczenie, ale sami widocznie ich nie rozumieli; kończyło się to wszystko zawsze wyłudzeniem pieniędzy. Miller, nauczyciel moich synów, odbierał masę listów, pisywał sam całemi nocami, a gazety chciwie czytywał. Sejm był zwołany do Grodna; były więc sejmiki, na których różne tworzyły się partye.

Król przybył do Białegostoku pod ochroną wojska rosyjskiego. Lista deputowanych nie była dostateczną. Prawdziwi patryoci uchylali się od wyborów. Rosyanie, a raczej cesarzowa Katarzyna oburzona była na króla, który nie mógł spełnić obietnic kaniowskich. Sejm się odbył. Kolega mój, Bieliński, człowiek pod każdym względem nieodpowiedni, został obrany marszałkiem. Projekt nowej konstytucyi, przypominającej trochę Konstytucyę 3 Maja, został uchwalony. Ministrowie, rosyjski i pruski, otrzymali od Sejmu sankcyę nowego podziału kraju na zasadzie zajętych już przez ich wojska kordonów. Wojska te tak były rozmieszczone, że nasze najlepsze oddziały były niemi ze wszystkich stron otoczone.

Rosyanie mieli sposobność ocenienia zalet wojsk polskich; to też oficerom wyższych stopni ofiarowywano miejsca w wojsku rosyjskiem. Utworzono brygadę kawaleryi z nazwą „Brygada złotej wolności.“ Sformowano regiment ułanów, niczem się nie różniących od dawniejszych. Król pruski robił ze swej strony różne propozycye wojskowym, znajdującym się w jego kordonie. Z wojska polskiego pozostało to tylko, co się trzymało w bliskości granicy austryackiej; ale i o tych już myślano, żeby im podciąć skrzydła. Wiadomem było, że nowa komisya wojenna, której prezesem był Ożarowski, mianowany hetmanem, obradowała nad zmniejszeniem i zreformowaniem tych resztek armii polskiej. Radzono bardzo sekretnie, ale ten sekret wszystkim był znany.

Co do mnie, to widziałem wyraźnie, że jeszcze nie przebyłem „pola“ ze snu ojca mojego i że roztropniej będzie od wszystkiego się usunąć.

XXXIII.

Trzy państwa sprzymierzone przyczyniły się bezpośrednio do upadłości bankierów krakowskich, warszawskich i poznańskich. Kiedy trzeci podział był już dokonany, każdy z rządów starał się poufnie uprzedzić kapitalistów w nowych posiadłościach, ażeby zakończyli swe rachunki z domami bankowymi i wogóle ze swymi kredytorami.

Zazwyczaj bankierzy udawali się na kontrakty do Mińska gubernialnego, do Lwowa lub Dubna, ażeby zaciągać tam nieraz milionowe pożyczki. Na takich kontraktach ogromne z rąk do rąk przelewały się sumy. Bankierzy zgłaszali się do większych posiadaczy i ofiarowywali 7 lub 8 procent od kapitałów a dostawszy tyle, co chcieli, wracali do swoich stolic. Tutaj dopiero pożyczali już to panom, już to młodzieży lub samemu królowi, a także i kupcom rozmaitym; dostarczali też wiele rzeczy, sprowadzanych z zagranicy, wszystko jednak na bardzo wysokie procenty. Wielu też bogatych panów zamiast trzymać pieniądze w domu, wołało je złożyć u bankierów i stantąd w miarę potrzeby czerpać, robiąc ogólny obrachunek przy końcu roku.

Wojna 1792 r. pomieszała szyki tych operacji. Wszyscy posiadacze kwitów depozytowych zgłosili się po odbiór złożonych pieniędzy. Na kontraktach w Dubnie i Lwowie kapitałiści zatrzymali przy sobie swoje walory; bankierzy wrócili z niczem. Powtórzyło się to samo i w Mińsku. Skoro w Warszawie panowie zażądali zwrotu swoich kapitałów, w braku własnych pieniędzy wypłacano do pewnego czasu cudzymi; i oto cała historia ówczesnego bankructwa.

Rząd rosyjski miał u nich znaczne sumy, rząd pruski także swoje pretensye. Trzy sprzymierzone potencje postanowiły utworzyć Komisję główną, złożoną z jednego prezesa i z dziewięciu komisarzy, po trzech z każdego państwa i tym była dana władza ostatecznego sądenia wszystkich interesów i obrachowywania strat tych poddanych, którzy do danego mocarstwa należeli.

Hr. Raczyński, prezes komisyi, uprzedził mnie bardzo uprzejmym listem, że jestem wyznaczony jednym z trzech komisarzy ze strony Rosyi. Był to co prawda sposób łatwiejszego zakończenia swojego interesu; ale *sen* mojego ojca, przedstawiający pole nieskoszone, przyszedł mi na myśl, a widząc, że obowiązek taki zatrzymać mnie może jakie lat kilka w Warszawie, wołałem od tego się usunąć. Odpisałem hr. Raczyńskiemu, że ponieważ sam jestem mocno interesowany, mając w masie upadłości mają-

tek Młociny i kapitał, zdaje mi się więc, że nie mógłbym być razem i sędzią i petentem. Gdyby jednak sprawa moja mogła być sądzoną jedną z pierwszych, to wtedy służyć będę chętnie.

Zamianowano kogo innego na to miejsce. Dopiero w końcu 1793 r. Komisya rozpoczęła swoje publiczne posiedzenia. Dano mi znać, żebym przybył do Warszawy. Przybywszy, pooddawałem wizyty naprzód prezesowi Raczyńskiemu, a następnie dziewięciu komisarzom, z których nie znałem żadnego. Ponieważ trzech komisarze pruscy umieli tylko po niemiecku, musiałem osobiście sporządzić o mojej sprawie referat w języku niemieckim, ażeby, gdy przyjdzie sprawa moja na wokandę, wiedzieli o co w niej chodzi.

Tymczasem cała Warszawa była w ogromnym ruchu. Będąc niezłym fizyognomistą, mogłem wyczytać w wyrazie twarzy spotykanych na ulicy osób ogromne zaniepokojenie. Zbliżał się także dzień, w którym Komisya miała rozpocząć swoją czynność w sprawie Tepperowskiej i los moich 27,000 dukatów oraz Młocin miał być rozstrzygnięty.

Dom Teppera, zajęty na Trybunał w tej sprawie, znajdował się naprzeciw pałacu generał-komendanta Warszawy Igelströma. Ulicą Miodową nieustannie defilowały bataliony wojsk rosyjskich, które przeciągały z wielką paradą; posterunki gwardyi przy pałacu zmieniały się co parę godzin. Czuć było wewnętrzne wrzenie w pośród ludności Warszawy — całe miasto dzieliło się na różne tajemne stowarzyszenia. Były schadzki przy zamkniętych drzwiach. Trzeba było widzieć, co to się wówczas działo. I ja też w końcu dowiedziałem się o wszystkim.

Pułkownik Cichocki ¹⁾ mnie zawdzięczał swoje stanowisko, poczuwał się też do okazania mnie swej wdzięczności, skoro się ku temu sposobność zdarzyła. Będąc naówczas szefem Komisarjatu i generał-majorem, zmuszony był pozostać w Warszawie, ażeby doczekać się zwrotu pieniędzy, wyłożonych ze swych oszczędności na rozliczne dostawy wojskowe. Dzięki swym zdolnościom i niez mordowanej pracowitości, został mianowany komisarzem wojennym. Następnie Ożarowski, zostawszy hetmanem, mianował go komendantem miasta Warszawy, przydawszy mu do nadzoru nad nim generała rosyjskiego, który podpisywał jego rozkazy, rozporządzenia, paszporty i zdawał o wszystkim sprawę Igelströmowi. Ten to właśnie gen. Cichocki oraz krewny mój, Antoni Dzieduszycki, uprzedzili mnie o grożącym mi niebezpieczeństwie.

¹⁾ Jan August.

Mój szwadron wraz ze szwadronem Ożarowskiego¹⁾, powróciwszy z kampanii 1792 r., znajdowały się właśnie na Pradze. Utraciły one jednego oficera i dwóch jezdnych szeregowców, nie było ani jednego dezertera. Z radością witałem dzielnych moich żołnierzy, ażeby im lepiej zadowolenie moje okazać, rozdałem w pośród nich kilkadziesiąt dukatów. Każdy inny zrobiłby to samo na mojem miejscu. Fakt ten jednak zauważono i doniesiono Igelströmowi, który niezwłocznie obydwu szwadrony odesłał do ich brygady. Ja sam, uprzedzony w porę, miałem się na ostrożności; ale dzięki znajomości mojej z kilku oficerami rosyjskimi, sprawę tę umorzono. Klubiści francuscy nie dowierzali mi, biorąc mnie za stronnika pruskiego; z drugiej strony inni wojskowi z gwardyi królewskiej pułku liniowego Działyńskiego mówili mi na ucho: „Nie zobowiązujemy pana do niczego, ale jesteśny go pewni.“

Jednem słowem czułem się, jak na wulkanie. Rewolucya wojskowo-ludowa mogła wybuchnąć lada chwila. Król, którego widywałem u pani Branickiej, był przybity i niespokojny. Pewnego razu zwierzył mi swe troski. „Widzę—mówił—że naród pędzi ku rewolucyi, ku swojej zgubie, na to nic już poradzić nie można, niech się stanie wola nieba.“ „Miłościwy panie — odrzekłem — gdybym miał do wyboru długą, nieuleczalną chorobę i wszystkie trwogi powolnego konania, wolałbym umrzeć odrazu na polu bitwy. Choroba naszej Ojczyzny trwa od wieku, stanowczo zaś od 1717 r., Wasza królewska mość niema sobie nic innego do zarzucenia jak to, że przybył zapóźno, aby odrodzić Polskę. Wnioskuje zatem, że lepiejby było, aby rzeczy zdecydowały się odrazu, aniżeli...“ Tu przybycie kilku osób przerwało rozmowę, po której król nabrał przekonania, że należą do klubu zapamiętałych szaleńców.

Postronnie wiedziałem również, że się rewolucya gotuje; to też posuwałem, jak mogłem, swoją sprawę. Nakoniec nadszedł dzień, w którym dozwolono mi bronić osobiście sprawy mojej

¹⁾ Kajetan Ożarowski, starszy syn hetmana, urodzony z tegoż pierwszej żony Pacówny, generał-brygadyer wojsk narodowych, zmarły w 1811 r. w Horynce, pod Krzemieńcem, majątku żony swej, kobiety wielkiej świętobliwości, Cecylii z Platerów, kasztelanki trockiej (niektóre o niej szczegóły podaje Karolina Nakwaska w dziełku, p. t. „Cecylia z Platerów O. Obrazek z życia rzeczywistego.“ Lwów, 1876); synem ich był zmarły *in opinione sanctitatis* w klasztorze na Bielanych, pod Krakowem, ks. Wiktor Ożarowski, ur. 1799 r., zm. 1871 r. (Pisali o nim ks. Prokop w „Żywotach Świętych“ i Ludwik Dębicki w „Portretach i sylwetkach“, wyd. w Krakowie 1900 r.).

przed Komisją trzech państw sprzymierzonych. Dowodziłem przede wszystkim praw swoich do majątku Młociny, wykazałem czarno na białem kwitami daty i wysokość sum, złożonych u Teppera. Wygrałem sprawę większością ośmiu głosów przeciw jednemu. Obliczono według mojej książki kapitał z 7%, odłączono majątek Młociny od masy upadłości. Jedynie 12 dukatów odesłano masie Teppera. Suma znajdowała się w kasie. Wydano mi kwit do odebrania swoich pieniędzy. Wszyscy ogólnie przyklasnęli wyrokowi sądu; załatwiwszy inne drobne formalności, udałem się na obiad do hr. Antoniego Dzieduszyckiego, gdzie zastałem gen. Cichockiego. Pieniądze miały być wypłacone o godz. 6 wieczorem. Prosiłem hr. Dzieduszyckiego o powóz i dwóch urzędników, którzyby mi przywieźli 15,000 dukatów kapitału i około 8,000 dukatów procentów.

W całej Warszawie wiedziano już o mojej wygranej. Czekali w salonie hr. Dzieduszyckiego, nasi wysłani urzędnicy nie powracają... przez ten czas przyniesiono do mnie kilka listów z prośbą o pożyczkę, o przyjęcie w zastaw brylantów etc. etc. Nareszcie urzędnicy wracają, ale z pustemi rękoma. Od 10 rano do 6-ej wieczorem pan C., mój dawny kolega z Lipska, zdążył zamienić dukaty na inną monetę, przytem na marginesie wyroku znalazłem niezgrabnie dopisane zastrzeżenie, że 27,000 dukatów mają być wypłacone w złocie lub innej bieżącej monecie. Całe to nadużycie było bardzo niesmaczne. Każdy inny byłby wybuchnął gniewem przeciw pamiętnemu uraz koledze, który wypłatał podobnego figla. Odłożywszy zemstę na później, poprzestałem na założeniu protestu i wyszukaniu tego urzędnika, który za rozkazem swego przełożonego zrobił dopisek na akcie wyroku sądowego. Wynałazłszy go, zmusiłem do podpisania deklaracji, że czyn ten popełnił bezwłasnowolnie. Co do mnie, byłem prawie zadowolony, że pieniędzy nie odebrałem, gdyż przy nadchodzącej burzy niepodobna było przechowywać w domu u siebie znacznego kapitału, trzeba było emigrować, ryzykując zatrzymanie na granicy. Miałem nadzieję, że mi to nie przypadnie i że potem będę mógł również odebrać. To rezonowanie znacznie mnie uspokoiło.

XXXIV.

Po skończonym procesie przestałem być celem obserwacji, sam natomiast nie omieszkalem czynić ich w dalszym ciągu. Święta Wielkanocne się zbliżały. Dzień Wielkiej Soboty lub sa-

mo Wielkie Święto oznaczono jako chwilę najsposobniejszą do powstania. Wszyscy zwierzchnicy znajdowali się w kościele; łatwo też można było opanować arsenał i rozbroić przeciwników. Ruch panował niesłychany. Oficerowie pruscy, huzarzy, adjutanci przybywali z planami, mapami pod pachą, a po widzeniu się z Igelströmem, powracali pocztą. Podróżowanie w tych czasach było bardzo utrudnione, gdyż poczty zatrzymywano i rabowano po drodze. Wielu szlachty bratało i łączyło się z ludem. Igelström blady, poźółkły naradzał się z Ożarowskim, który bynajmniej nie czuł się spokojnym.

Wszystko oznaczało zbliżające się powstanie. Zagadnąłem raz gen. Cichockiego. „Cóż uczynić zamierzasz, generale?“—pytam. „Palnąć sobie w łeb“—odpowiada. „Hola, hola!“—wołam. „Chwila rozwiązania jest bardzo bliska, sam nie wiem, co robić.“ „Istotnie — odpowiadam — położenie pańskie jest bardzo trudne. Jako komendant Warszawy pod nadzorem rosyjskim jesteś pan uważany powszechnie za zdrajcę; a gdy wojsko połączy się z ludem, coż pan uczynisz? Jeśli zaś uważasz się pan za stronnika rosyjskiego, czemu nie uprzedzasz Igelströma o tem, co się dzieje? Czemu nie radzisz mu, aby raczej opuścił miasto i cofnął się na Marymont, gdzie w każdej chwili mogą nadejść posiłki od Prusaków lub wojska, konsystującego w Grodnie? Któż będzie śmiał go zaczepić, gdy będzie stał w otwartem polu z 80-ciu armatami.“

„Proponowano mu to poprzednio — odpowiedział Cichocki — ale propozycję odrzucił; chce bowiem zasłużyć sobie na mizerną chwałę uśmierzciciela powstania, do którego nigdyby nie doszło, gdyby z miasta ustąpił, a przytem jego dama choruje na spazmy i nie chce go puścić od siebie. Zresztą podejrzewam, że jest to plan ułożony z góry, mający na celu wywołanie zamieszania i ostatniego zawładnięcia Polski.“

Hr. Antoni Dzieduszycki i jego siostra, będąca przedmiotem głębokiego afektu Cichockiego, czy to żartem, czy seryo wymogli na nim podpisanie deklaracji, którą nosił głęboko na sercu, że nie przestanie być nigdy dobrym patriotą, choćby mu to przyszło krwią i życiem opłacić. Cichocki wziął tę deklarację na seryo i aby wzruszyć serce swojej kuzynki, a zarazem opinię swoją naprawić, obmyślił następującą kombinację. Przed Igelströmem i hetmanem Ożarowskim zobowiązał się, że odpowiada za całość arsenału w razie powstania, poczem pozostawiono mu całkowitą swobodę działania. Wówczas, ciągle za pozwoleniem hetmana, sprowadził z Kozienic najlepszy pułk ułanów w 600 koni, aby zastąpić dwa szwadrony kawaleryi narodowej, które zostały ode-

słane. Wyrachowanie było takie: Jeżeli rewolucya w Warszawie się uda, jest on w posiadaniu 400 ludzi zbrojnych, 200 artylerzystów i 200 strzelców i takiej ilości broni i amunicyi, jakiejby było potrzeba. Jeżeli rewolucya upada, miał zasługę obronienia arsenału. Pozostawiłem go jego illuzjom, sam zaś zwróciłem się do hr. Dzieduszyckiego, pytając się, co on myśli robić?

Był to dyplomata, który pragnął usunąć się jak najspieszniej od wszelkiej odpowiedzialności i w tym celu najpierw żonę wyprawił do Wielkopolski; wystarał się dla niej o paszport, sam zaś miał cokolwiek później za nią podążyć, licząc przytem na opiekę Prusaków. Podobnej rady i mnie udzielił. Paszport dla mojej żony i dzieci dostałem przez agenta rządu austriackiego; do mnie zaś powiedział: „A ty, Michale, co lubisz wojskowość, armaty i bitwy, zostań tutaj i trzymaj się zawsze partyi silniejszej.“

Zdecydowawszy się na wyprawienie z kraju żony i dzieci, wysłałem służącego pocztą z paszportem i krótkim listem do żony, polecając jej, ażeby wierzyła wszystkiemu, co jej mój służący powie odemnie. Miał jej powiedzieć w krótkości: „Przygotuj się tu rewolucya, weź z sobą konie, powozy, pieniądze, papiery, dzieci i wyjeżdżaj w tej chwili.“ W paszporcie były wyliczone miejscowości, gdzie się miała udać, to jest do Markopolu w Galicyi.

W kilka dni potem wrócił mój służący z wiadomością, że pani, zamiast wyruszyć w drogę z dziećmi, pojechała do swojej matki do Klukowa, że tam się z nią naradzi i potem zajmie się podróżą. Tenże sam służący przywiózł mi listy od oficerów brygady, donoszące, że przybyli tam oficerowie rosyjscy z rozkazami od hetmana Ożarowskiego, aby szwadrony zmniejszać o stu ludzi; białostockich strzelców zredukować do 40 na każdy oddział. Z rozpaczą i żalem rozpoczęto listy redukcyjne układać.

Po odebraniu tych wiadomości, trzeba było się decydować, co zrobić ze swoją osobą. Jeżeli zostawałem w Warszawie, musiałem należeć do powstania, w razie wyjazdu, tam mnie znów czekały nieprzewidziane kłopoty. Na dwa tygodnie najwyżej przed Wielkanocą wyjechałem do Strabli. Tam zastałem moją żonę ogromnie zajętą przygotowaniami do święconego, śpiewaniem wraz z dworskimi ludźmi gorzkich żalów i jak to zaraz na wstępie zauważyłem, obrażoną na mnie. Kiedyśmy nareszcie zostali sami i mogła swobodnie wypowiedzieć swój żal, że jej przez służącego przysłałem rozkaz wyjazdu, zanim miałem czas cokolwiek na to odpowiedzieć, usłyszeliśmy na dziedzińcu tentent koni, szcęk

ostróg i pałaszy, zwiastujący przybycie wojskowych. Był to major Rzewuski z dwoma adjutantami, którzy oznajmili nam, że stanowczo nie myślą rozpuszczać swoich żołnierzy i że rewolucya wybuchła już w Wielkopolsce, gdzie oczekują przybycia Kościuszki. Prosimi mnie przytem, abym udał się zaraz do Bielska, gdzie hr. Ożarowski, syn hetmana, czeka na mnie, ażebym się zdecydował ostatecznie i udzielił nowin z Warszawy.

„A co, moja kochana żono? cóż teraz będzie z podróżą? Gdybyś była dziesięć dni temu wyjechała, byłabyś już przebyła granicę i stała na miejscu, a teraz nie wiadomo, co robić?”

Tymczasem pojechałem do Bielska. Powiada mi Ożarowski: „Moje szwadrony są zdecydowane nie dać się rozbroić. Cóż ja mogę przeciw woli całej brygady? Mój ojciec ogromnie niebezpieczne zajmuje stanowisko w Warszawie. Redukcya rozpoczęła się, ale postępuje bardzo powoli; jednakże generał Cycyanow z kilku tysiącami żołnierzy, jak przyjdzie z Grodna, to może nas zmusić do jej przyspieszenia.”

„Czyż tylko o to chodzi?—powiedziałem—Generał Cycyanow nie ruszy się z Grodna, dopóki rozkazu z Warszawy nie dostanie. Co do mnie, nie jestem za powstaniem, które nie może się dobrze skończyć. Pańskie szwadrony mogą się w danej chwili napowrót sformować, skoro wieść o wybuchu insurekcji nadejdzie, a pan będziesz mógł wówczas z całą dawniejszą brygadą czekać rozkazów i iść w wojennym rynsztunku, tam gdzie spokój będzie zagrożony, a powinność powoła.”

Emisaryusze tej brygady już się porozumieli z batalionem strzelców białostockich, tym samym, co się tak dzielnie odznaczył pod Dubienką, ułożono sobie zawiadomić niezwłocznie urlopowanych żołnierzy, którzy mieli w szeregi powrócić.

Za powrotem z Bielska do domu zastałem tam szczególną jakąś osobistość, ubraną w mundur kawalerski, mówiącą wszystkimi językami. Ów jegomość objeżdżał moje wioski, zwiedzał stajnie i częstował wódką moich ludzi. Przyciśnięty do muru, przyznał się, że jest przysłany przez hetmana Ożarowskiego, aby podpatrzeć moje postępowanie i że w ten sposób wysłano kilku jego towarzyszy w różne strony kraju. Za tę szczerotę zapłaciłem mu sowicie, dostarczyłem koni i powozu, radząc przytem, aby porzucił podły urząd szpiega wśród rodaków. Ten nawrócony szpieg zawiadomił mnie poufnie, że członek Komisyi wojennej, Dąbrowski, wraz z kilku innymi oficerami wyjechali z Warszawy i udali się w rozmaite strony kraju, ażeby stworzyć partyę kontrrewolucyjną. Generał Dąbrowski mianowicie udał się w stronę

Ostrołęki, na granicę pruską, gdzie miał zabrać żołnierzy, uwolnionych z brygady Madalińskiego. Wiadomość ta poruszyła mnie do głębi. Myśl wywołania wojny domowej w pośród samych Polaków była oburzająca.¹⁾

W wielkim tygodniu udałem się znów do Ożarowskiego. Podczas śniadania poczmistrz przyniósł mi w wielkim sekrecie list z Warszawy, adresowany do jakiejś panny w Wilnie i wyprawiony sztafetą zastrzeżoną. Zacząłem żartować sobie z poczmistrza, że go interesują listy do pańien, ale on ogromnie nastawał na otwarcie tego listu, mówiąc, że w nim niezawodnie są wiadomości o rewolucyi w Warszawie, że nieustannie idą sztafety z Wilna do Warszawy i na odwrót, więc w tem coś być musi. Koniec końcem poczmistrz list otworzył. Był pisany atramentem czerwonym, donoszono w nim, że w Warszawie robią się przygotowania do wielkiego balu, że panie zajęte są tualetami, że suknie będą z ogonami; a więc przybierają się do uprzątnięcia ulic, schodów i domów dla zachowania czystości tych świetnych ubiorów; że wyznaczono otwarcie balu na dzień 1-szy Wielkanocy, w końcu, że ten piszący do swej lubej kochanek prosi ją, żeby także sztafetą odpowiedziała i opisała mu zabawy wielkanocne wileńskie.

Nie trzeba było wielkiego sprytu, żeby się domyśleć, że to było prozumienie się rewolucjonistów. Poczmistrz przyniósł księgę podróźnych. Przejeżdżało w tych dniach czterech czy pięciu klubistów, pułkownik Jasiński, także z Warszawy do Wilna, gdzie znajdował się hetman Kossakowski pod opieką Tuczkowa i licznego garnizonu rosyjskiego.

XXXV.

Chwila ta była ogromnie ważna i rozstrzygająca. Zdecydowaliśmy się też ostatecznie. Brygadyer Ożarowski wysłał natychmiast rozkazy do komendantów szwadronów, aby się stawili w oznaczonym miejscu, niedaleko Bielska, na drodze do Brańska; przytem wezwanie do oficerów batalionu strzelców, aby przybyli

¹⁾ To fałszywe doniesienie było powodem następnych nieporozumień Starzeńskiego z Dąbrowskim; wszelkie inwektywy pamiętnikarza, skierowane przeciw wodzowi Legionów są bezpodstawne. O tych nieporozumieniach wspomina Wybicki (Pamiętniki II, 63—66) i Bronisława z Dąbrowskich Mańkowska (Pamiętniki, 33); por. Skalkowski: „J. H. Dąbrowski,“ I, 81, 321.

bez namiotów i niepotrzebnych bagaży. Ułożyliśmy, że mi doniesie o chwili wyjazdu, abyśmy się połączyli.

Co do mnie miałem kilku strzelców na dobrych koniach, dobrze ubranych, byli to ludzie całym sercem mi oddani. W Wielką Sobotę o świcie dano mi znać, że brygada rozpoczęła pochód w nocy w stronę Brańska i że brygadyer mnie oczekiwał. Pożegnałem się z moją żoną, której radziłem, aby nic nie chowała, z wyjątkiem srebra i moich papierów, aby rozdała chłopom zboże, bydło, a sobie zapewniła mieszkanie w Białymstoku i tam przeprowadziła się z dziećmi. Zabroniłem zamykać na klucz zamki, tylko klucze miały być w zamkach na swoim miejscu. Wydawszy te rozporządzenia, puściłem się w stronę Brańska.

Spichlerze moje obfitowały w zapasy żywności, paszy i napitków. Dwanaście szwadronów kawaleryi liczyło około 2,000 koni, batalion strzelców miał 600 koni. Ażeby oszczędzić włościan, kazałem sweni furmankami przewieźć żywność, siano, napitki, oraz ofiarowałem 16 wołów tucznych. Dla panów oficerów było wino i piwo angielskie. Nie potrzebuję mówić, że wszystko to przyjęto z wdzięcznością.

Kompania strzelców przeszła Narew pod Strabłą, zabrawszy 6 moich armatek drezdeńskich; były to modele nowych saskich armat, które hr. Brühl ofiarował mi przy sprzedaży Mtocin. Były to sztuki małego kalibru o kulach funtowych, doskonale zrobione, podług których przerabiano działa naszej artyleryi.

O czwartej po południu byliśmy w Brańsku—obóz rozłożył się w porządku pod miastem, czas był cudowny. Siedziałem przed pocztą, paląc fajkę i myśląc o przeszłości i przyszłości, kiedy nagle zajeżdża z wielkiem trąbieniem i hałasem ekstrapocztą i wysiada jakiś oficer ogromnie wystrojony i wyelegantowany. Już widziano go, jak się zatrzymał koło naszego obozu, jak wysiadł i rozmawiał z dwoma oficerami. Pytał się ich, gdzie się znajduje brygadyer Ożarowski, powiedziano mu, że na poczcie, więc tu przybył. Skoro się stawił przed Ożarowskim, ten zapytał go: skąd i po co jedzie? czy ma rozkaz jaki, paszport czy list? Młody elegant się zmieszał. Brygadyer rzekł do niego: „W każdym razie uprzedzam pana, że jesteś aresztowany, a teraz mów, skąd przybywasz?”

Zaczął się tłumaczyć, że jego komendant, generał Dąbrowski, zrobił umowę z Prusakami zawieszenia kroków zaczepnych na przeciąg kilku dni dla wspólnej wymiany jeńców, że Prusacy budują na Narwi most dla przeprowadzenia kolumny swoich wojsk. Ze generał Dąbrowski, nie mając dostatecznych sił do przeszk-

dzenia temu, cofa się i jest ścigany przez kawalerię pruską, że on opuścił generała Dąbrowskiego na ostatniej stacyi pocztowej, o czem w każdej chwili przekonać się można.

„Wszystko to dobrze—mówił Ożarowski—ale jakim sposobem mógł wiedzieć generał Dąbrowski, gdzie ja się znajduję? Jeżeli jest ścigany przez Prusaków, to byłby do mnie choć parę słów napisał.“

W rzeczy samej generał Dąbrowski przychylił się do żądania króla, ażeby stworzyć jądro kontr-rewolucyi. Zgromadziwszy około 400 konnych kawalerzystów z resztek brygady Madalińskiego, szedł z nimi przez Brańsk do Bielska, ażeby się złączyć z Ożarowskim i do swoich celów go namówić.

Zaledwie oficer skończył swoje opowiadanie, wpada znów bryczka z samym generałem Dąbrowskim, który wyskakując z niej rzuca się Ożarowskiemu na szyję i w krótkich słowach opowiada tę samą historję o ścigających go Prusakach. Prosi więc o pomoc czterech szwadronów, z którymi się złączywszy, odpowiada za wszystko.

Znałem generała Dąbrowskiego od dawna i miałem nawet kilka razy sposobność oddać mu dosyć znaczne przysługi, ale nie sympatyzowaliśmy ze sobą. To też, gdy wychodząc od Ożarowskiego spotkał się ze mną oko w oko, zmieszał się niezmiernie, gdyż poznał zaraz, że ja wiem, o co mu chodzi właściwie. Na słowa, w których wyrażałem zdziwienie dla jego postępowania, Dąbrowski wybuchnął:

„Gdyby nie pańska obecność tutaj, miałbym już swoją partję, a muszę ją mieć koniecznie.“

„Nie należę do żadnej partyi — odrzekłem — wolę śmierć od kuli lub szabli, aniżeli od batogów w Strabli. Idę za oddziałem. Proszę podpisać deklaracyę, że nie będę w Warszawie ani powieszony, ani czci pozbawiony, a po zdjęciu munduru udam się, gdzie pan zechcesz.“

Dąbrowski odjechał nazajutrz. Adjutantowi jego zwrócono przytrzymany pałasz. Ożarowski pozostawił na swoich tyłach dla zabezpieczenia pochodu dwa szwadrony z kompanią piechoty i dwoma działami, a sami wyruszyliśmy z całym oddziałem ku Warszawie. Forpoczty nasze dosięgły wkrótce Grannego nad Bugiem, gdzie zajęły się przygotowaniem promów i łodzi dla przeprawy przez rzekę naszego taboru; następnie zagarnęły znaczne zapasy żywności, znajdujące się w tamtejszym spichlerzu, przy czem wzięły do niewoli 40 strzelców rosyjskich, którzy niespodziewając się napadu, spokojnie spali. Rozbrojono ich tymczasowo.

Oficera zaś polecił Ożarowski puścić swobodnie, oddawszy mu jego broń, rzeczy i konie, radził mu jednak nie oddalać się od brygady, mógł bowiem wpaść w większe niebezpieczeństwo. Zao-
patrzywszy się z magazynu w potrzebniejsze prowianty, zostawili-
śmy resztę dla Dąbrowskiego, który szedł za nami. Przedostaw-
szy się szczęśliwie na drugą stronę rzeki, pościągaliśmy na brzeg
promy i łodzie. Kiedyśmy tem byli zajęci, patrzymy, że nadciąga
Dąbrowski ze swoim oddziałem i że oddział ten rozciąga się
wzdłuż brzegu Buga. Nie wiedzieliśmy, co to znaczy. Wkrótce
jednak przysyła łódką oficera, który, powtórzywszy jeszcze histo-
ryę o ścigających Prusakach, prosi o odesłanie promów i łodzi
Dąbrowskiemu, oraz przyjęcie go do kompanii. Ożarowski raz
jeszcze odmówił, ale promy i łodzie odesłał. We dwie godziny
po nas przeprawili się i oni także przez rzekę.

Przez Liwiec przeszliśmy pod Węgrowem po moście. Wśród
konnicy, przechodzącej w największym porządku, zaplątał się
pocztylion, poganiający trzy zmęczone i ledwo żywe szkapiny.
Na moście zaczęło się robić zamieszanie. Major Rzewuski roz-
gniewany, kazał pocztylionowi jechać wolno. W powozie spo-
strzegliśmy wówczas podróżnego we wstędze i dekoracyach, które
dziwnie nie licowały z przerażoną fizyognomią jadącego dygnita-
rza; na koźle siedział huzar, przebrany za lokaja w liberyi. Gdy
po przebyciu mostu kolumna formowała się na brzegu, a oficero-
wie spożywali śniadanie, zauważono, że ów podróżny, nie tracąc
czasu, drze jakieś papiery w drobne kawałeczki, a niektóre kła-
dzie do ust i połyka.

Kilku oficerów zbliżyło się do niego i zapytało skąd i do-
kąd jedzie? Zmieszany, z pełnemi papierów ustami, nie mógł
odpowiedzieć; oznajmiono mu w bardzo zresztą uprzejmy sposób,
że mu nie pozwolą ani jechać dalej, ani się wrócić na powrót.
Rozebrano go i zrewidowano, z tej rewizyi pokazało się, że była
to osobistość, nosząca piękne nazwisko, ale używająca bardzo
złej opinii i niejednokrotnie karana przez policję warszawską.
Tym razem powracał, jako szpieg, z Litwy. Aby więcej do jego
historii nie wracać, dodam tylko, że w kilka dni później powie-
szono go w Warszawie.

Węgrów oddalony jest od Warszawy o mil dwanaście. Dro-
ga prowadziła ciągle lasami, w których można było co krok
wpaść w zasadzkę; to też postępowaliśmy wolno i ostrożnie.
Przez dwa ostatnie dni dawał się słyszeć huk armat od strony
Warszawy.

W każdej chwili mogliśmy napotkać cofających się Rosyan lub Prusaków. Uradziliśmy, że zatrzymamy się w Makowcu, skąd wyślemy do Warszawy po wiadomości. W Makowcu na poczcie dowiedzieliśmy się, że rewolucya była w całej pełni. Pocztylion, który wiozł podróznego do Warszawy, z Pragi konno uciekł. Rosyanie i Prusacy cofnęli się w stronę Pułtuska. Zaledwie wysłuchaliśmy tych wieści, gdy widzimy dwóch oficerów, przybywających od Warszawy z nadzwyczajnym pśpiechem; wiozą oni rozkazy od Mokronowskiego, komendanta wojsk i miasta Warszawy, datowane z poniedziałku świąt Wielkanocnych, do wojsk, konsystujących w Bielsku i Brańsku.

Ożarowski przekonał się, że dobrze uczynił, słuchając moich rad, idąc sam naprzeciw rozkazów.

Oficerowie w tej chwili powrócili z raportem do Warszawy, odkąd oddzielało nas jeszcze dwa dni drogi. Generał Dąbrowski, z którym porozumieliśmy się w końcu, jechał jednocześnie z nami. Trzymając się naszej prawej strony, napotkał podwoły pułku piechoty Kasztolińskiego. Eskorta kozacka i 30-tu żołnierzy poddało się Ożarowskiemu, resztę ludzi wraz z wozami i łomokami zabrał Dąbrowski i przyprowadził na Pragę.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć tu o moim sąsiedzie, Karwowskim. Ojciec jego był to zamożny dosyć obywatel, osiadły niedaleko Strabli. Syn służył w strzelcach, gdzie doszedł do stopnia pułkownika. Miał wiele odwagi osobistej, ale powierzchowność bardzo nie odpowiadała dzielności duszy. To też za namową ojca podał się do dymisy i otrzymał od króla nominację na generała ziemiańskiego, w początkach Sejmu Wielkiego. Jako taki, zobowiązał się utworzyć swoim kosztem pułk ochotników. Fundusze osobiste, na ten cel przeznaczone, znacznie powiększone zostały przez zebrane z dobrowolnych kontrybucyi ofiary obywateli powiatu. Gdy król przystąpił do Targowicy w r. 1792, nie chciał już nosić swego munduru i pełnić nadal przyjętych obowiązków, ale nie oddał, a raczej jeden z jego oficerów, któremu były powierzone, nie zwrócił pieniędzy z dobrowolnych kontrybucyi powiatu bielskiego. W 1794 r. był wciągnięty do rewolucyi i posłał swojego agenta do Krakowa; jego oferty tam były przychylnie przyjęte i przysłano mu nominację na generał-majora oraz polecono zrobić powstanie powiatu bielskiego.

Ten to generał przyłączył się do naszej kompanii, jechał powozem i chciał koniecznie nakłonić mnie, ażebyśmy wspólnie sformowali oddział. Ale nasze warunki nie były równe. On był bez grosza, ja miałem pieniądze i kredyt; przytem miewał prze-

mowy ognisto-rewolucyjne do naszych żołnierzy, których chciał nakłonić do złożenia przysięgi.

— Panie Karwowski—rzekłem mu—błędnie pan zapatrujesz się na rzeczy; rewolucję zrobili lud i mieszczenie, wojsko zaś musi być posłuszne rozkazom swoich wodzów. Możesz pan jechać za brygadą do Warszawy, a tam uczynisz pan, co uznasz za stosowne.

XXXVI.

Nakoniec przybyliśmy na Pragę. Straszny widok nam się przedstawił. Setki trupów pływało po powierzchni rzeki, zaczepiając o statki. Tłumy ludzi chciały przedostać się na drugi brzeg. Wisła przybrała; przygotowano już do przewożenia ze czterdzieści statków; przewoźnicy i niektórzy mieszczenie dziwacznie byli postrojeni, jedni za oficerów, drudzy w mundurach rosyjskich, w kaszkietach z pióropuszcami, czapach grenadyerskich. Przy wylądowaniu na warszawskiej stronie było gorzej jeszcze. Brzegi Wisły i wszystkie szynki przepełnione były wojskowymi polskimi, gwardyą królewską, żołnierzami z regimentu Działyńskiego, ułanami w większej części pijanymi. Przyjęto nas kilku wystrzałami w górę.

Skoro brygada już całkowicie się przeprawiła, a nota bene wszyscy przybrali paradne mundury, rozwinęła się w szeregach na Krakowskim Przedmieściu; batalion strzelców na prawem skrzydle. Generał Mokronowski, komendant miasta, zrobił przegląd wszystkich linii i wydał rozporządzenia. Moich szesnastu strzelców, których w ciągu drogi wyekwipowałem, eskortowało w drodze spotkane dwa ciężkie powozy, idące z Petersburga, a w których jechało pięciu oficerów i trzy prywatne osoby—prosilili oni sami, żeby im pozwolić jechać przy oddziale pod naszą opieką. Położono najpierw pieczęcie na ich kufrach, szkatułach i łomokach, ale za mojem wstawieniem oddano im wszystko w porządku.

Ożarowski przyprowadził swój oddział w samą porę, w trzy dni po rewolucyi. Generał Mokronowski miał tylko swoich oficerów i uzbrojone mieszczaństwo dla obrony miasta. Żołnierze miejskiej załogi, obłowieni rabunkiem, byli w strasznym rozprężeniu. Lękano się w mieście powrotu wojsk rosyjskich i pruskich. Można sobie wyobrazić, że zasługa takiego pośpiesznego stawienia się w stolicy była należycie ocenioną. Batalion strzel-

ców zajął straż na zamku, a gwardziści na Krakowskim Przedmieściu; im także powierzono więźniów wojennych. Kawaleryę rozdzielono na kilka oddziałów i polecono rozdawnictwo mieszczanom broni, pałaszów i tornistrów. W ciągu trzech dni wszystko było zreorganizowane i można było pomyśleć o środkach wojennych.

Generał Dąbrowski w kilka godzin po nas przybył ze swoim oddziałem; wszedł do miasta z poczem czterystu porządnie uzbrojonych i umontowanych kawalerzystów z muzyką na czele, przyprowadził ze dwudziestu jeńców i ze 200 wozów z butami, odzieżą i żywnością, zabranych Rosyanom.

Moich strzelców z bagażami odesłałem do własnej stajni, sam zająłem dawne swoje mieszkanie i poszedłem na obiad do krewnego mojego, pana Antoniego Dzieduszyckiego, który wraz z dwiema kuzynkami bardzo mi byli radzi. Jedna z tych kuzynek, Justyna, zabrawszy z mej stajni bardzo dobrego konia, ubrana jak amazonka, w ciągu trzech dni rewolucyi jeździła ciągle po ulicach, była i widziała wszystko. Pan Antoni nie mógł, tak jak chciał, wyjechać, byłem więc przez nią wtajemniczony najdokładniej w cały przebieg wypadków i wniosków co do przyszłości...¹⁾

W kilka dni po przybyciu naszym do Warszawy Mokronowski rzekł do mnie: „Komunikacya z Krakowem jest przecięta. Wiem, że Kościuszcze nieźle tam się powodzi—odniósł zwycięstwo pod Racławicami. Co się tyczy pana, zamiast na czele szwadronu pełnić służbę kawalerzysty, lepiej wracaj w swoje strony, a korzystając ze środków, jakie posiadasz, zajmij się uformowaniem batalionu liniowego. W ten sposób zasłużysz się najlepiej Ojczyźnie.“

Poprzednie moje stosunki z oficerami brygady strzelców były mi ogromnie użyteczne. Z powodu pośpiechu przy wyruszeniu do Warszawy pozostawiali namioty, naczynia i trochę broni zapasowej na zimowych kwaterach w okolicy Białegostoku. Byli uszczęśliwieni, dowiedziawszy się, że wracam tam dla sformowania nowego batalionu strzelców. W 1789 r. każda kompania składała się z 40 żołnierzy. W początkach 1792 r. udzielono

¹⁾ W dalszym ciągu Starzeński opowiada o jednym jeszcze błahym zatargu z oficerami Dąbrowskiego; wkrótce potem nastąpiło pogodzenie pamiętnikarza z generałem, który niebawem udał się do Wielkopolski; o jego działalności tamże wyraża się Starzeński z uznaniem.

urlopu tym, którzy go zapragnęli, a z czasem uwolniono i resztę. Otrzymałem listę tych ostatnich i wskazówki miejsc ich zamieszkania. Ich broń z fabryki królewskiej w Kozienicach ukryta była w Warszawie. Zrobiłem umowę z Danglem ¹⁾ o dostawę skór na siodła i zaprzęgi, kupiłem znaczną ilość sukna i, zabrawszy to wszystko, puściłem się w drogę do domu z niewielką eskortą. Mój rewolucyjny generał Karwowski znów się do mnie przyczepił. On także porobił pewne zakupy i starał się werbować ochotników w Warszawie. Trzeba się było wystarać o paszport. Ówczesny prezydent miasta, Zakrzewski, wraz z całym komitetem municypalnym w ponsowych wstęgach, znali mnie dawniej, więc paszport bez trudności wydali; było to w czasie, kiedy rozpoczynały się sądy doraźne nad tymi, którzy stać się mieli ofiarami rewolucyi. Paszport, który mi wydano, zawierał pozwolenie przejazdu przez wszystkie roгатki dla całego mego orszaku.

Dwóch dzielnych krawców, którzy na tę chwilę pełnili obowiązki komendantów wojskowych armii municypalnej i sławny jeden szewc, Kiliński, który śliczne wyrabiał dla dam obuwie, wyprowadzili mnie z ratusza, przed którym zrobiło się zbiegowisko gawiedzi naokoło mojego prześlicznego karego konia i gromadki moich strzelców. W tej samej chwili przyprowadzano tam rozmaite osobistości, niektóre mi znane, z poszarpanem ubraniem, bez czapek, i pakowano do aresztu.

Strzelców moich tymczasem w dziedzińcu ratuszowym częstowano wódką, którą wypijali na cześć rewolucyi, mnie także podano szklanekę pełną, którą wychyliłem, wołając: „niech żyje naród“—i wyruszyliśmy w drogę— miałem takie wrażenie, jakby mnie kto z klatki na wolność wypuścił.

XXXVII.

Wyjeżdżając z Warszawy, zabrałem ze sobą pewną osobistość zupełnie oddaną królowi, zresztą bardzo ucziwego człowieka, któremu nie chciano wydać paszportu, był więc jak na szpilkach. Przejechawszy roгатki, odetchnąłem i ja swobodniej. Bez żadnego wypadku dojechaliśmy do Węgrowa i przebyliśmy Li-

¹⁾ Znany w końcu XVIII wieku w Warszawie siodlarz i fabrykant powozów.

wiec. Kiedyśmy się zbliżali do Bugu, dano nam znać, że w niedalekim lasku jest kilku kozaków i żołnierzy, którzy przejeżdżających rabują. Generał Karwowski jechał inną drogą. Nagle widzę, jak on i jego ludzie pędzą ku nam, jakby ich kto gonił. Istotnie dojrzeli w lesie kilkunastu żołnierzy, więc poczęli umykać. Zatrzymałem ich i radziłem, ażeby mieli broń nabitą. Ponieważ nikt się nie zjawił, ażeby napadać na nas, więc ruszyliśmy w dalszą drogę.

Przybywszy do Bielska, obrałem sobie za punkt zamieszkania Hołowiejsk. Nie tracąc ani chwili czasu, porozsyłałem listy i ludzi na wszystkie strony. Zaraz też zaczęto mi zwozić ze wszystkich stron broń, fuzye rozmaitego kalibru, pałasze, płótno, konie, wozy, namioty, rozmaite potrzebne narzędzia. Ze starostwa bielskiego chłopci, których wyzwoliłem, ułatwiali mi najwięcej utworzenie batalionu, gdyż przyprowadzili przeszło 120 strzelców z rozpuszczonych poprzednio batalionów i kilkudziesięciu młodych synów gospodarskich.

W czasie mojej niebytności zawiązał się w Bielsku komitet rewolucyjny, w którym prezydował sąsiad mój, biskup Sinopoliński (ks. Jan Gołaszewski, *p. w.*) i wielu szlachty powiatowej. Biskup, skoro mnie zobaczył, skrzywił się ogromnie, bo mu stanęły na myśli nasze spory graniczne, ale rzekłem do niego: „Księżę biskupie, niech będzie między nami na teraz zgoda — jak się skończy rewolucya, możemy wówczas wrócić do naszych sporów granicznych.“ No i pogodziliśmy się tymczasowo.

Komitet rewolucyjny zajmował się obecnie ściąganiem przymusowem rekrutów. Przyprawiano ich skrępowanych powrozami, jak zbrodniarzy. Generał Karwowski pakował ich w tym stanie, gdzie mógł, nie miał on ani domów pustych do ich ulokowania jako tako, ani oficerów, żeby się nimi zajęli. Żywność, dla nich zgromadzona, zamokła od deszczów — była tam jednym słowem dezorganizacya najokropniejsza. Moja główna kwatera w Hołowiejsku przedstawiała się bardzo pokaźnie. Miałem pięciu oficerów regimentu strzelców, kilku starych doboszów i 200 strzelców, którzy odbyli kampanię 1792 r. W miarę, jak przybywało jakich dwudziestu nowych rekrutów, ubierano ich, ćwiczone w służbie szeregowej i wyprawiano do jednej z 4 kompanii. Moje woły tuczone szły pod nóż na zaspokojenie naszych żołądków. Niewielki magazyn był dobrze napełniony chlebem, kaszą, solą, słoniną, gorący krupnik czekał zawsze w oznaczonych godzinach, jak w obozie.

Wkrótce więc miałem 700 gotowych strzelców pieszych i 60 strzelców konnych.

Jednej niedzieli żona moja przyjechała wraz z dziećmi, ażeby mnie odwiedzić. Ułożyłem cały program przyjęcia, bo chciałem ich trochę zabawić, a przyjacielom i sąsiadom chciałem także pokazać, w jaki sposób użytkowałem przysłane mi materiały. Urządzono podniesioną platformę, przybył szanowny i kochany nasz proboszcz ze Strabli, miał mszę św., której wszyscyśmy wysłuchali, a potem bardzo piękną i serdeczną przemowę, nowozaciężni żołnierze złożyli przysięgę, a potem był ogólny obiad.

Generał Karwowski wraz ze swoim sztabem, złożonym z panów adwokatów, widząc to, nie mogli ukryć zazdrości, która ich przejmowała na widok ładu i porządku, jaki tu panował. Utrzymanie w korbach posłuszeństwa tak różnorodnych żywiołów, z jakich się składał oddział Karwowskiego, nie było rzeczą łatwą. Na jego prośby posłałem mu doświadczonego oficera i 40 ludzi, aby utworzyć straż w mieście; wypadki bowiem dezertowania z jego oddziału były nader częste — dziennie około dwudziestu ludzi zmykało w pole — pozostali knuli spiski, zamierzali spalić miasto i pójść bandą na wojnę. Było tam około 4,000, którym przewodziło sześciu oficerów. Zwróciłem też uwagę generałowi na niedostateczne pożywienie oraz brak opieki nad chorymi. Była to jednak z mej strony wielka nieostrożność, jak się to później pokazało.

Przyszedł w tym czasie rozkaz od Mokronowskiego dostarczenia najlepszych rekrutów dla dopełnienia pułków, oraz rozporządzenie, w jaki sposób mają być dostawieni pod eskortą. Komitet rewolucyjny otrzymał osobną o tem instrukcję. Proszono mnie, choć nie należałem do komitetu, o dostarczenie eskorty i podjęcia się transportu. Dałem się nakłonić i podjąłem się tego dość trudnego obowiązku. Oddano mi 1,700 ludzi najlepszych, ale bez grosza przy duszy i bez żadnych zapasów; ci ohotnie garnęli się pod moje dowództwo. Wyszukowano dla nich wieczerzę w moim obozie, gdzie się chętnie stawili. Tu oficerowie zaczęli od tego, że oddzielili szlachtę, której okazało się około trzystu. Z tych utworzono trzy szwadrony, resztę podzielono na cztery kompanie, eskortę uzbrojoną umieściłem w przerwach pomiędzy szwadronami i kompaniami. Trzydziestu strzelców pilnowało szlachty. Po wieczerzy wszyscy pograżyli się w głębokim śnie. W ciągu nocy ułożyliśmy listę; rano, gdy zakomenderowano do apelu, nie brakowało ani jednego.

Byłbym gorąco pragnął, aby przedstawiciele trzech mocarstw sąsiednich widzieli ten pochód wolontaryuszów i przypatrzyli się charakterowi czysto polskiemu, którym się odznaczał. Byliby się może wyrzekli wielu uprzedzeń, jakie żywią przeciw naszemu narodowi. Łatwo pojąć, że żołnierz jakiegokolwiek narodowości, choćby był tchórzem, spełni jednak swój obowiązek w dniu bitwy, dzięki energicznej organizacyi wojskowej. Wiadomo również, że 100,000 rekrutów można przeprowadzić etapami przez kraj najeżony fortcami, miastami i wsiami, nie odstąpiwszy na włos od zamierzonego planu. Ale tylko w Polsce spotkać się można z podobną odwagą, dzielnością i poświęceniem rekrutów. Tysiąc siedemset ludzi, wyrwanych gwałtem z łona rodziny, szło pod lichą eskortą strzelców, zaledwie od czterech tygodni tę godność piastujących, a szli, śpiewając, tańcząc i płatając sobie tysiące niewinnych figlów, skoro im na to pozwolono, i stawiając się na każde zawołanie małego dobosza, który, gdy był zmęczony, siadał za mną na moim koniu; zresztą żadnych skarg, żadnego marudera ani deztertera wśród drogi, przeważnie lasami idącej, nie było. Przytem ślepo posłuszni moim oficerom, którzy z każdej chwili i miejscowości korzystali, aby wykonywać z nimi ćwiczenia, ustawiać kolumny i czworoboki. Na drodze życzliwi mieszkańcy wsi i miast, Żydzi nawet, dostarczali żywności, nie chcąc przyjąć żadnej zapłaty. W ten sposób w ciągu sześciu dni dojechaliśmy do Warszawy. O pół mili przed Pragę, rekruci sami z własnej ochoty prosili, aby im pozwolono umundurować się wedle możliwości. Poucinali w tym celu kije równej długości, naśladowujące strzelby piechoty; 300 szlachty pałki takie wyrobili w kształcie szabel, każdy miał dwa żupany i pasy czarne, niebieskie lub szare, czapki baranie i białe szarawary. Na wzór żołnierzy, pozwijali zapasowe ubranie w wałki i poprzewieszali przez plecy. Pasy spięte od ramienia do boku naśladowały nieobecne ładownice, a na czapkach powiewały wspaniałe kity z dębowych gałązek.

Wysłałem oficera do Mokronowskiego, prosząc o rozkazy dotyczące się wejścia rekrutów do miasta. Oficer wrócił z adjutantem; w odpowiedzi kazano nam iść na Pragę, ustawić się na placu targowym i czekać przybycia generała. Tak się też stało. Wkrótce nadjechał Mokronowski ze świtą, za nim postępowała muzyka pułkowa. Przy odgłosie dwustu trąb oddział przeszedł most i uformował się przed pałacem Brühlowskim, gdzie była kwatera komendanta miasta; 300 szlachty weszło w podwórze. Mokronowski oraz panowie pułkownicy byli nadzwyczaj zadowoleni. Zastrzegłem sobie przyrzeczoną przezemnie rekrutom swo-

bodę wyboru broni. Trzystu panów szlachty obrało sobie kawalerję, reszta zaś piechotę i artylerję. W ciągu tygodnia cały mój oddział stopniał i rozplynał się w wojsku warszawskiem. Pułkownicy podzielili tych ludzi między siebie i każdy zabrał swoją część rekrutów. Przybył ten oddział bardzo w porę.

Kościuszko po zwycięskiej bitwie pod Racławicami udał się do Wielkopolski. Pod Szczekocinami spotkał się z armią pruską. Bez żadnego wahania uderzył na pierwszą linię nieprzyjacielską. Całe nieliczne wojsko polskie oburzone było zdradą Prusaków. To też rzuciło się na nich, jak wściekłe, padło wielu dzielnych oficerów i doskonałych żołnierzy. Połowa oddziału Kościuszki składała się z chłopów uzbrojonych w kosy, nie byli oni wcale przygotowani do stawienia czoła wyćwiczonej regularnej armii, dlatego też w zetknięciu z taką armią musiały być straty, ale dzięki obrotności Kościuszki były mniejsze niż się można była obawiać — cofnął się w największym porządku i stanął pod Przybyszowem.

Armią pruską dowodził osobiście król pruski, mając przy boku do pomocy syna; było wielkie prawdopodobieństwo, że pójdą na Warszawę. Trzeba więc było myśleć o obronie: uformować korpus do strzeżenia wałów, baterji, redut; dokompletować regimenty, stojące w mieście — przydali się bardzo moi rekruci, to też okazywano i mnie i mojej eskorcie, złożonej z 200 żołnierzy i 30 strzelców, wdzięczność serdeczną.

XXXVIII.

Cała Warszawa była w ogromnym ruchu. Tysiące mieszczan, służących, wyrobników, żołnierzy, księży, zakonników, kobiet prostych i dam eleganckich szło gromadami wielkimi ze śpiewami i chorągwiami na okopy za miasto do sypania wałów. Namówiono mnie, więc i ja, zabrawszy moich 30 strzelców, zaopatrzonych w rydło, pospieszyłem tam także. Pracowaliśmy razem z drugimi aż do wieczora, co w otaczających prawdziwe uwielbienie wzbudziło, tak, że kiedyśmy wracali, otaczał mnie tłum nowych przyjaciół, którzy mnie odprowadzili aż do ratusza. Przed ratuszem stały jeszcze szubienice, na których powieszono hetmana Ożarowskiego, biskupa Massalskiego, Ankwicza, Zabiełłę i innych.

Generał Mokronowski rozkazał mi zostawić mu swoich 200 ludzi z eskorty, wracać do Bielska i przyprowadzić jaknajśpieszniej resztę mojego batalionu z 500 ludzi złożonego i jeszcze, ile będzie można, strzelców konnych, wydając mi to rozporządzenie,

dodał jeszcze, że generał Kościuszko już jest uwiadomiony o sformowaniu przeze mnie tego batalionu. Kazał mi wydać broń, amunicję, 8 armat i 5 furgonów. Armaty miały być dla Karwowskiego, który z pomocą Ossolińskich sformował trzy bataliony piechoty i kilka szwadronów kawaleryi.¹⁾

Zabrawszy cały transport, udałem się do Bielska, gdzie znalazłem batalion w największym porządku. W chwili, kiedy miałem razem z nim maszerować ku Warszawie, oficerowie wysłali do mnie z petycją kapitana Cetysa, pełniącego obowiązki majora. Ten oświadczył mi, że wszyscy czują się bardzo uradowani i szczęśliwi, że są pod moją komendą, ale że przykrem jest ich położenie względem oficerów Karwowskiego, gdyż tamci mają formalne patenty oficerskie. Wytłómaczyłem im, że patenty dla pułków wolnych, wydane *in blanco* przez Kościuszkę dla oficerów Karwowskiego, nie mają wielkiej wartości; batalion mój miał być włączony do regularnego piątego pułku strzelców. Obiecałem jednak, że się udam do Przybyszewa, do obozu Kościuszki i wyjednam dla wszystkich patenty; wierzyłem bowiem w prawość Cetysa i nie przypuszczałem, że się pod całą tą sprawą ukrywają podstęp i cudze intrygi.

Major był to człowiek dobry, uczciwy, ale całkiem zawojowany przez żonę; szwagier jego, a brat pani Cetysowej, był pomocnikiem Karwowskiego. Pani Cetysowa zapragnęła koniecznie zrobić go pułkownikiem mojego batalionu. Pocziwy Cetys sądził, że ambicya moja sięga do stanowiska generał-majora. Uknuto też potajemnie spisek, ażeby złożyć fałszywy raport. Karwowski posyłał swoje raporty Kościuszce i przedstawiał oddział złożony z 700 strzelców jako regiment. Mój raport do Mokronowskiego wysłany był z 5 batalionu do regimentu strzelców.

Wybrałem się z jednym oficerem i jednym ordynansem do Przybyszewa. W drodze spotkałem kuryera Karwowskiego, który stamtąd wracał. Przestrzegł mnie, żebym się miał na ostrożności, aby mnie kozacy, którzy się tam uwijają, nie złapali. Patrole polskie także wokoło obozu czuwają. Dojechałem do głównego sztabu. Generał Kościuszko zajęty był przeformowaniem swoich oddziałów piechoty, wliczaniem pomiędzy dawniejszych, już wyćwiczonych, nowego rekruta, którego mu ze wszystkich stron dosyłało. Musztrował przytem kawaleryą ze zwykłą sobie gorliwością. Zmuszony byłem mu towarzyszyć. Po dawnej znajomości

¹⁾ O formowaniu oddziałów przez Starzeńskiego i Karwowskiego na Podlasiu por. Korzon: „Wewnętrzne dzieje,” t. VI, 148, *passim*.

serdecznie mnie uściskał. Mój towarzysz, oficer Piotrowski, był mu także oddawna znany i posiadał całkowite jego zaufanie. Przedstawiłem listę swoich oficerów; znał ich wszystkich. Kazał zaraz wyszykować nominacye i rzekł do mnie: „A pan wracaj natychmiast, za 24 godzin jużby trzeba dodać panu konwój dla bezpieczeństwa. Ale proszę bardzo, abyś pan wracał na Warszawę i oddał Komitetowi Rady te depesze, które są niezmiernej wagi. Zresztą słuchaj we wszystkim Mokronowskiego.“

Więc też wracam, a raczej jadę jako kurjer do Warszawy, zajeżdżam przed pałac Rady Rewolucyjnej; melduję się, że wiozę depesze, wprowadzają natychmiast i czytają.

Miałem sposobność obserwować z boku różne wrażenia, jakie przywiezione pismo na twarzach szanownego zgromadzenia wywołuje. W zgromadzeniu prezyduje hr. Ignacy Potocki (nasz książę Orleański), Kołłątaj jako kanclerz (polski Robespierre) i wielu innych.

Dowiedziałem się później, że moje depesze ogromnie wszystkich poruszyły. Główny wódz Kościuszko mówił tam, że niepochwala i wyrzeka się odpowiedzialności za wszystkie wieszania, więzienia i gwałty, naśladujące rewolucyę francuską. Grozi w razie potrzeby kontrawencyą. Mówi, że przedewszystkiem trzeba się starać o wzmocnienie siły wojskowej narodu, ażeby stawić opór zbliżającej się armii pruskiej pod wodzą samego króla, a złożonej z 40,000 wojska; że on sam nie da rady siły tej wstrzymać, że trzeba wzmacniać na gwałt fortyfikacye etc. etc.

Z wyjątkiem hr. Ignacego Potockiego, który przy wielkiej rozrzutności, z której korzystali otaczający go intryganci, cała ta wielka Rada myślała tylko o swoich interesach. Kołłątaj stał na czele partyi zagorzalców i sekciarzy rewolucyi francuskiej. To on wydawał rozkazy wieszania swoich osobistych nieprzyjaciół, mordowania jeńców rosyjskich i Bóg wie, co by jeszcze wymyślił, gdyby władza długo w jego ręku była.

Po przeczytaniu depesz hr. Ignacy Potocki pytał mnie jeszcze o bliższe szczegóły o Kościuszcze. Odpowiedziałem, że Naczelnik miewa się doskonale, że jest pełen najlepszych nadziei. Widziałem, że Kołłątaj był okropnie niezadowolony z depesz.

Wieczorem udałem się w drogę do Bielska, ażeby moim oficerom wręczyć patenty.

Nad ranem stanąłem na pagórku, skąd można było widzieć Bielsk i Hołowiejsk. Pierwsza rzecz, która mnie zadziwiła, że nie było widać ognia ani w obozie Karwowskiego, ani wśród namiotów mojego batalionu. Milczenie i cisza panowały wszędzie.

Przyjeżdżamy nakoniec na miejsce i proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdym nie znalazł nikogo, oprócz mego służącego, który zdołał schować i zabezpieczyć moje pieniądze. Pięciuset ludzi, 12 strzelców konnych, broń, amunicję, wszystko od trzech dni zabrano. Pokazało się, że generał Karwowski, otrzymawszy od naczelnego wodza pochwałę, podziękowania i plikę patentów *in blanco*, korzystał z mojej nieobecności, polecił wpisać na nich imiona moich oficerów, mianował majora Cetysa pułkownikiem, następnie odczytał głośno rzeczywisty rozkaz Kościuszki marszu na Szczuczyn, którądy Prusacy mogli wejść do Mazowsza i następnie kierować się ku Pradze. Korpus Karwowskiego liczył najwyżej 4,000 ludzi, a mój batalion stanowił jego część najzdolniejszą. Na szczęście pozostawiono mi ze czterdziestu ludzi, którzy podali się za chorych, ażeby mnie nie opuścić, dwudziestu konnych strzelców i dwóch oficerów, oraz konie wierzchowe pod opieką weterynarza Prausa, który bynajmniej nie pragnął widoku Prusaków. Za korpusem udał się również komitet rewolucyjny z biskupem Synopy na czele, mieli oni organizować zdobyte kraje.

Generał Karwowski, doszedłszy do Szczuczyna, napotkał niespodzianie dwa szwadrony dragonów Buscha. Po krótkiej potyczce, w której mój batalion szedł na froncie, zmusił ich do ucieczki, zabrał 30 koni i wzniecił popłoch w szeregach pruskich. Upojony zwycięstwem, puścił się Karwowski wzdłuż dawnej granicy na Elk i Johannsburg. Nagły jednak zwrot Prusaków i fałszywy alarm spowodowały szybkie cofnięcie się korpusu na lewy brzeg Narwi. Wówczas Karwowski stworzył nowy plan działania oparty na połączeniu z kilku patryotami mazowieckimi, którzy ze swej strony wpadli na drugi brzeg Narwi. Gdy jednak na umówionem miejscu spotkania zamiast Karwowskiego znaleźli Günthera, po 12-stogodzinnej bitwie zmuszeni byli przejść na powrót na lewy brzeg Narwi.¹⁾

Ale wracam teraz do mojej historii. Dowiedziawszy się, jak rzeczy stoją, posłałem umyślnego do Warszawy po rozkaz i zapytanie, co mam robić.

¹⁾ Istnieje autentyczna prośba Michała Starzeńskiego, podpułkownika batalionu strzelców oddziału 5-go, podana z Kalinowa dn. 28 lipca 1794 roku, do Najw. Naczelnika o wyznaczenie osoby, zdolnej rozpoznać powody, dla jakich odebrano mu batalion; na prośbie tej pod odpowiedzią *brevi manu* Kościuszką własnoręcznie dopisał te słowa: „Bijcie się wszyscy w dobrej harmonii i jedności. Idzie teraz o los Ojczyzny, albo wolnemi albo niewolnikami trzeba się zostać.“ Por. „Czas“ z 8 września 1870 r.

Domyśliłem się, że Kościuszko nie zrozumiał tego, że oddział Karwowskiego był to regiment strzelców przeznaczony do Prus, mój zaś batalion miał być włączony do 5-go regimentu liniowego strzelców, o którym myślał, że jest w Warszawie.

Posłaniec wrócił wkrótce i przywiózł mi rozkaz i list. Mokronowski szedł już z księciem Poniatowskim przeciw królowi pruskiemu, idącemu na Warszawę od strony Łowicza, podczas gdy Kościuszko cofał się przed następującymi na niego Rosyanami. Komendantem Warszawy był Orłowski, dawny mój przyjaciel. Pisał mi, że nikt nie wątpi o moim patriotyzmie, że ostatecznie powinno mi być wszystko jedno, gdzie się bije mój batalion. Radził przyjechać do Warszawy, gdzie miałem swoich 200 strzelców. Donosił następnie, że Prusacy czynili pewne ruchy nad Narwią, co dowodziłoby oblężenia Warszawy. Orłowski zbierał jakie mógł wojsko, aby zatrzymać Prusaków w razie, gdyby próbowali przejść Narew pod Zegrzem, o cztery mile od Warszawy.

Nie mając co robić w Bielsku, zabrałem swoich 40 chorych i 30 strzelców do Warszawy. Tam zastałem dwustu dawnych i czterdziestu nowych rekrutów. Miałem więc razem 270 piechoty i 70 konnych. Generał Orłowski zaledwie miał czas mnie uściśkać. Dał mi dwie kompanie strzelców nowo utworzonego batalionu Sokolnickiego, 4 armaty, 8 baterii z rozkazem marszu w górę Wisły i obrony Zegrza, który dotąd strzeżony był tylko przez uzbrojonych mieszczan. Wkrótce miano wyznaczyć generała, który miał dowodzić obroną linii Narwi.

XXXIX.

Nareszcie i ja też rozpocząłem działanie w armii czynnej.¹⁾ Zatrzymałem się w Popowie, gdzie zastałem oddział piechoty z kilku dobrymi oficerami artylerii. Zagrożeni byli nadejściem Prusaków, ośm armat przyszło im więc w porę. W ciągu nocy wysunęliśmy dwie daleko sięgające reduty; moi ludzie doskonale

¹⁾ Niniejsze opowiadanie o obronie linii Narwi należy porównać z relacją A. Treskowa w jego dziele „Der Feldzug der Preussen in Jahre 1794.“ Berlin, 1837, oraz ze szczegółami podanymi przez biskupa Adama Prażmowskiego w „Pamiętniku warszawskim“ z 1810 r.

znali swoje rzemiosło; karabinowe strzały niosły daleko za rzekę. Statki, nagromadzone przez Prusaków, służyły im tymczasowo do polowania, ale w danym razie mogły być użyte do przewozu, więc też usunęliśmy je. Ktokolwiek wysunął się nad rzekę, był na cel brany i ginął. Na przestrzeni trzymilowej długości nad ranem słyhać było obustronne strzelanie. Prusacy strzelali ze swoich w Zegrzu baterii na próżno, gdyż nas te strzały nie dochodziły. Strzelcy nasi na łąkach, porośniętych krzakami i trzcina, pokopali doły. Nasze armaty z wysuniętych redut, nie chybiały ani razu, podobno nawet przeszkadzały komendantowi do spokojnego spożycia obiadu, gdyż ten napisał do mnie bardzo grzeczny list, „że przez sześć tygodni używał największego spokoju, że sam nie myśli go zakłócać i że wstrzyma wszelkie kroki zaczepne, jeżeli ja ze swej strony dam rozporządzenie i zabronię strzelać.“ Odpowiedziałem mu, iż „wierzę, że on nie myśli o rozpoczęciu kroków zaczepnych, ale że ja słyhać muszę rozkazów władzy wyższej, i że jest sposób uniknięcia naszego ognia, to jest usunięcie się z poza jego doniosłości.“ Poczciwy major pruski posłuchał mojej rady i wyniósł się z domu hr. Krasińskiego, gdzie już całkowicie piwnice wypróżnił, do domu odleglejszego.

Nareszcie przybył generał Cichocki z rozkazem od Kościuszki „zrobienia osobiście rekonesansu na całej linii Narwi wszystkich stanowisk wojsk liniowych, milicyi, nowoformujących się zaciągów, żeby z tego stanu utworzyć listę i objąć nad tem wszystkim komendę dla uorganizowania albo obrony Narwi w razie nadejścia Prusaków, albo pozostać w gotowości do wypełnienia dalszych rozkazów.“ Cichocki przyprowadził z sobą dwóch inżynierów i dwóch adjutantów.

Tak więc mój dawniejszy podwładny stawał się moim przełożonym. Gdyby miał pod swoją komendą jakie 2,000 dobrego żołnierza, mógłby się pewno odznaczyć, bo nic nie można było zarzucić jego znajomościom teoretycznym. Mógłby być doskonałym profesorem w szkole wojskowej.

Nakreśliłem już poprzednio plan miejscowości, wyznaczyłem punkty główne obrony, przejścia łatwiejsze przez rzekę i miejsca najlepiej nadające się do ataku. Cichocki rozesłał swoich adjutantów i inżynierów do wszystkich dowódców oddziałów, znajdujących się na lewym brzegu Narwi z rozkazem, ażeby mu zdali raporty i wskazówki o pozycyi i ruchach wojsk pruskich.

Przybycie generała Cichockiego z większym oddziałem wojska było zauważone przez szpiegów. I mój pacyficzny major z Zegrza zaczął też ruszać się po drugiej stronie rzeki. Ich ka-

nonierzy stali przy armatach z zapalonymi lontami, czekając znaku; nareszcie zagrzmiały z dwóch stron armaty, podczas kiedy generał Cichocki oglądał brzegi Narwi. Najbezpieczniejszym miejscem była nasza ostatnio zrobiona reduta; zaledwieśmy do niej weszli, kiedy dał się słyszeć mocny huk i trzask nad głowami. Duża kula armatnia strzaskała nad nami stary rozłożysty dąb, obsypały nas łamiące się liście i gałęzie upadającego wierzchołka starego drzewa. Po jakimś czasie kanonada ustała.

Adjutant generała Cichockiego wrócił po czterech czy pięciu dniach, ale bez rezultatu. Natrafił wzdłuż lewego brzegu Narwi na dwa tylko oddziały, Zielińskiego i Kwaśniewskiego, te same, które się już raz spotkały z generałem Güntherem.

Cichockiemu zagrażała pozycja generała bez wojska. Liczył on na to, że Karwowski, który niegdyś służył pod nim, odda mu bez trudności swój oddział, ale mylił się nieco w tym względzie. Karwowski, rad ze swej niezależności, marzył tylko o tem, aby przywrócić blask sławy swojej, przyćmiony nieco ostatnią potyczką z Güntherem. Przeszedłszy zresztą na prawy brzeg Narwi, uważał się za niezależnego od Cichockiego, któremu powierzono lewy brzeg rzeki.

Generał Cichocki w dalszym ciągu stosował się do odebranych rozkazów, udał się w górę rzeki i na punktach ważniejszych ustawił dwie kompanie Sokolnickiego i moich strzelców.

Mieszczanie Ostrołęki przyszli dać nam znać, że zrobił się widoczny ruch wśród Prusaków na prawej stronie rzeki. Donieśli też, że przybyła piechota na wozach i ściągano rekwizycyę między Ostrołęką a Nowogrodem. Cichocki pozostawił w Ostrołęce moich strzelców, gdzie most był zburzony, a trzeba było strzedz brodów, sam zaś z 30 moimi strzelcami konnymi udał się do Nowogrodu. Miasteczko całe było zajęte bagażami oddziału Karwowskiego, Zielińskiego i Kwaśniewskiego. Ci dwaj ostatni znajdowali się w mieście i zaprosili Cichockiego na śniadanie, podczas którego objaśnili go, że Karwowski przeszedł na prawy brzeg rzeki i ustawił się na piaszczystym wzgórzu, mając od frontu bagna i z tej strony jest bronny, ale że mało będąc obeznany z taktyką wojenną, stoi tam już trzy dni bez ruchu na jednym stanowisku, przez co daje Prusakom czas zorientowania się i zaznajomienia ze swoją pozycją. Sam Karwowski z liczną świtą przyjechał do Nowogrodu i bardzo był nieprzyjemnie zdziwiony, gdy mnie tam zastał. Prosił Cichockiego, aby obejrzał jego stanowisko, które uważał za niezdobyte. Miałem czas szepnąć mu na ucho, że grubą ryzykował stawkę, podejmując się rzeczy, na

której się nie znał. Wśród otoczenia dostrzeżono, że między nami zanosi się na kłótnię, więc nas rozdzielono i zwolniono mnie od oglądania wyborczego stanowiska.

Po powrocie Cichocki opowiadał mi, że istotnie jeżeli Prusacy zajdą od frontu, będą na pewno pobici; mogą jednak posłać choćby tylko jeden batalion, przeprowiony przez rzekę Pisnę, zepsuć most na niej i wówczas nastąpi katastrofa. Karwowski tak jednak był pewnym zwycięstwa, że ze łzami prosił Cichockiego, żeby mu nie odbierał dowództwa i zaszczytu pobicią Prusaków. Uradziliśmy zatem, aby w każdym razie Zielińskiego i Kwaśniewskiego posłać na drugą stronę rzeki, wyprowadzić patrole na drogę, którą przypuszczalnie mogli przyjść Prusacy, a piechotę ich ustawić dla strzeżenia rzeki Pisy.

Nazajutrz o wschodzie słońca generał Karwowski był zaatakowany fałszywym atakiem na jednym skrzydle i froncie. Atak odparto. Dwa bataliony nowego regimentu Ossolińskich puściły się za ustępującym nieprzyjacielem i zapędziły się w las. Ogień ustał. Generał Karwowski wyprowadził adjutanta co koń wyskoczy do generała Cichockiego z wiadomością o odparciu Prusaków ze stratą z ich strony, istotnie, kilku ich padło, donosi przytem, że żadnej pomocy nie potrzebuje i że odpowiada za wszystko.

Z rozkazu i prośby generała Cichockiego byłem wysłany dla zajęcia młyna i grobli, nazwanych Kłysz, znajdujących się na lewym skrzydle pozycji Karwowskiego. Ażeby tam się dostać, trzeba było przejść znaczną wyniosłość, która górowała nad tą pozycją Karwowskiego. Strzelcy moi spostrzegli bez pomocy lunety nawet znaczny oddział piechoty pruskiej, zdążający w prostej linii na prawe skrzydło Karwowskiego, a inny znów szwadron rozrzuconych strzelców zajmujący wąwóz, idący do wsi Zbojna i zmierzający na tyły pozycji. Posłałem co koń wyskoczy uprzedzić o tem generała Cichockiego, który zauważywszy ze swej strony te ruchy Prusaków, przeszedł Narew ze swymi adjutantami i Horainem, komisarzem rewolucyjnym i wyprowadził Zielińskiego i Kwaśniewskiego, żeby szli na pomoc Karwowskiemu. W jednej chwili dał się słyszeć plutonowy ogień muszkietierów pruskich na prawem skrzydle pozycji, oraz atak na tyły wsi Zbojny.

Strzelanie ucichło. Generał Cichocki powracał galopem a za nim zapędzeni Bośniacy Günthera z pikami. Dwóch jego koniuszczych zabito, adjutant, dzielny człowiek, także zginął. Gdyby piechota Kwaśniewskiego nie była zagroziła drogi Bośniakom, to i Cichocki byłby zabity albo wzięty do niewoli. Dwa bataliony Ossolińskich nie wracały; pozycja zaatakowana na skrzydłach,

a tyły zajęte przez strzelców pruskich, nowoutworzony pułkownik Cetys z 300 moimi strzelcami wzięty do niewoli, tylko 200 strzelców pod komendą Kraszewskiego biło się jak lwy, zgromadzili w koło siebie co było można i przyprowadzili dwie uratowane armaty i czternastu lekko rannych strzelców. Generał Günther wziął sześć armat, wysadził w powietrze wszystką amunicję, Bośniacy zabrali wozy, bagaże, instrumenty muzyczne pułkowe i rzeczy wszystkich oficerów. Wszystko było skończone o siódmej godzinie wieczorem. Karwowski sam z dwoma czy trzema oficerami, straciwszy konie i rzeczy, szczęśliwie przynajmniej przedostał się do młyna i mostu Kłysza, gdzie miałem sposobność powiedzieć mu na ucho, że moja przepowiednia całkowicie się spełniła.

Byłem zmuszony pożyczyć Cichockiemu 400 dukatów dla rozdania niższym oficerom, którzy w tej historii utracili wszystkie swoje bagaże. Reszki batalionów zwróciły się ku Łomży, ażeby się tam na nowo zorganizować. Namówiłem Cichockiego do powrotu do Warszawy, gdzie trzeba się było z możliwych zarzutów wytłómaczyć i o inne zadanie dopomnieć. Karwowski zdał już raport, w którym było powiedziane, że poniósł niewielką stratę z powodu, że generał Cichocki i podpułkownik Starzeński nie przyszli mu z pomocą. My dwaj z generałem Cichockim nie byliśmy klubistami rewolucyjnymi, a Karwowski nim był. Więc też napisano w gazetach, że „dzielny nasz generał Karwowski przegrał małą potyczkę z Prusakami, przesłano mu kilka armat, broń i amunicję, jest nadzieja, że stratę tą prędko powetuje i znajdzie sposobność odznaczenia się chlubnie na nowo.“

Wróciliśmy więc do Warszawy z Cichockim, którego znów włączono do Komisji wojennej; ja zaś wróciłem do fortyfikacji, gdzie czynnym był także generał Kościuszko; opowiedziałem mu dokumentnie wszystkie moje przygody, jak mi w biały dzień zabrano batalion, który ja sam swoim kosztem wyszykowałem. Zaordynował w tej sprawie komisję, złożoną z trzech oficerów, którzy mieli przybyć do Bielska, jako miejscowości, gdzie się ten fakt wydarzył. Pojechałem na oznaczony dzień, Karwowski nie przybył. Tak się skończyła sprawa. Wróciłem do Warszawy.

XL.

W Warszawie teroryzm przycichł. Kościuszko, przeprowadziwszy znowu śledztwo, ukarał winnych sprawców okrucieństw i nadużyć władzy i położył kres teroryzmowi. Kilku gorliwszych rewolucjonistów poukrywało się lub powynosiło cichaczem z Warszawy. Potworzyły się z mieszczan kompanie po 100 ludzi i pułki po 1000, te miały swoich oficerów, broń, mundury i rywalizowały ze szlachtą odwagą i dzielnością.

Król pruski z synem i najlepszymi generałami na czele 40,000-nej armii blokował Warszawę; dopomagało mu 10,000 Rosyan pod wodzą Ferzena. Najważniejszymi punktami ataków były Wola i Szwedzkie okopy za Powązkami. Generał Zajączek dowodził centralnymi siłami nawprost Woli; generałem nowomianowany Ożarówski miał sobie oddane lewe skrzydło, stał naprzeciw korpusu rosyjskiego, a księżę Józef Poniatowski prawe, nawprost Powązek. Dzielny wódz Kościuszko był wszędzie, na każde zawołanie, gdzie tylko groziło niebezpieczeństwo. Obustronne strzelanie z armat, małe ataki częściowe tak oswoiły ludność miejską z ogniem i hałasem wojennym, że dnie ciszy i zawieszenia kroków zaczepnych były dla niej niewypowiedzianie nudne. Skoro usłyszano strzały dążono tam natychmiast i bez rozkazów, ale bardzo inteligentnie dopomagano walczącym. Kilka szturmów Prusaków na rozmaitych punktach zostało odpartych. Mięso baranie i woda z glinianek, używana do picia i gotowania, nie szły im na zdrowie. Mieli wielu chorych i wielu bardzo na dysenterję unierało. Generał Dąbrowski przedostał się lasami i bagnami ze swoim oddziałem, zaszedł im z tyłu i nie dopuszczał żadnego transportu z żywnością, i przecinał wszelką komunikację.

Jeden obywatel-patryota podjął się odciągnąć, puścić na dno lub spalić kilka berlinek, które na Wiśle stały z amunicją pruską. Czyby to kto uwierzył, że ci Prusacy wyczerpali do ostatka swoje zapasy strzelnicze, a przecież nie zrobili innych szkód na przedmieściach, oprócz spalenia kilku domków i przedziurawienia kilku wiatraków. Ich granaty i bomby pękały albo za wcześnie, albo za późno. Kościuszko, bojąc się, żeby mu nie zabrakło prochów i amunicji, wyznaczył cenę za każdą kulę, granat nie pęknięty, bombę przyniesioną do obozu. Rzucili się chłopcy, ulicznicy i rozmaici biedni ludzie do zbierania tychże i zapędzali się za niemi czasem o 1000 kroków od redut.

Korpus rosyjski, pozostający na prawem skrzydle Prusaków, czy to z wyższego rozkazu, czy dla zawistnej rywalizacji, formował się na każdy znak alarmu, ale nie atakował wcale. Brygada Jana Potockiego i mój szwadron stały naprzeciw nich. Wielka karczma, która górowała nad pozycjami wojsk, była miejscem zebrań, gdzie oficerowie zabawiali się czasem nawet grubą grą w karty; patrole nasze poznajamiały się z rosyjskimi i często się zdarzało, że się razem z jednych kociołków pożywiali. Za to nie było nocy, żeby pruskie forpoczty gdzieś nie przepadały. Król pruski prosił, ażeby mu z obozu rosyjskiego pożyczono kozaków. W obozie pruskim widać było jakiś ruch niezwykły, dowodzący, że się tam przygotowywano do głównego szturmu. Nastąpił on pewnego poranku. Brałem udział w obronie wraz z wielu innymi ochotnikami, dla których nie było miejsca w szeregach. Prusacy powracali z dziesięć razy do ataku, po którym wynosili się poza obręb naszych strażów—o godzinie 7-ej wieczorem znów rozpoczęli. Dwa ich bataliony zapędziły się do parku powązkowskiego, ale 200 mieszczan, prowadzonych przez krawca Krakau'a i mego służącego Jarockiego, wyparło ich stamtąd, poczem kilkudziesięciu Prusaków wraz z kilku oficerami padło trupem w odwrocie. Książę Józef Poniatowski z dwoma batalionami gwardyi i Kościuszko z dwoma innymi uderzyli na Prusaków z frontu, a gdy ci zwrócili się do ucieczki, wielu z nich zabitych zostało, tak, że pole okryło się poległymi. Była to ostatnia próba Prusaków.

W Wielkopolsce sformowało się powstanie; generał Dąbrowski zmusił generała Schwerina, który prowadził pomoc Prusakom pod Warszawę, do odwrotu. Zajął Bydgoszcz. Jego królewska mość król pruski rozpoczął odwrót z pod Warszawy; kozacy stanowili straż tylną armii. Pięćdziesiąt wsi palących się i wysadzone w powietrze magazyny, których uprowadzić nie zdołali, oświecały ich drogę, jak tyleż wulkanów. Kościuszko posłał za nimi w pogoń kawaleryę, mnie zaś polecono udać się, jako kuryer, do Brześcia Litewskiego do generała Sierakowskiego, który z powodzeniem prowadził partyzantkę przeciw korpusowi rosyjskiemu wraz z kilku innymi generałami litewskimi.

XLI.

Sierakowski, dzielny generał i zacny człowiek, był szefem korpusu inżynierów ze stopniem pułkownika, następnie generał-majora w r. 1792. Miał on cztery do pięciu tysięcy liniowego wojska i tyleż ochotników litewskich, którzy dowolnie sobie przechodzili z jednej pozycyi na drugą. Wszędzie w spotkaniach z nieprzyjacielem szczęściło mu się prawdziwie, tak, że korpus swój miał w całości. Gdyby mu byli oddali naczelne dowództwo wojsk litewskich, byłby nadał zupełnie inny obrót tej kampanii. Tutaj król pruski odparty, tam na Litwie jedno dobre wielkie zwycięstwo byłoby wywołało zawieszenie broni i pokój. Otaczający Kościuszkę generałowie napadali na Sierakowskiego, że nic znacznego ze swoją armią nie zrobił; nadomiar złego Sierakowski przysyłał raporty bardzo szczegółowe o formowaniu się nowej armii rosyjskiej przez generała Suworowa, który zbierał po drodze co z wojsk rosyjskich napotkał, donosił o dniu wyjścia tej kolumny, o jej sile i kierunku na Brześć Litewski. Oddział ten składał się z 30,000, a Sierakowski miał tylko 5000—szanse były nierówne; prosił więc o przysłanie posiłków.

Kościuszko obozował, jak mówiłem, pod Warszawą; niewielki oficerski namiot płócienny służył mu za sypialnię i za biuro wojskowe. Masa oficerów otaczała namiot wodza—śmiali się, gawędzili, czekając rozkazu dziennego. I ja też wraz z innymi słyszałem czytanie raportu Sierakowskiego; po przeczytaniu mała sprzeczka pana Niemcewicza i Kołłątaja, brata księdza, a potem dyktowanie rozkazu. Było tam powiedziane, że trzeba mniej pisać a więcej działać — nie wierzyć przesadzonym opowiadaniom o siłach Suworowa, wyruszyć bez straty czasu przeciw niemu i pobić go. Rozkaz ten zapieczętowano, Kościuszko wyszedł z namiotu i zwrócił się do mnie: „Bądź pan spokojny o swój batalion, znajdziesz go w swoim czasie na właściwem miejscu, a teraz śpiesznie musisz jechać i oddać ten rozkaz Sierakowskiemu. Znajduje się tam generał Mokronowski, jemu także będzie do oddania ten oto rozkaz drugi. Udać się ma na Litwę, do Grodna, gdzie się sprawy psują, możesz mu pan tam być potrzebny, ponieważ znasz tamtejszą miejscowość — jest powiedziane w rozkazie, żeby pana zużytkować.“

Otóż znów pędzę kuryerem, niosąc wiadomość, która zasmuci dawnego mego przyjaciela, ale co do mnie, to szczęśliwy jestem, że będę z Mokronowskim, którego wysoko szanuję.

Przestrzeń między Brześciem a Warszawą prędko przebyta została. Generałowie Sierakowski i Mokronowski znajdowali się u Jagmina, wróciwszy do Brześcia, otworzono i czytano listy. Sierakowski, przeczytawszy swój, pokazał mi go i posłał po dziennik, który bardzo starannie był prowadzony. Bił się siedemnaście razy i to właśnie jego niewielki oddział zwrócił na siebie uwagę Rosyan. „Bardzo dobrze, zawołał, moi nieprzyjaciele chcą, żebym zginął, to stanie się ich życzeniu zadosyć.“ I wydał rozkaz wymarszu na dzień następny.

Mokronowski był przy Sierakowskim tylko tymczasowo, dla uniknięcia fatalnych rządów rewolucyi; jako główny komendant miasta, w pierwszych zaraz dniach miał sposobność przypatrzeć się wielu okropnościom, później ustąpił miejsca księciu Poniatowskiemu, a sam udał się do Brześcia. Mokronowski, ażeby się zastosować do rozkazu, nie potrzebował żadnej świty. Pojechał, jako kuryer, z jednym tylko oficerem do Słonima i Grodna, pozostawiając do mojego rozporządzenia swoich ludzi, papiery, szkatułkę, konie i dwóch oficerów z gwardyi królewskiej. Prosił mnie, żebym się z tem wszystkim udał na Podlasie, wyznaczając mi dzień i miejsce, gdzie się mieliśmy spotkać między Grodnem a Białymstokiem, gdzie także zejść się miały oddziały litewskie.

Miałem więc nareszcie dwa tygodnie odpoczynku w Strabli. Uprowadzony przez generała Mokronowskiego, około którego zebrała się partya Litwinów, że go drobne oddziały rosyjskie ścigają, zostawiłem jego bagaże w Białymstoku, a sam pośpieszyłem do niego bardzo w porę. Po lesie uwijały się patrole, a na tyłach była właśnie utarczka. Późnym wieczorem przybyliśmy do Wasilkowa nad Supraślą, która jest bardzo błotnista. Długa grobla oddzielała nas od piaszczystej płaszczyny białostockiej.

XLII.

Zagrażało Mokronowskiemu otoczenie przez nieprzyjaciela. Przepędziliśmy noc z oddziałem, stanowiącym awangardę; składał się on z Litwinów, Żmudzinów, Kurlandczyków, Estonów, a także kobiet i dzieci — wszyscy mówili między sobą językiem żmudzkiem i litewskim, obuci byli w łapcie i chodaki, a ubrani w stare, najczęściej podarte kapoty, ale duch dzielny i wielka energia i lekkość w ruchach, oraz dar dawania sobie rady z najlichszą nieraz bronią. Było tych Litwinów kilka regimentów,

a dowodzili nimi dobrzy oficerowie. Środkowa część kolumny była dużo lepiej zorganizowana.

Zrana generał Mokronowski, rozpatrzywszy się w położeniu; wydał wszystkim rozporządzenia. Sam objął dowództwo nad 5000 ludzi na lewem skrzydle. Pułkownik Korsak miał iść w środku z bagażami, amunicją i wszystkimi najmniej uzbrojonymi ludźmi. Pułkownik Wawrzecki z 5-iu czy 6-iu tysiącami szedł prawem skrzydłem ku Surażowi. Lewe skrzydło miało zanoćować pod Białymstokiem pierwszą noc, a drugą pod Płskami, powyżej mostu na Narwi.

Pomiędzy Litwinami było wielu takich, których żony, zabrawszy co najkosztowniejsze rzeczy z sobą, uchodziły przed prawdopodobnym napływem wojsk rosyjskich. Ponieważ mnie była poruczona opieka nad niemi, radziłem tym paniom, żeby pomału usuwały się z oddziałów, dążyły do miast i tam starały się przeczekać wojenną ruchawkę. Wiele z nich usłuchało mnie i moja żona z dziećmi nie opuszczała Białegostoku.

Na drugi dzień przeszliśmy most pod Płskami, poczem zdjęto z mostu deski i zatrzymano się na dniówkę. Otrzymałem rozkaz od generała zrobienia przeglądu regimentów, pościągania list, podzielenia szwadronów i wyznaczenia wszędzie oficerów, bo tych w wielu kompaniach brakowało.

Zatrzymaliśmy się tam trzy dni, które były pod względem organizacyi doskonale zużytkowane. Tam odebraliśmy wiadomość o rozbiciu korpusu Sierakowskiego, który zmuszony rozkazem do wydania bitwy, wydał ją pod Krupezcami przeciw przeważającej sile Suworowa; bitwa trwała dzień cały, ale widząc, że mu grozi otoczenie przez kawaleryę, zdołał się wycofać i dotrzeć o osiem mil od Brześcia. Byłoby dobrze, żeby był mógł dojść do Warszawy albo złączyć się z Mokronowskim; ale nie dostarczono mu koni pod przejazd artyleryi, dano mu wreszcie, lecz zapóźno—uszedł zaledwie milę, kiedy go otoczyło wojsko nieprzyjacielskie, dokazywał cudów waleczności, w końcu jednak rannego wzięto do niewoli. Oddział się rozproszył, pod Siedlcami generał Kniaziewicz, idący w pomoc Sierakowskiemu, znów zapóźno, pozbierał rozproszonych i do swojego oddziału zabrał.

Generał Kościuszko spędził tymczasem kilka tygodni w Warszawie w zupełnej beczynności. Mówią, że był ciężką troską zgębiony. Namówiony przez hr. Ignacego Potockiego i księdza Kołłątaja, przybył z Drezna do Krakowa, gdzie przyjął na siebie godność głównego wodza Insurekcyi, spuszczając się na wiarę obietnic, że kraj cały jednolicie powstanie. Zawiódł się ogromnie.

Frakcyja francuska teroryzowała, ażeby napełnić swoje kieszenie, nie dbając zresztą o dalszy przebieg wypadków. Był pociągnięty do ważnego kroku, nie zastanowiwszy się wpieryw dostatecznie. Był dyktatorem w całym tego słowa znaczeniu. Zamiast ująć silną ręką szaleńców i intrygantów, zrzekł się części swojej władzy, ustanawiając Radę rewolucyjną, do której weszli generałowie i oficerowie—jedni stronni, drudzy zapłaceni, inni oszukani i przyjęli system rewolucyi francuskiej. *Komitet obrony narodowej* miał prawo sądzenia kryminalnego cywilnych i wojskowych. Nieustannie były aresztowania. Sam Kościuszko mógł być sądzony tak, jak każdy inny. Ta okoliczność zmroziła serca, ostudziła zapał najlepszych patriotów. Bano się nieledwie mniej Rosyan i Prusaków, jak wybuchu nowej rewolucyi. Już przyszłe ofiary były przeznaczone. Wszyscy ci, których miano za bogatych, ci co należeli do umiarkowanych, ci co mieli jakiegokolwiek stosunki z królem, albo z jego krewnymi, zresztą królewska rodzina, mieli zginąć na szubienicy w dziedzińcu zamkowym przed oczyma króla. Król miał zakończyć krwawą tę tragedję. Na miejscu króla, królem mianowany być miał hr. Ignacy Potocki. Już układano listę domów, które miały być zrabowane—oto był ślicznie już ułożony program na przyszłość. W tym stanie rzeczy Kościuszko myślał już tylko, jak zginąć z bronią w rękę, a zresztą każdy wyrachowywał, jak uniknąć grożącego niebezpieczeństwa. Generał Mokronowski zdecydował się, zastanowiwszy się nad tem położeniem, że koniecznie trzeba iść ku Warszawie i niedopuszczyć do niej Suworowa. Posłał adjutanta Dziekońskiego z raportem o tym swoim zamiarze do Kościuszki, a trzy litewskie kolumny zatrzymały się w Boćkach nad Nurcem.

Wielu z tych Litwinów, ściągniętych z najdalszego pogranicza, tęskne oczy zwracało ku swoim stronom, wielu, jak mówili, było lichy odzianych i źle uzbrojonych. Można jednak było rachować na 9000 ludzi i dobrych oficerów. Posłano rekonesans w stronę Brzeźcia—koło Kleszczel spotkał się on z rekonesansem Suworowa, pokłonili się sobie grzecznie i nasi wrócili do obozu z tą wiadomością. Zamierzaliśmy posunąć się ku Kleszczelom, ażeby się spotknąć z Suworowem, kiedy wpadł powracający adjutant Dziekoński, zmęczony i nadzwyczajnie wzruszony. Wracał już z Maciejowic, był tam w czasie bitwy; księżę Poniński na czele 4000-go oddziału nie zdążył przybyć z pomocą Kościuszce, którego zaatakowano dniem wpieryw nim się tego spodziewał. Rosyianie zajęli groble i bagna, które go od lewego skrzydła zastępowały. Dokazywano tam cudów waleczności... bataliony, którymi

dowodził, odpierały po kilka razy bagnetami nacierającego nieprzyjaciela, ale otoczone zostały przez kawaleryę i posiekane doszczętnie. Kościuszko sam raniony i wzięty do niewoli. Dziekoński, oprócz tych szczegółów, przywoził jeszcze rozkaz Rady rewolucyjnej:

1-o. Zawiadomić Wawrzeckiego, że został mianowany wodzem na miejsce Kościuszki i przysłać go zaraz do Warszawy.

2-o. Unikać wszelkiego spotkania z nieprzyjacielem, zabrać wszelkie zapasy żywności i dostawić do Warszawy, co nie można zabrać—zniszczyć.

3-o. Że przy obronie Pragi i fortyfikacyi, które tam robiono, rachują tylko na oddziały litewskie.

Droga najkrótsza z Bociek do Warszawy mogła być przecięta przez Suworowa, zdecydowano więc iść z biegiem Nurca aż do jego ujścia do Bugu pod Nurem; iść wzdłuż Bugu, ażeby się zbliżyć do Narwi, przejść Narew, zerwać kordon pruski i przez Zakroczym przedostać się do Warszawy.

Karwowski, Zieliński, Kwaśniewski, przyłączeni z oddziałami do oddziałów litewskich Mokronowskiego, utworzyliby armię 24,000-ą. Gdyby nawet przedmieście Praga było zdobyte, jeszcze Wisła zatrzyma z parę tygodni trzy rosyjskie korpusy i Suworowa. W Warszawie garnizon miejski z kilku tysięcy złożony, korpus księcia Józefa Poniatowskiego z 5000 żołnierza, generała Dąbrowskiego z 4000, wszystkie te siły zgromadzone stanowiły jeszcze 40,000-ną armię, nie licząc 20,000 uzbrojonych mieszczan. Mokronowski polecił mi zrobienie planu, który jaknajśpieszniej wykonałem. Plan ten przez kuryera został wyprawiony do Warszawy, a my puściliśmy się z całym taborem w dalszą drogę, idąc dwa dni, odpoczywając trzeciego. Oczekiwaliśmy przytem niecierpliwie powrotu kuryera.

Pod Wyszkowem, niedaleko Bugu, nasza aryergarda miała małe utarczki z awangardą wojsk rosyjskich. Generał Mokronowski demonstrował pozorne przejście Bugu. Składano mosty, przyprowadzano promy. Suworow się zatrzymał, a my podążyliśmy dalszym marszem do miejsca, gdzie Bug łączy się z Narwią. Doszliśmy do Popowa o 4 mile od Warszawy. Rozkazy generała, które ja z jego rozporządzenia redagowałem, były wykonywane tak akuratanie, że trzy kolumny litewskie znalazły się na oznaczonej godzinie w miejscu między dwiema rzekami. Najpierw przeprowiły się przez Bug bagaże i oddział Korsaka. Mokronowski wysłał armaty i amunicyę, a my nocowaliśmy na deszczu pod gołem niebem w noc bardzo ciemną. Widać tylko było ognie biwa-

kowe wokoło. Zrana przeprowiły się oddziały, a generał na samym ostatku. Nad brzegiem rzeki, po drugiej stronie, wśród zarośli i krzaków, pozostawił dwie baterie strzelnicze i trochę kawalerii dla przeszkodzenia przejściu Rosyanom; wyruszyliśmy, ale nie uszliśmy więcej jak tysiąc kroków, kiedy słyszemy strzały naszych armat, pozostawionych w zaroślach. W samej rzeczy tak było: generał Zubow, komenderujący awangardą liczniejszą od naszej całej armii, przybywał na miejsce, któreśmy nocą zajmowali, i w pełnym galopie puścił się przez most. Kiedy już doszli do połowy mostu, zagrzmiały nasze armaty i zrobiło się tam ogromne zamieszanie. Generał Zubow raniony, pułkownik Ratay i kilku przedniejszych oficerów zabitych, inni ciężko ranni. Wstrzymano pochód i zajęto się przenoszeniem zabitych i opatrzaniem rannych, a zaniechano za nami pogoni. Mokronowski wzmocnił zasadzkę i wskazał drogi, któredy mieli znów złączyć się z nami. Armia litewska szła dalszym ciągiem ku Warszawie, ale słyhać było huk armat od lewego skrzydła. Był tam oddział z 2500 ludzi, który miał osłaniać nasz główny korpus, komenderował nim pułkownik Byszewski, adjutant królewski. Spotkał się z Suworowem, który go rozbił i rozproszył pod Kobyłką.

XLIII.

Przybyliśmy o zmierzchu na Pragę. Mokronowski z adjutantem i ja z ordynansem przedostaliśmy się do Warszawy i zameldowaliśmy się w pałacu Rady rewolucyjnej. Otóż znów jesteśmy w samym kotle!—pomyślałem. Czułem się okropnie zbity siodłem, niewyspany tak, że mógłbym nieledwie stojąc spać, gdyby nie ciekawość i niepokój, co dalej będzie.

Wawrzecki, dawniejszy podkomendny Mokronowskiego, stał się jego przełożonym, otrzymawszy nominację na głównego generalisimusa. Komitet rewolucyjny wiedział, co robił, wybierając go na to stanowisko. Znaną była ogólnie jego prawość, ale on nie miał wyobrażenia, na jakim stoi wulkanie. Mianowano go naczelnym wodzem w chwili, kiedy miał się rozgrywać ostatni akt dramatu — tysiącne były przytem intrygi, poplątane stosunki, a on był za prosty i za uczciwy, aby je rozwikłać i w niewecz obrócić. Zamiast obmyślać nowe środki obrony, panowie z Komitetu i Rady prowadzili pomiędzy sobą zażartą polemikę i wykrzykiwali na prawdziwych patryotów. Jedni dowodzili, że

na czele powinien stać Zajączek, który wielkie położył zasługi przy fortyfikowaniu Pragi. Inni proponowali Mokronowskiego, ponieważ przyprowadził ze sobą 15,000 Litwinów, i to będąc ściganym przez Suworowa.

Mokronowski, który miał wiele bystrości umysłu i znał doskonale położenie, zrobił uwagę, że ci Rosyanie, którzy za nim zbliżali się z dużemi siłami, nadciągną na Pragę nie dalej jak jutro i rozpoczną blokadę; że trzeba koniecznie posłać tam na pomoc kawaleryę i zaatakować ich, nim się rozłożą obozem, gdyż można ich zatrzymać w pośród bagien, grobel i piasków. Rozmyślano nad tem do godziny 1-ej po północy, po czem rozeszliśmy się wszyscy na swoje kwatery.

Na drugi dzień zbudzono mnie zrana bilecikiem Mokronowskiego; pisał mi: „Jestem niezdrów i moi adjutanci także (nota bene, cała jego świta składała się z najdzielniejszych ludzi). Ty masz rany siodłem odgniecione... możemy kilka dni odpocząć, uprzedzę Cię, jak czas ku temu nadejdzie.“

O zimroku chodziłem dobrze okryty i nieznany nikomu po ulicach. Symptomaty nowej rewolucyi drżały w powietrzu. Ogromny ruch był na mieście; czynne były liczne stowarzyszenia klubowe, schadzki sekretne w różnych częściach Warszawy.

Połowa wojska należała do stronnictwa hr. Ignacego Potockiego i Kołłątaja. Generał Zajączek stał tam na czele. Wojsko litewskie dzieliło się na partye. Generał Jasiński, zapamiętały szaleniec, miał swoje stronnictwo. Dąbrowskiego uważano za partyzanta królewskiego, dano mu więc niewielki oddział i kaza-no strzedz brzegów Wisły, poniżej Warszawy. Książę Józef Poniatowski to był najprawdziwszy patriota, miłujący naród i wojsko. Posłano go z 4,000 wojska do Kamiennej dla powstrzymania Prusaków. Była to naprawdę wyborowa eskorta dla króla, gdyby przypadkiem zmuszony był opuścić stolicę w razie wybuchu rewolucyi.

Klub mieścił się w dużej sali parterowego domu, należącego do ewangelickiego zboru; udałem się tam z lunetą. Z wieży luterskiego kościoła doskonale można było obserwować, co się za Wisłą dzieje. Wojsko rosyjskie rozłożyło się obozem na przestrzeni całej mili, rozstawiono armaty naprzeciw naszych armat fortyfikacyjnych. Przez doskonałą lunetę można było rozróżnić kolory regiméntów, oficerów, wydających rozkazy—słowem wszystko. Namówiłem Mokronowskiego, żeby przyszedł i zobaczył. Mokronowski zmiarkował zaraz, że atakowanie rozpocznie się niezwłocznie. Udzielił swoich uwag Wawrzeckiemu. Jednakże zamiast

wzmocnić załogę praską, wycofano stamtąd jeszcze 4,000 wojska litewskiego, które przy odgłosie bębnow z rozwiniętymi sztandarami przeciągnęło przez Warszawę i udało się dla wzmocnienia korpusu Dąbrowskiego, co wywołało ogromne zdziwienie wszystkich. Był to jeszcze jeden krok w celu zabezpieczenia sobie obrony w razie możliwej rewolucyi.

Nareszcie baterye rosyjskie, najwięcej wysunięte, rozpoczęły ogień. Przez moją lunetę mogłem obserwować wszystkie ruchy wojsk nieprzyjacielskich i formowanie się kolumn. Rozpoczęty ogień był tylko dla zamaskowania tych ruchów. Rosyan było dziesięciu na jednego. Generał Cichocki doskonale zrobił plan obrony Pragi. Rozległość okopów była systematycznie wymierzona, tylko, że nie było dosyć wojska do ich obsadzenia. Było mniej więcej około 8,000 ludzi pozostałych z resztujących regimentów na Pradze, a w Warszawie ani przyczółka mostowego, ani żadnej rezerwy. Przygotowano co prawda nad brzegiem rzeki tysiące pik, rachując, że będą służyły mieszkańcom w razie potrzeby. Ale mieszczanie musieliby w jednej chwili porzucić wszystkie swoje zajęcia i stanąć w szeregach, co nie byłoby łatwe do uskutecznienia. Było 110 armat na wałach, ale trzecia ich część nie posiadała obsługi potrzebnej; kilka redut było zupełnie próżnych. Przeprowadzano armaty z miejsca na miejsce, ażeby pokazać stronie przeciwnej, że są i że jest ich dużo.

Będąc przyzwyczajonym do robienia obserwacyi i do ich notowania, zapisywałem skrzętnie wszystko, co zauważyłem, i przedstawiłem te moje uwagi hrabiemu Mokronowskiemu, mojemu generałowi, przynaglając go do zajęcia wybitniejszego stanowiska w chwili zbliżającego się kryzysu. Uznał słuszość rad moich.

Zamek królewski tymczasem ufortyfikowano w miarę możliwości. Przy królu zebrało się kółko najdzielniejszych i najwierniejszych mu obywateli i uzbrojone mieszczaństwo. Zgromadzono tam wiele kosztowności i cenniejszych przedmiotów, które przewożono w nocy. Wiele dam schroniło się także do zamku. Król rachował na Mokronowskiego, że go ratować będzie w razie jakiegoś powstania ludowego. Wiedzieliśmy, że w otoczeniu króla i w najbliższych zamku dzielnicach znajduje się ze 3,000 ludzi, gotowych ku obronie. Te przygotowania ochłodziły trochę zapał zagorzalców i partyę Kołłątaja i Potockiego. Tenże Potocki zbliżył się nawet do króla. Kołłątaj, zamieszkując jedną z dalszych kamienic, zajęty zbliżającymi się wypadkami, nie wiedział, że można było z góry obserwować jego podwórze, w którym stały

dwa powozy obszerne, upakowane, furgon z rzeczami, osiemnaście koni i ludzie, gotowych w każdej chwili do wyjazdu.

Generał Zajączek zmiarkował już wadliwość swoich fortyfikacyi, niedostateczność środków obrony i wyższość sił rosyjskich, więc też sam zaproponował Mokronowskiemu złączenie się wspólne ku obronie Pragi. Wawrzecki pochwycił tę myśl bardzo skwapliwie. Na cztery dni przed szturmem, Mokronowski wezwał mnie wraz z kilkunastu jeszcze adjutantami i udaliśmy się na Pragę. Zaczawszy od lewego skrzydła, objechaliśmy kolejno wszystkie baterye, nie zważając na kanonadę z jednej i drugiej strony. Mógł więc sprawdzić trafność moich przez lunetę obserwacyi. Przedstawiono mu raporty. Prosił mnie, żebym zanotował liczbę bateryi, armat, jakiego są kalibru, oraz ilość wojska liniowego i uzbrojonego mieszczaństwa. W czasie tego przeglądu pękło trzy armaty, kilku artylerzystów było zabitych, kilku rannych odłamami. Oficer artyleryi mówił, że jest takich armat ze 40, co ich równy los czeka, bo są ulane z dzwonów kościelnych, w których aljaż metalów nie jest odpowiedni.

W ciągu pięciu godzin skończony był przegląd, poczem wróciliśmy do mieszkania Mokronowskiego, który przyjął nas śniadaniem, składającym się z kartofli ze słoniną. Chleba trudno było dostać u piekarzy, chociaż magazyny przepełnione były zbożem.

— A więc generale — rzekłem — cóż będziemy czynili?

— Cofnąć się nie mogę, — odpowiedział — jak trzeba będzie zginąć, to zginie.

Na Radzie rozważano nad sposobami wzmocnienia Pragi. Kilka wniosków Mokronowskiego przyjęto. Porozsyłano kuryerów. Utworzono naprędce kilka ochotniczych kompanii miejskich dla zapewnienia ogołoconych z wojska bateryi, utworzono kilka punktów obserwacyjnych, z których notowano ruchy wojsk rosyjskich.

Trzeciego listopada Mokronowski, powróciwszy z Rady, kazał mi jechać na Pragę i tam przygotować dla niego i dla jego koni i świty kwaterę. „Następnie wrócisz pan do Warszawy i wskażesz moim dwóm oficerom, gdzieś pan obrał kwaterę i stajnię; wydałem rozporządzenie, żeby się tam udali z żywnością dla ludzi i koni — mnie zastaniesz pan na Radzie albo u mnie.“

Puściłem się w tej chwili na Pragę. Prezydent wskazał mi drewniany ratusz, jako punkt środkowy, do którego dochodziły trzy główne ulice, będące głównymi punktami obrony, o 500 kroków od okopów, wskazał mi stajnię i oddał mi od wszystkich zabudowań klucze.

W godzinę potem tabor generała wyruszył na wskazane miejsce, a ja się udałem na Radę, ażeby oznajmić, że rozkazy spełnione.

— A gdzież pana konie? — zapytał.

— Mam ich tu tylko dwa — odpowiedziałem.

— To dobrze. Wracaj pan do mnie, znajdziesz tam swoich kolegów, każ sobie podać, co Ci było do wyekwipowania potrzebne, a wieczorem dam panom znać i wszyscy razem pojedziemy.

Kazałem najpierw podkuć mego konia.

Pan Adam Chreptowicz, Dzieduszycki, hrabia Staś Potocki i Cichocki, byli to czterej adjutanci, ochotnicy i przyjaciele generała Mokronowskiego od początku kampanii. Byłem do nich przyłączony od czasu, kiedy objął dowództwo nad wojskami litewskimi. Czekaliśmy razem na Mokronowskiego albo na jego rozkaz, ale ten nie nadchodził. Młodzi ludzie zaczęli się trochę niecierpliwić. Jeden z nich podjął się iść do Rady, ażeby powiedzieć generałowi, że gotowi jesteśmy i konie od kilku godzin stoją, a nie wiemy, co robić.

Posel nasz wrócił, przynosząc nam kartkę od generała, który upoważniał nas do rozejścia się do domów z poleceniem stawienia się na pierwsze wezwanie; mówił w tem piśmie, że sam z Wawrzeckim bez świty pojedzie w nocy na Pragę. Adjutanci rozeszli się, ja także wróciłem do siebie i zacząłem przygotowywać się do wyjazdu. Miałem przy sobie za adjutanta oficera z mego batalionu. Temu wskazałem, gdzie ma złożyć w depozycie moje papiery, broń zrywającą i pieniądze. Z sobą zabrałem tylko sto dukatów w złocie, mundur, płaszcz, fajkę i kapciuch z tytuniem. Miałem jeszcze 3,000 zł., które rozdzieliłem pomiędzy trzech służących, z poleceniem, ażeby zachowali przy sobie i dla siebie te pieniądze, jeżeli ja zginę, a jeśli żyć będę, to żeby tam, gdzie ja wskażę, przyjechali po mnie bryczką w trzy konie. Moi krewni, hr. Wojciech i Józef Dzieduszyccy, przybyli z Galicyi, przyszli do mnie wieczorem. Starszy był adjutantem przy Wawrzeckim, młodszy podał się na kanoniera przy armatach.

Na kominku palił się ogień, a w węgielkach piekły się kartofle, które miały służyć nam za wieczerzę. Siedzieliśmy na sofie, na stole przed nami leżała broń, przed oknami stały nasze konie — po dłuższej gawędzie troszkę się spać zachciało, więc zdrzennęliśmy się. Ludzie, stojący przy koniach, zobaczyli na różnych punktach od strony Pragi lecące w górę rakiety, dali nam znać; wyszliśmy. Było to 4-go listopada, noc była dosyć

pogodna. Pomiędzy szóstą a siódmą godziną z rana mgła gęsta zasłaniała widnokrąg, kiedy rozpoczęła się kanonada na wszystkich punktach Pragi.

Zrobił się szum i hałas okropny. Trąbki, bębny budziły uśpionych. Hr. Wojciech Dziędużycki pośpieszył do Wawrzeckiego, — ja do Mokronowskiego. Krakowskie Przedmieście roіło się od kobiet i dzieci, zbudzonych i przestraszonych. Kilka granatów wpadło do miasta, kule armatnie padały na dachy domów.

Mokronowskiego spotkałem jadącego ze swoją świtą. Przybył i Wawrzecki, ruszyliśmy razem do mostu.

Od lewego skrzydła okopów kanonada przycichła. Rosyjski pułk piechoty Kasztolińskiego i pułk strzelców konnych Lassy'ego, okrążywszy piaskami, od Wisły dotarli do wielkiej baterji i zniósł ją. Te dwa pułki zwróciły się następnie do mostu, przepelnionego wozami, wózkami, Żydami, kobietami, zmykającymi ku Warszawie.

Gdyby nie przybycie Mokronowskiego i Wawrzeckiego, pułki te zajęłyby most w jednej chwili i zaraz pośpieszyły do Warszawy. Zimna krew Mokronowskiego i Wawrzeckiego przeszkodziła temu. Kazali wytoczyć cztery armaty do przyczółku mostu. Inna bateria z 12-tu armat dużego kalibru zaczęła strzelać tak szybkim i silnym ogniem, że te dwa regimenty cofnąć się musiały niezwłocznie, ale się cofnęły w głąb przedmieścia i tu się zaczęła rzeź okropna.

Ogień szedł silny od środkowych baterji i od prawego skrzydła, ale posiłków z Warszawy nie można się było spodziewać, most się rozerwał. Dowiedziałem się później, że Mokronowski z Wawreckim w czasie nocy zrobili jeszcze przegląd baterji, a zastawszy wszystko w porządku, w obozie przeciwnym ciszę zupełną, udali się do inspektora mostowego, pana Kijańskiego, który ich przyjął kawą, zabawiwszy tam z godzinę, wrócili do Warszawy, a o szóstej godzinie rozpoczął się atak na całej linii.

Co do Zajączka, postępowanie jego jest dosyć zagadkowe. Upierał się przy zachowaniu komendy nad obroną Pragi; był jednym z pierwszych, który się stamtąd wycofał, sam jeden, bez świty o godzinie piątej rano, przez most, okrywając chustką zranioną rękę. Mówiono, że w tę rękę był raniony przez jednego z naszych żołnierzy, który mu wyrzucał, że opuszcza stanowisko. Widziałem go w dwie godziny później, jadącego w zamkniętym powozie. Rana jego nie była groźną.

Nie mogąc z Warszawy bronić Pragi, a nie mając tam już nic do czynienia, poszedłem do Rady prosić Wawrzeckiego o nie-

ograniczony urlop, ażeby udać się do Galicyi dla poratowania zdrowia. Urlop mi wydano. Mokronowski rzekł do mnie: „Zakończyliśmy rewolucyę. Prawdopodobnie Warszawa będzie kapitulowała. Ponieważ nie mam żadnego majątku w kraju, bo dobra mojej żony są w Galicyi, więc mogę pozostać. Inaczej rzecz się ma z wami, moi panowie adjutanci. Za wasze tu majątki odpowiadać trudno.“

Hrabia Chreptowicz zapytał mnie: „Co pan poczniesz z sobą?“

„Będę się starał dostać do Galicyi, gdzie trzeba będzie przeczekać do czasu uspokojenia czy amnestyi.“ Chreptowicz miał zamiar udać się na Litwę. Tak więc rozstaliśmy się wszyscy. Otrzymałem kartkę, ułatwiającą mi przejazd w okolicach Warszawy i dalej także. Wstąpiłem do Jordanowic, które należały do Mokronowskiego, a tam wypocząwszy trochę, ruszyłem dalej; omijając gościńce, kierowałem się ku Galicyi przez Radom.

XLIV.

Miasto Radom było stolicą województwa radomskiego. Zaraz u rogatek ujrzałem strażę rewolucyjną. Komendant placu wskazał mi mieszkanie przybyłego od kilku dni z Warszawy starszego naczelnika, który rozesłanymi cyrkularzami zaważwał obywateli wiejskich. Udałem się do niego i ujrzałem ze zdziwieniem, że tym naczelnikiem był dawniejszy deputat z Sandomierskiego z r. 1792, Linowski, który następnie przeszedł do stronników Kołłątaja. Była to dobra głowa, unysł rozwinięty; polecono mu ułożenie redakcyi Konstytucyi 3-go maja.

Skoro mnie poznał, zaczął się wypytywać o nowiny z Warszawy. Pokazałem mu mój urlop podpisany przez Wawrzeckiego.

— Zwołałem na jutro—rzekł do mnie—obywateli ziemskich, trzeba zaciągnąć pożyczkę wedle rozkładu, który przygotowałem. Jeżeli pan zechcesz odpocząć tu dni kilka, to zaraz rozporządzę, ażeby panu przygotowano odpowiednią kwaterę.

— Bardzo panu komisarzowi dziękuję, ale pilno mi dalej ruszać w drogę. Historia naszej rewolucyi zakończoną została tragicznie. Widziałem wzięcie Pragi i odwrót Kołłątaja.

Wiadomość ta ogromnie go przeraziła—zaraz zaczął układać swoje papiery i zażądał w tej chwili koni do wyjazdu.

Ja też puściłem się dalej w drogę; odbyła się ona bez przygód nadzwyczajnych, ale kraj, przez który przejeżdżałem, smutne

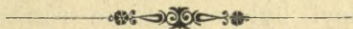
czynił wrażenie. Wiele wsi popalonych, chłopci rozproszeni, bydło pozabierane, karczmy puste. Można było literalnie w takiej podróży umrzeć z głodu i wycieńczenia — gdzie nigdzie tylko można było dostać od pracujących z rzadka na zagonie łyżkę barszczu, i to był jedyny posiłek. Drogami ciągnęły się wozy, bryczki i rozmaite podwozy, któremi uciekali z Warszawy jeszcze przed kapitulacją, kto tylko mógł, z ekwojskowych i prywatnych osób. Wielu szło piechotą i z poządlwością spoglądali na moje konie, trzeba więc było zapewnić sobie gdzieś chwilowe schronienie. Szczęśliwie mi się zdarzyło znaleźć je w Szydłowcu u ks. Radziwiłła, mego kolegi z 1792 r. Tu miałem kilka dni wypoczynku. Wiedział już on przez umyślonych gońców, że Warszawa kapitulowała, że hrabia Ignacy Potocki był na czele deputacyi, którą wydelegowano do generała Suworowa, że pomiędzy warunkami kapitulacyi było wycofanie resztek armii rewolucyjnej, że Wawrzecki opuścił Warszawę; przeważna część wojska polskiego wyszła także i kierowała się drogami, prowadzącemi do Krakowa—można więc było przypuścić, że za niemi pogoń rosyjska wysłaną będzie, gdyż wojska konsystujące nie były objęte kapitulacją.

Po otrzymaniu tych snutnych szczegółów wiedziałem, że długo w Szydłowcu odpoczywać nie mogę, więc też wyruszyłem dalej. Austriacy tymczasem zajęli Sandomierz; delegowano kapitana Sierakowskiego z oddziałem do Tarnowa, ażeby tam werbować oficerów do armii austriackiej z pomiędzy przybywających z kraju. Przypuszczam, że było wydane rozporządzenie dobrowolnej ugody — ale panowie oficerowie inaczej to rozumieli i, zatrzymując wchodzących w granicę austriacką, odbierali broń i konie, a wzamian dawali mundury cesarskiego wojska i odsyłali ich pod strażą w głąb kraju, pomimo najsilniejszej opozycyi. Dowiedziawszy się o tem, cofnąłem się, a przebywszy Wisłę w małej łódce, za którą konie płynęły, przedostałem się szczęśliwie przez granicę i dojechałem lasami do Werchratej, majątku dzierżawionego przez mego brata, Ksawerego, który tam mieszkał z żoną. Przyjęli mnie prawdziwie po bratersku i mogłem tam kilka tygodni wypocząć; poczem z bratem udaliśmy się na kontrakty do Lwowa.

Przyjemnie jest spotkać się z dowodami prawdziwej uczciwości, co mi się wówczas zdarzyło. Moich dwóch służących, którym przed wyjazdem z Warszawy dałem po 1,500 złotych, trochę co prawda warunkowo, mogli byli pieniądze wziąć i o jakim własnem zagospodarowaniu pomyśleć. Oni jednak wystarali

się o paszporty do wyjścia z Warszawy i puścili się za mną trop w trop w kilka dni później; w Szydłowcu książe Radziwiłł dał im znów karty do przejścia granicy i do Lwowa, gdzie mnie znaleźli, a raczej ja ich znalazłem w naszym domu — przyprowadzili z sobą trzy konie. Przyjechali 70 mil, nie wydawszy więcej, jak jakieś kilkadziesiąt złotych. Odebrali też za to odpowiednią nagrodę.

Zabawiwszy czas jakiś we Lwowie, udałem się do mojej matki do Olejowa. Jakżeż się serdecznie ucieszyła! Myślała, że mnie już w życiu nie zobaczy, a tu przybyłem, bez laurów wprawdzie, ale żywy i zdrowy.



INDEKS.

Abselowicz, pułkownik 30.
Albiszew, gen. ros. 27.
August II 3, 4, 21, 34.
August III 3—5, 9, 10, 34.

Bel Karol Andrzej, redaktor 36.
Benklewski, (Bęklewski) konfederat barski 28.
Betański Antoni, ksiądz 30—1.
Bielński Stanisław, marszałek 95.
Bierzyński Józef konfederat 27.
Boniatowicz, kapitan 30.
Bortz, bankier 64.
Branicka Izabella z Poniatowskich 4, 7, 10, 11, 14, 29, 30, 32, 45—8, 58, 60, 63—4, 67, 98.
Branicki Jan Klemens 2—7, 10, 11, 14, 15, 19—23, 26—32, 36, 38, 44, 47, 66.
Branicki Ksawery 30, 75, 88.
Brühl Henryk 20, 60, 76, 93, 104.
Brühlowa 93.
Busch, oficer pruski 117.
Byszewski Arnold, generał 88, 130.

Cetys, kapitan 115, 117, 122.
Cetysowa 115.
Chłapowski Stanisław, kasztelan 35, 37.
Chłapowskie 34.
Chreptowicz hr. Adam 134, 136.
Cichocka Elżbieta z Abselowiczów 76.
Cichocki Jan August, generał 76, 97, 99, 100, 119—122, 132, 134.
Cieszajko 53—4.
Clary hr. Leopold 72—3.
Cycyanow Paweł, gen. ros. 102.
Czapki Józef, pułkownik 76.
Czartoryska Izabella z Flemingów 9.
Czartoryski Adam, gen. z. pod. 9, 10, 23, 66—8, 83, 87.
Czartoryski August, woj. rus. 9, 10, 49.
Czartoryski Michał, kanclerz 9, 10.

Dangel, siodlarz 110.
Dąbrowski Henryk, gen. 102—107, 109, 123—4, 129, 131—2.
Deboli Antoni 81.
Dembowski Tadeusz 76, 78, 92.
Dessein, kapitan 30.
Drake, guwerner 7, 8, 15.
Drewicz, gen. ros. 26.
Dugrumow Marya 66—8.
Dunker dr. 19.
Dworzecka 29.
Dworzecki, plenipotent prymasa 29.
Działyńskich pułk 98, 108.
Dzieduszycka 100.
Dzieduszycka Justyna 109.
Dzieduszycki Antoni 69, 70, 93, 97, 99—101, 109, 134.
Dzieduszycki Józef 134
Dzieduszycki Waleryan 65.
Dzieduszycki Wojciech 131—5.
Dziekoński, oficer 128—9.

Egwałt, guwerner 7.

Ferzen Jan, gen. ros. 123.
Feuer, kupiec 36.
Flemming Jerzy 10.
Fregué, bankier 36—7.
Fryderyk II 4, 17, 18, 20, 23, 31.
Fryderyk Wilhelm II 69, 70, 81—2, 87, 95, 118, 123—5.
Fryderyk Wilhelm (III) 123.

Golicyn ks. gen. ros. 26—7.
Gołaszewski Jan, biskup 111, 117.
Gorzeńscy 33.
Grabowska Elżbieta z Szydłowskich 24, 30.
Grabowski Jan 24.
Gurowska, kasztelanowa 33.
Guszkowski, komisarz 31.
Günther, gen. pruski 117, 120, 122.

Horain Jan Nepomucen 121.
 Hryniewicki, burmistrz 56, 58.
 Hryniewicki, pisarz 31.

Igelstrom Józef, gen. ros. 97—8, 100.
 Iliński Stanisław, generał 91.

Jabłonowska 8.
 Jabłonowska Franciszka z Woronieckich 38—9.
 Jabłonowska Karolina 38.
 Jabłonowska Marya Anna 94.
 Jabłonowski, lokaj 16.
 Jabłonowski Józef Aleksander, wojew. nowogr. 38—9.
 Jachimowski 62.
 Jagmin 126.
 Jakubowski, pułkownik 20—1.
 Jarocki, służący 124.
 Jasiński Jakób, pułk. art. 103, 131.
 Józef II 54, 61, 68—73.
 Józefowicz, plenipotent 50—1, 54—5.
 Jundziłł 94.

Kachowski Michał, gen. ros. 85, 87, 91.
 Kalkreut, gen. pruski 80.
 Karol XII 4, 10.
 Karwicki Krzysztof, generał 89, 90
 Karwowski, rejent 57.
 Karwowski Andrzej, generał 107—8, 110—112, 115—118, 120—2, 128.
 Kasztoliński, pułkownik ros. 107, 135.
 Katarzyna II 10, 25, 28, 36, 68—70, 80, 84, 86, 95.
 Kaudenbach, radca 36.
 Kaunitz, kanclerz austr. 74.
 Kayserling, poseł ros. 11.
 Kijański, inspektor 135.
 Kiliński Jan 110.
 Klemant, lekarz 31.
 Kleuse, major 30.
 Kniaziewicz Karol, gen. 127.
 Kołłątaj Hugo ks. 59, 116, 127, 131—2, 136.
 Kołłątaj (brat) 25.
 Komarzewski Jan, gen. 68.
 Konarski Stanisław ks. 13.
 Korsak Samuel, pułkownik 127, 129.
 Kossakowski Szymon 92, 103.
 Kościuszko Tadeusz 80, 85—6, 88—90, 102, 109, 115—119, 122—5, 127—9.
 Krakau, krawiec 124.
 Krasicka Brygida 2, 31.
 Krasicki Ignacy, biskup 2, 31.
 Krasieńska Franciszka (księżna kurlandzka) 83.
 Krasieński 119.
 Krasieński, marszałek 58.
 Kraszewski, oficer 122.
 Kreczetnikow Michał, gen. ros. 87—8, 91.

Kruszewski 60.
 Krywecki, radca 55.
 Krzycka 33.
 Krzycki 33, 46.
 Kuczyńska Anna z Narzymskich 52.
 Kurdwanowski 30.
 Kwaśniewski Walenty, podpułkownik 120—1, 129.

Labini, ksiądz 12.
 Lascy de, feldmarsz. austr. 71.
 Laskaris 9.
 Lassy de Borys, gen. ros. 135.
 Laudon, gen. austr. 79.
 Leszczyński Stanisław król 3, 21.
 Lewanidow, gen. ros. 86.
 Liesganig, jezuita 61.
 Linowski Aleksander 79, 136.
 Lucchesini 82.
 Ludwik XV 25.

Łęcki, komisarz 42, 65.

Madaliński Antoni, gen. 103, 105.
 Makomaski 30.
 Małachowska z Czapskich 52.
 Małachowski Jacek, w. referen. kor. 52—3, 56.
 Małachowski Stanisław 73, 76, 79, 80—1.
 Maniani, ksiądz 12
 Markow, gen. ros. 86.
 Markowski 30.
 Marya Teresa 28, 48.
 Melitz, kapitan 23.
 Mier hr. 24.
 Mikołajewicz 12, 13.
 Miller, kapitan 93, 95.
 Młodziejowski Andrzej, kanclerz 45.
 Mokronowski Andrzej, gen. 11, 20—1, 25, 32, 45, 47, 63.
 Mokronowski Stanisław, gen. 107—9, 112—3, 115—6, 118, 125—136.
 Mycielski, starosta 33.

Narzymska z Czapskich 52.
 Niemcewicz Julian Ursyn 125.
 Niewęglowski, komornik 67.

Ogiński Michał 27—8, 51, 80.
 Orłowski Józef, generał 118.
 Orłowski, ksiądz 47—8.
 Ossoliński hr. Józef 58.
 Ossolińskich regiment 121.
 Otocki 31.
 Ożarowska z Paców 98.
 Ożarowska Cecylia z Platerów 98.
 Ożarowski Kajetan, generał 83, 93, 97—8, 102—8, 123.
 Ożarowski Piotr, hetman 52, 95, 98, 100—1.
 Ożarowski Wiktor, ksiądz 98.

Palembach, pułk. ros. 89.
 Panin 11.
 Patini, dyrektor baletu 8.
 Paweł I 60.
 Piotr Wielki 4.
 Piotrowski (Andrzej?), oficer 116.
 Piramowicz 30.
 Pirelli, ksiądz 12, 13.
 Pirris, gubernier 9.
 Pleiner, kapitan 23.
 Podhorecki, masztalierz 3
 Polani, skrzypek 83.
 Poniatowska Apolonia z Ustrzyckich 29.
 Poniatowska Izabella p. Branicka.
 Poniatowska Konstancya z Czartoryskich 10.
 Poniatowska Marya Teresa 30.
 Poniatowska Teresa z Kinskych 30.
 Poniatowski Andrzej, feldmarsz. 10, 30.
 Poniatowski ks. Józef 30, 80—2, 84—91, 118, 123—4, 126, 129, 131.
 Poniatowski Kazimierz 10, 29.
 Poniatowski Michał, prymas 10, 29.
 Poniatowski Stanisław, bratanek króla 12, 29, 60, 64, 69.
 Poniatowski Stanisław, ojciec króla 10.
 Poniński Adam, generał 128.
 Popławski, ksiądz 9.
 Porin 30.
 Portalupi Antoni Marya, ksiądz 12, 29.
 Potenkin 70.
 Potocki Franciszek Salezy 11.
 Potocki Ignacy 116, 127—8, 131—2, 137.
 Potocki Jan, brygadyer 124.
 Potocki Stanisław Kostka 68, 88, 134.
 Potocki Szcześny 84.
 Potocki Wincenty 24, 65.
 Praus, weterynarz 117.
 Pudkowski 14.
 Puget, generał 27, 30.
 Pułascy 28.

Raczyński Kazimierz 90—7.
 Radziwiłł Hieronim 51.
 Radziwiłł Karol 11, 49—51, 54, 65, 67—8, 71.
 Radziwiłł Mikołaj 137—8.
 Radziwiłłowa z Rzewuskich 53—4, 65, 67, 71.
 Ratay, pułk. ros. 130.
 Renard, pułk. saski 17—19, 44.
 Repnin Mikołaj 11, 59.
 Richter, ogrodnik 47.
 Rostworowski, szambelan 33—5, 37.
 Rostworowski Andrzej 34.
 Rostworowski Ksawery 33—37.
 Rotingo, ksiądz 12.
 Rumiancow Piotr, feldmarszałek 70, 81.
 Ryx Franciszek 68.
 Rzewuski Józef, major 102, 106.

Sapieha Kazimierz Nestor 73, 83, 87—8.
 Sawa Caliński 28.
 Schnetter 71.
 Schönfeld, baron 36.
 Schultz, bankier 93.
 Schwarzenberg książę 58.
 Schwerin, gen. pruski 124.
 Senkowski (Sękowski), kapitan 23, 30.
 Sieklucki 32.
 Sierakowski Karol, gen. 124—7, 137.
 Skrzetuski, starosta 49.
 Sobieski Jan, król 70, 77, 82.
 Sobolewski, pisarz 4.
 Sobolewski, porucznik 30.
 Sokolnicki Michał, gen. 118, 120.
 Sołtyk Kajetan, biskup 59, 60.
 Souchet 9, 11, 15, 29, 32.
 Stackelberg Otton, ambasador 69.
 Stanisław August 9—14, 21, 23—6, 30—2, 36, 46, 63—4, 66—70, 77, 79, 81—4, 86—8, 90, 92, 85—6, 98, 107, 110, 116, 128, 131—2.
 Starzeńska Aniela z Trembińskich (matka) 8, 11, 16—20, 42, 47, 65, 70, 94, 138.
 Starzeńska Anna z Kuczyńskich (żona) 74, 93, 101—2, 104, 112, 127, 136.
 Starzeńska Konstancya z Jundziłłów 94.
 Starzeńska Pelagia z Bąkowskich 68.
 Starzeński Adam (brat) 22, 72, 94.
 „ Antoni (stryj) 2, 31.
 „ Franciszek (stryj) 2.
 „ Jan (stryj) 2.
 „ Józef (stryj) 2, 14, 15, 21, 33, 34.
 „ Krzysztof (dziad) 1—3.
 „ Ksawery (brat) 21, 62, 94, 137.
 „ Maciej (ojciec) 2, 3, 8, 10, 11, 14—20, 23, 26—7, 30, 32—4, 36, 40—4, 46—7, 49—51, 54—6, 61—2, 67—7, 70—3, 94—6.
 „ Melchior ksiądz (stryj) 2, 21—2, 39, 40, 44, 70.
 „ Piotr (stryj) 2.
 „ Stanisław (brat) 21, 62, 94.
 Suworow 26, 28, 70, 125, 127—31, 137.
 Szpiler 36.
 Szczukowski, major 4, 11.
 Szczukowski (Szuszkowski?) 90.
 Szye, konfederat barski 28.

Tannhausen baron 42—4.
 Tańko Adam 3, 29.
 Taylor 68.
 Tepper, bankier 64, 93, 97, 99.
 Trembińska Ludwika z Rostworowskich (babka) 8.
 Trzeciak, generał 23.

Guczów, pulk. art. ros. 103.

Iskra, Wincenty 30.

Tyszkiewiczowa Małgorzata z Po-
niatowskich 29, 30.

Wakulski 23.

Waldeck książę 19.

Wawrzecki Tomasz 127, 129—31, 133—7.

Węgierski Andrzej, pułkownik 7.

Węgierski Jan 7, 32—3, 35, 37—8.

Wielhorski Michał, gen. 86.

Wielowieyski, gen. 89, 90.

Wollfart 62.

Worth, lord 36.

Württemberg ks. Ludwik, gen. 80,
82—3, 85, 87.

Zabiello Michał, gen. 87.

Zajączek Józef, gen. 123, 131, 133, 135.

Zakrzewski, pułkownik 30.

Zakrzewski Ignacy Wyssogota 110, 133.

Zaleski hr. 94.

Zamoyska Ludwika z Poniatowskich
10, 30.

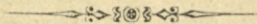
Zamoyski Jan, wojew. podolski 30.

Zannoni Ricci, kartograf 38.

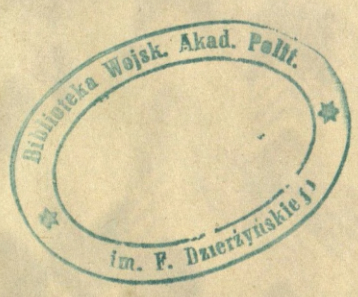
Zieliński Aleksander, generał 120—1,
129.

Zubow, gen. ros. 130.

Zygmunt August, król 45.



1875





Biblioteka
55730/2
Naukowa

A rectangular label with a double-line border. On the left side, there is a diamond-shaped logo containing a coat of arms with a crown on top and the letters "WAP" below it. To the right of the logo, the text "Biblioteka" is at the top, "55730/2" is in the middle, and "Naukowa" is at the bottom.